KORUPCJA SYSTEMOWA
Państwo w czasach bezkarności władzy

PORÓD PO LUDZKU
Co piąta rodząca kobieta doświadcza przemocy

NIEPOKALANA
Po co Maryi ten dogmat

MAREK BIEŃCZYK
Mistrzostwa świata w samotności

Kraków 9 grudnia 2018 nr 50 (3622) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Psychoterapia: wybierz dobrze

W Polsce nie ma reguł uprawiania zawodu psychoterapeuty

Sprawdź, jak uniknąć oszustów

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

„Tygodnik” + książka

UDANE POŁĄCZENIE!

Książka ks. Adama Bonieckiego „Połączenie odebrane”▪ W PREZENCIE – dla każdego, kto wykupi do **10 grudnia 2018** DOWOLNĄ▪▪ prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”!

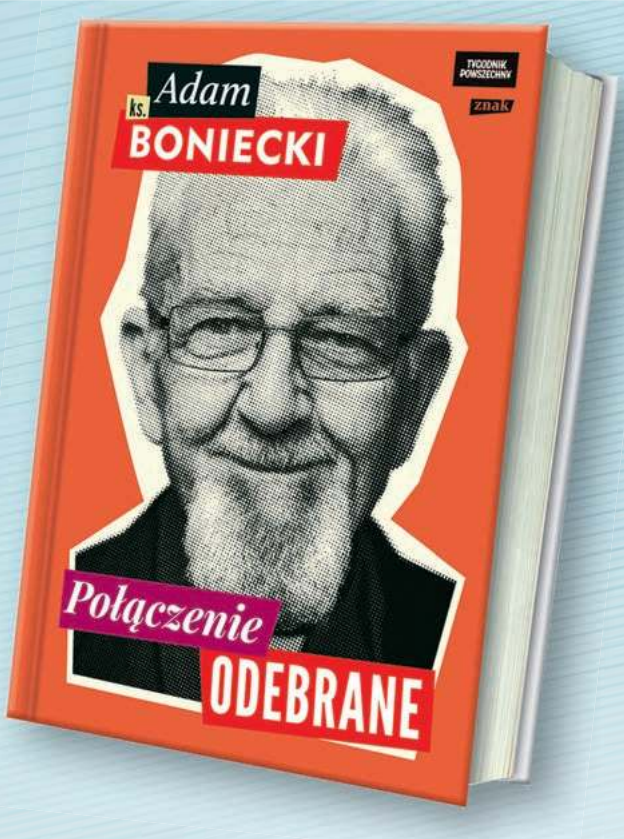

▪ „Połączenie odebrane”, rok wydania: 2018, cena katalogowa – 39,90 pln, stron 224. Wysyłka książki będzie realizowana w styczniu 2019 bez dodatkowych opłat.

▪▪ Aby skorzystać z oferty, należy do 10 grudnia 2018 opłacić (wykupić nową lub przedłużyć na kolejny okres) dowolną krajową prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”. Cennik i zasady zakupu prenumeraty opisane są poniżej.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł
Pokolenia	300 zł	

NOWA OFERTA!

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	429 zł
Pokolenia + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY

SALES MANAGO marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Spowiedź i psychoterapia*

Pewna psycholożka powiedziała mi, że do spowiedzi przystępuje, aby uzyskać odpuszczenie grzechów, a nie po rady pseudopsychoterapeutyczne. Nie wiem, czy sama trafiła na „spowiednika-terapeutę", czy może chodziło jej o cudze doświadczenia, wiem tylko, że psychoterapeuci ostrzegają nas, księży, przed poczynaniami, w których nie jesteśmy kompetentni, czyli przed zamienianiem spowiedzi w – pożal się Boże – chałupniczą psychoterapię.

Jednak dla mnie-księdza problem istnieje. Bo co mam zrobić, kiedy przychodzi do konfesjonału człowiek z mniej lub bardziej rozchwianą psychiką? Wiem, że on woli opowiedzieć o swoich kłopotach przy konfesjonale, niż zgłaszać się do poradni czy gabinetu terapeuty, i to niekoniecznie dlatego, że porada w konfesjonale jest gratis, a za terapię zwykle trzeba płacić. Wielu ludziom wciąż jeszcze nie mieści się w głowie, że mogłoby się zwrócić o pomoc do psychoterapeuty. Przecież, do licha, są normalni. A poczciwy spowiednik psychoterapeuta amator niekoniecznie od razu musi się zorientować, czy ma do czynienia z chorobą, nerwicą albo inną przypadłością, wymagającą terapii czy wręcz leczenia. Biedak, jeśli się podejmie prowadzenia takiej „duszy", prędzej czy później odkryje, że cały jego trud na nic: że mimo najlepszej woli nic nie pomógł i niech Bogu dziękuje, jeśli nie zaszkodził.

Przypomniany ostatnio w „Tygodniku" prof. Antoni Kępiński pisał, jakim człowiekiem powinien być ktoś podejmujący pracę w jego fachu. Powinien odznaczać się wiarą w sukces, cierpliwością, powściągliwością, umiejętnością zdobycia zaufania pacjenta, dojrzałą osobowością, odwagą w zwalczeniu choroby do ostatka, powinien posiadać zdolność rozumienia pacjenta i wiele innych tego typu cech, których także się oczekuje od spowiednika. Z tego jednak nie wynika, że dobry spowiednik jest automatycznie dobrym psychoterapeutą. W psychoterapii bowiem – pisał Kępiński – „nie chodzi o to, by chorego oduczyć złych (chorobliwych) form zachowania, a nauczyć prawidłowych (zdrowych)".

Według Profesora chodzi o przywrócenie choremu zdolności do osobowego rozwoju, czyli do realizowania samego siebie. Terapeuta ma być „katalizatorem" procesu samorealizacji. Tymczasem sakrament pojednania zakłada u penitenta zdolność samorealizacji. Spowiednik, jeśli zachodzi potrzeba, ma pomóc w rozróżnieniu grzechu od niegrzechu. Jako świadek żalu za grzechy, postanowienia poprawy i gotowości do naprawienia wyrządzonego zła, ma przekazać sakramentalny znak Bożego przebaczenia, czyli – mówiąc potocznie – udzielić rozgrzeszenia.

Sakrament pokuty posiada dłuższą historię niż psychoterapia. Przez stulecia np. trwało przekonanie, że z udzielonej Kościołowi władzy odpuszczania grzechów (J 20, 21-23) grzesznik w zasadzie może skorzystać tylko raz w życiu. Obecna forma spowiedzi wielokrotnej to owoc długiej ewolucji. Św. Augustyn ani nie klękał przy konfesjonale, ani potem jako ksiądz do konfesjonału nie siadał. Nie sądzę zresztą, że ta ewolucja jest zakończona.

Psychoterapia jednak nie zastąpi sakramentalnego odpuszczenia grzechów, a sakrament nie zastąpi psychoterapii. Doświadczenie uczy, że mogą one się uzupełniać i wspierać. Dobrze, jeśli ksiądz potrafi rozpoznać granice swojej kompetencji i wie do kogo (telefon, adres) skierować penitenta. Z pewnością ogólne zalecenie w rodzaju „mój drogi, z tym to ty idź na terapię" może się okazać nieskuteczne. Także psychoterapeuci – jak pokazuje doświadczenie – doceniają współpracę z księdzem, do którego mają zaufanie.

A spowiedź? Ks. Jan Twardowski w kilku linijkach zawarł wielkie doświadczenie starego spowiednika: „Tylko mali grzesznicy spowiadają się długo / w niepokoju gorących warg – / potem niebo ich goni, spadających gwiazd smuga, / jak pożary Joannę d'Arc. // Ale wielcy grzesznicy na błysk mały przyklękną / i wypłaczą się jednym tchem / potem noc mają cichą i jak dobry łotr świętą – / byłem z nimi, klęczałem, wiem". ©℗

TP

Komunikat dla Czytelników

Jeśli doświadczają Państwo ostatnio trudności z zakupieniem „Tygodnika", to dzieje się tak z powodu zawirowań na polskim rynku dystrybucji prasy.
Gdyby w najbliższych tygodniach nie mogli Państwo znaleźć naszego pisma w punktach sprzedaży, szczególnie w kioskach, gorąco prosimy o zasygnalizowanie problemu pod adresem: **alert@tygodnik.com.pl** lub pod numerem telefonu **12 422 25 18**.
Jako Wydawca dokładamy wszelkich starań, by udrożnić kanały dystrybucyjne,
i by mogli Państwo cieszyć się lekturą „Tygodnika" co tydzień. Nie wszystkie czynniki zależą jednak od nas,
dlatego polecamy zakup pisma w prenumeracie – to najpewniejszy sposób na to, by cieszyć się swoim egzemplarzem „Tygodnika" co tydzień.
Miło nam poinformować, że mamy najwięcej wśród tygodników opinii prenumeratorów w Polsce. To dla nas dowód Państwa zaufania, za które serdecznie dziękujemy.

Wydawca „Tygodnika Powszechnego"

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

#przemocwpracy

Mam tu dziesięciu na twoje miejsce.
Zwiń sobie ten raport w rulon i wsadź w d...
Niczego nie potrafisz zrobić dobrze. Jesteś zerem.

TO NIE SĄ „NORMALNE" ODZYWKI SZEFA.
To przemoc w pracy. To mobbing. To łamanie polskiego prawa.

A JEDNAK W NASZYM KRAJU TO WCIĄŻ CODZIENNOŚĆ.
Dlatego chcemy rozpocząć rozmowę na ten temat. Będzie trudna, ale jest konieczna.

BYLIŚCIE PONIŻENI, ZASTRASZENI, WZGARDZENI PRZEZ PRACODAWCĘ?
Opiszcie to z hashtagiem **#przemocwpracy** lub wyślijcie na **przemocwpracy@tygodnik.com.pl**, opublikujemy Wasze świadectwa anonimowo. Napiszcie też, co wtedy czuliście.

POKAŻMY OFIAROM, ŻE NIE SĄ SAME.
A sprawcom, że kończy się ich bezkarność, że zachowania, które uchodziły za dopuszczalne, według pracownic i pracowników są już nie do przyjęcia.

Poniżej kolejne głosy, które otrzymaliśmy od Państwa. Czytaj też raport „Tygodnika" o mobbingu na powszech.net/przemocwpracy

Wyższa szkoła mobbingu

Byłam etatową pracowniczką trzech uniwersytetów zajmujących najwyższe pozycje list rankingowych i renomowanej uczelni prywatnej. Każde z tych miejsc było przesiąknięte kumoterstwem i brakiem szacunku dla ludzi.
Na pierwszym uniwersytecie, w którym przygotowywałam doktorat, odebrano mi możliwość prowadzenia zajęć, co było „karą" za zmianę promotora pracy doktorskiej. Jedna ze złotych zasad akademickich brzmi: „Nie będziesz występować przeciw samodzielnemu pracownikowi naukowemu" (co znaczy, że doktorom habilitowanym i profesorom należy się bezwzględny posłuch, nawet jeśli postępują niczym kapryśni greccy bogowie). Złamałam tę zasadę i poniosłam konsekwencje.
Na drugiej akademii przełożona wymuszała na mnie m.in. polecanie studentom swojego podręcznika. Wieczorami i w weekendy dzwoniła do mnie na godzinne rozmowy, w trakcie których dostawałam kolejne pouczenia. Jakiekolwiek próby dyskusji ucinała, uzasadniając to moim młodym wiekiem i brakiem doświadczenia.
Przeniosłam się na uczelnię prywatną, na której pracowało mi się najlepiej – do momentu, gdy przestałam dostawać pensję – choć i tam przemocy było pod dostatkiem.
Nasz system akademicki jest z gruntu zepsuty m.in. dlatego, że hierarchiczne struktury umożliwiają pięcie się po szczeblach kariery przede wszystkim osobom posłusznym wobec tych, którzy stoją w hierarchii wyżej. Młodzi ludzie dostają na uczelniach taki przekaz: kiedy musicie, bądźcie ulegli, jak możecie, pozwalajcie sobie na więcej. A przede wszystkim: chcecie przetrwać, to kombinujcie.

DR ANNA TYLIKOWSKA
psycholożka, była pracowniczka naukowo-dydaktyczna

Rozszerzona wersja listu na powszech.net/mobbing-akademicki

Nie tylko szefostwo

Przemoc w pracy może wystąpić także między pracownikami zatrudnionymi na równorzędnych stanowiskach. Kiedy trafiłam do pracy w dziale, w którym od kilku lat pracowała już moja koleżanka, nie przypuszczałam, jak szybko zmienią się nasze dobre relacje. Od początku koleżanka stosowała wobec mnie mobbing. Gdy otrzymała polecenie wprowadzenia mnie w obowiązki, robiła to z niechęcią, okazując mi wyższość. Kiedy już wdrożyłam się w pracę i szło mi lepiej, okazywała mi niechęć jawnie, często wychodziła z pokoju i szła do innych działów, by opowiadać tam, jakim jestem beznadziejnym pracownikiem. Atmosfera, w której czułam się gorsza, pomijana, wyśmiewania, trwała kilka lat. Wspominam to jako najgorszy koszmar, który zaowocował nerwicą.

AGNIESZKA
(imię zmienione)

„Zbyt wolne przyswajanie"

Po skończeniu studiów dość szybko udało mi się dostać pół etatu w zawodzie. Zostałam pracownikiem działu kadr w oddziale francuskiej korporacji. Na początku szło mi świetnie, przyswajałam nowe informacje, ludzie mnie polubili. Po upływie około dwóch tygodni zaczęło się wszystko psuć. Nagle zostałam sama w biurze i miałam zajmować się wszystkim pod nieobecność mojej przełożonej, mimo że nie zostałam wdrożona w jej obowiązki. Szefowa miała ciągle o coś pretensje: a to nie tak ułożone dokumenty na biurku, a to nie domyśliłam się czegoś, o czym powinnam wiedzieć. Dała też mi absurdalne zadanie: nauczenia się imion i nazwisk kierowników wraz z ich telefonami. Nie wiem, w jaki sposób, ale miałam także za zadanie łączyć ich imiona i nazwiska z twarzami, co sprawdzała poprzez odpytywanie.
Moja kariera w korporacji zakończyła się przed upływem okresu próbnego. Po świętach wróciłam do pracy i zastałam w drzwiach szefową, która wręczyła mi wypowiedzenie umowy, a raczej namówiła mnie na podpisanie porozumienia. Powód zwolnienia to m.in. „zbyt wolne przyswajanie prostych schematów myślowych". Moje zwolnienie z pracy przypłaciłam załamaniem nerwowym, z którego długo nie mogłam się podnieść. Poniekąd skutki tego odczuwam do dziś.

MAGDA
(imię zmienione)

Administratorem Pani/Pana danych osobowych jest Tygodnik Powszechny sp. z o.o., z siedzibą w Krakowie, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków.
Podany adres e-mail przetwarzamy wyłącznie w celu pozyskania informacji o przypadkach mobbingu, które do celów akcji mogą zostać wykorzystane w sposób całkowicie anonimowy. Podstawą przetwarzania jest art. 6 ust. 1 lit a RODO, czyli Pani/Pana zgoda, która jest wyrażona poprzez przesłanie maila na podany adres.
Pani/Pana adres e-mail będzie przetwarzany nie dłużej, niż jest to konieczne do odebrania zawartych w nim informacji.
Przesyłanie wiadomości e-mail na adres przemocwpracy@tygodnik.com.pl jest dobrowolne.

REKLAMA

ROLEX

COSMOGRAPH DAYTONA

Legendarny rajdowiec. Rekordzista. Nierozłącznie związany z historią
sportu motorowego i zegarmistrzostwa.
Wskazuje czas. Wyznacza historię.

OYSTER PERPETUAL COSMOGRAPH DAYTONA

W.KRUK
1840

Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Galeria Mokotów, ul. Wołoska 12, Warszawa, tel. 782-666-007
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Plac Trzech Krzyży 8, Warszawa, tel. 607-664-724
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Plac Konstytucji 6, Warszawa, tel. 661-980-576
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), CH Silesia, ul. Chorzowska 111, Katowice, tel. 783-782-720
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Galeria Bałtycka, Al. Grunwaldzka 141, Gdańsk, tel. 661-980-727
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), WOC Lotnisko Okęcie, ul. Żwirki i Wigury 1, Warszawa, tel. 661-980-575
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Galeria Krakowska, ul. Pawia 5, Kraków, tel. 691-360-541
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Posnania, ul. Pleszewska 1, Poznań, tel. 691-360-542

36 Był sobie człowiek
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Gdyby nie kilka upartych osób gotowych ominąć kilka skostniałych procedur, Ewa Musiał umarłaby, oficjalnie nigdy nie istniejąc.

50 Granica Dobrej Nowiny
ROMAN HUSARSKI Z WYSP ANDAMAŃSKICH
Zabójstwo misjonarza, który chciał przekonać wyspiarzy do chrześcijaństwa, wznowiło debatę nad prawami ludzi od tysiąca lat żyjących według swoich zasad.

28 Gra w Pana Boga
Z JOANNĄ PIETRUSIEWICZ, PREZESKĄ FUNDACJI RODZIĆ PO LUDZKU, ROZMAWIA JUSTYNA DĄBROWSKA:
17 proc. rodzących doświadcza przemocy: to policzkowanie, rozwieranie nóg na siłę, wyśmiewanie, obrażanie, szantaż.

40 Maryja jest jedną z nas
ROZMOWA Z ELŻBIETĄ ADAMIAK, TEOLOŻKĄ:
Dogmat o niepokalanym poczęciu pokazuje, że nie wystarczamy sami sobie, że potrzebujemy czegoś, co przeciwstawi się złu i cierpieniu, że potrzebujemy łaski.

70 Najpierw są pomruki
ROZMOWA Z TOMASZEM RÓŻYCKIM:
Poezja jest związana z chodzeniem. Bez spacerowania, czyli poznawania świata, nie ma wierszy.

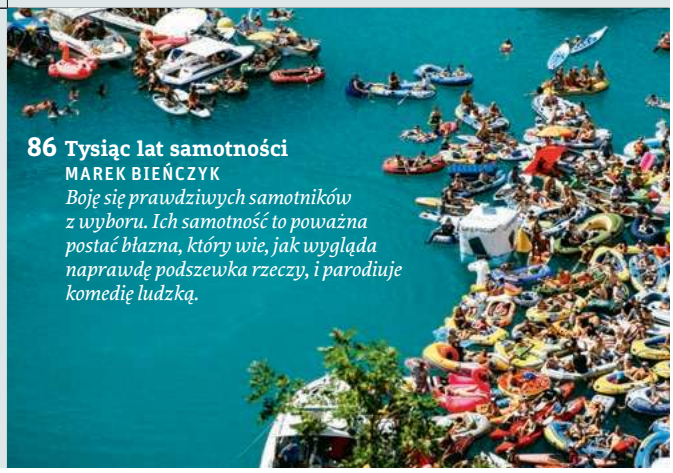

86 Tysiąc lat samotności
MAREK BIEŃCZYK
Boję się prawdziwych samotników z wyboru. Ich samotność to poważna postać błazna, który wie, jak wygląda naprawdę podszewka rzeczy, i parodiuje komedię ludzką.

ARCHIWUM ADRIANY POROWSKIEJ // ROMAN HUSARSKI // EAST NEWS // DENIS BALIBOUSE / REUTERS / FORUM // SLAV ZATOKA // GILLIAN ANDES / CATERS NEWS / FORUM

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

8 COP24: Narada nad przyszłością ADAM ROBIŃSKI

9-13 Wiadomości / Komentarze

22 Czytania / Widzenia ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

24 Ku władzy monopartii KLAUS BACHMANN: *Afera KNF to pośredni skutek reformy wymiaru sprawiedliwości*

28 Gra w Pana Boga ROZMOWA Z JOANNĄ PIETRUSIEWICZ

32 Wieczny dyżur MACIEJ MÜLLER: *Na tysiąc Polaków przypada 2,4 lekarza*

■ ■ REPORTAŻ

36 Był sobie człowiek PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

■ ■ WIARA

40 Maryja jest jedną z nas ROZMOWA Z ELŻBIETĄ ADAMIAK

44 Brat Lew i beatowcy KAROL KLECZKA *o ks. Leonie Kantorskim*

46 Zniknęli we mgle STANISŁAW ZASADA *o zamordowanych trapistach z klasztoru w Tibhirine*

■ ■ ŚWIAT

50 Granica Dobrej Nowiny ROMAN HUSARSKI

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■ ■

14 Terapeutyczny labirynt KRZYSZTOF STORY *Psychoterapia jest dobra i może pomóc. Musisz tylko uważać, do kogo trafisz.*

18 Wybierz dobrze ROZMOWA Z PROF. LIDIĄ GRZESIUK, PSYCHOTERAPEUTKĄ: *Dopiero podczas terapii ujawniają się wcześniej ukryte, nieświadome problemy.*

BARBARA NIEWIADOMSKA

■ FELIETONY ■

35 ANNA DZIEWIT-MELLER **49** SZYMON HOŁOWNIA **61** WOJCIECH BONOWICZ **84** JAN KLATA **85** PAWEŁ BRAVO **90** STANISŁAW MANCEWICZ **90** BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: BARBARA NIEWIADOMSKA
Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

54 Kto dał zlecenie na Katję Handziuk MONIKA ANDRUSZEWSKA: *Na jakich frontach trwa walka o Ukrainę*

58 Brexit: chaosu ciąg dalszy PATRYCJA BUKALSKA

■ ■ HISTORIA

62 Spór o Piłsudskiego DEBATA

■ ■ NAUKA

66 Układ osobliwości PIOTR STANKIEWICZ *o Układzie Słonecznym*

■ ■ KULTURA

70 Najpierw są pomruki ROZMOWA Z TOMASZEM RÓŻYCKIM

75 Zerwania i zaślubiny PIOTR KOSIEWSKI: *Awangarda i państwo*

78 Teatr markowy DARIUSZ KOSIŃSKI *o nowym spektaklu Strzępki i Demirskiego*

80 Szekspir też by nie dał rady JAKUB MAJMUREK: *Ostatni sezon serialu „House of Cards”*

82 Warto zobaczyć w TV

82 Filtry obcości ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Fuga”*

84 Niepewność LEKTOR *o książce „Cud. Kryminał polityczny” Josefa Škvoreckiego*

■ ■ ZMYSŁY

86 Tysiąc lat samotności MAREK BIEŃCZYK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata

Salome Zurabiszwili, wspierana przez partię „Gruzińskie marzenie”, została pierwszą w Gruzji kobietą-prezydentem – **WOJCIECH JAGIELSKI** *wyjaśnia, czyim zakładnikiem jest tamtejsza polityka:* **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

17 mgnień Rosji

Propagandowe silniki rosyjskich mediów rozgrzano do czerwoności w oczekiwaniu na spotkanie Putin-Trump w Buenos Aires – **ANNA ŁABUSZEWSKA** *pisze o odwołanej rozmowie prezydentów i o tym, że nic nie jest takie, na jakie wygląda:* **labuszewska.blog.tygodnikpowszechny.pl**

/TygodnikPowszechny ■ /Tygodnik ■ /Tygodnik ■ YouTube /TygodnikPowszechny

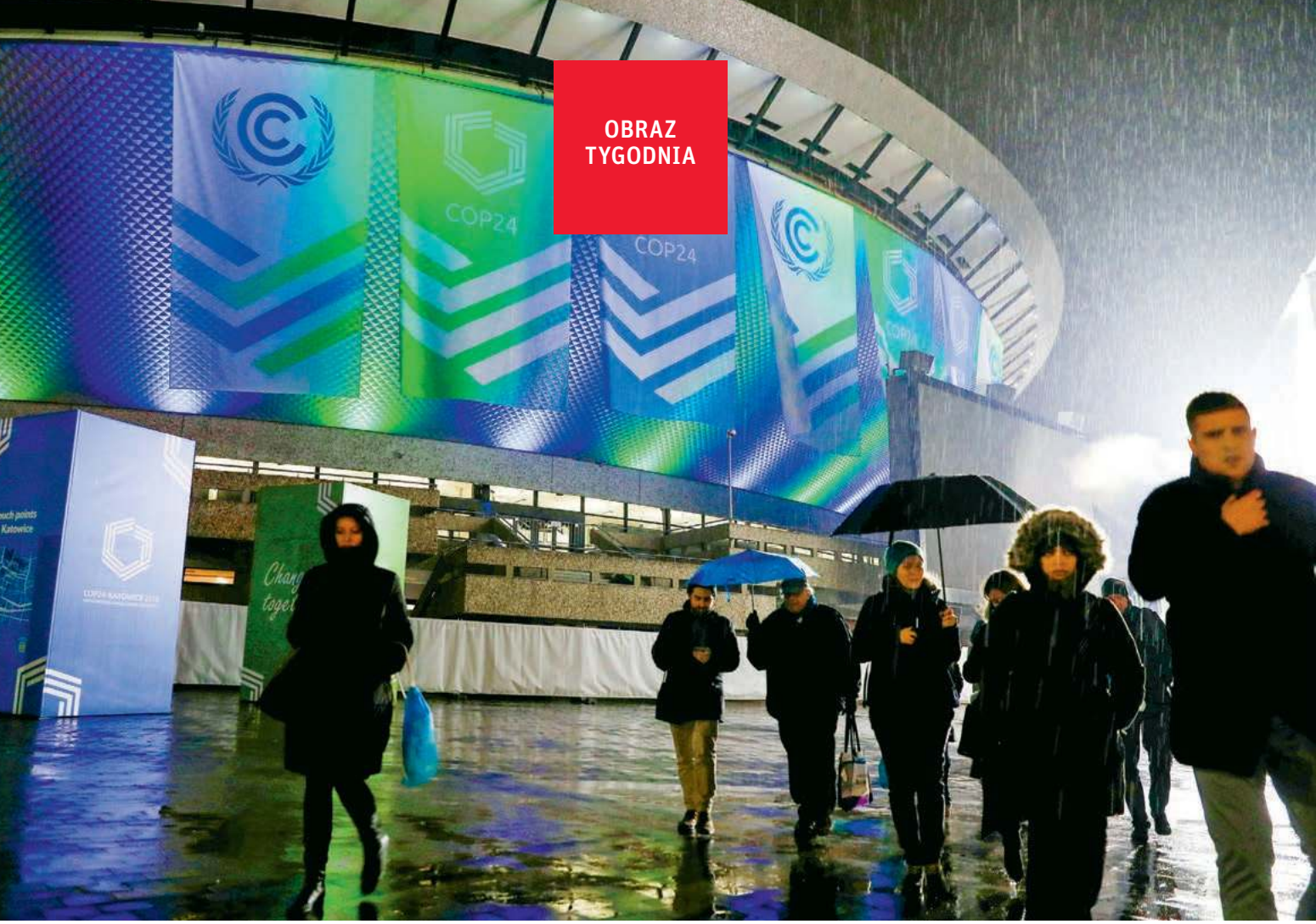

OBRAZ TYGODNIA

NARADA NAD PRZYSZŁOŚCIĄ

W cieniu śląskich szybów kopalnianych świat jeszcze raz próbuje porozumieć się w sprawie ratowania klimatu.

ADAM ROBIŃSKI

Katowicki Spodek, miejsce obrad, w dniu rozpoczęcia szczytu, 2 grudnia 2018 r.

KACPER PEMPEL / REUTERS / FORUM

Trawę pomalowano już dwa tygodnie temu. W przygotowanym przez MSZ klipie klimat w Polsce zmienia się tylko na lepsze, a przyjazne środowisku technologie nieustannie rozrzedzają energetyczny koktajl. Ale przywódcy 195 państw, którzy przyjechali do Katowic na 24. Zgromadzenie Stron (3-14 grudnia), nie czerpią wiedzy o Polsce z „Wiadomości" TVP. Kraj, którego gospodarka jest uzależniona w 80 proc. od energii opartej na węglu, to już nie Poland, tylko *Coaland*. Tym bardziej że partnerami szczytu zostały m.in. Jastrzębska Spółka Węglowa, Tauron, PGE i PGNiG ładujące do atmosfery miliony ton gazów cieplarnianych rocznie.

To ostatnie może być paradoksalnie pozytywnym sygnałem. Rewolucja w energetyce jest nieunikniona, a tematu klimatycznej katastrofy nie da się dłużej ignorować. Czerpiące zyski z eksploatacji paliw kopalnych spółki chcą być obecne przy nowym rozdaniu.

Nazwa Zgromadzenie Stron może być na pierwszy rzut oka myląca. W obliczu destabilizacji warunków życia na planecie cała ludzkość musi trzymać jedną stronę, a jej celem powinno być łagodzenie tych skutków wysokoemisyjnego stylu życia, których już nie uda się uniknąć. Nauka jest zgodna, że tylko utrzymanie wzrostu średniej temperatury o 1,5 st. C w porównaniu do tej sprzed epoki przemysło-

wej gwarantuje w miarę bezpieczną drugą połowę XXI wieku. Tymczasem już teraz podgrzaliśmy Ziemię o 1,2 stopnia.

Szczyty COP odbywają się rokrocznie od 1995 r. Najważniejszym był paryski sprzed trzech lat, którego uczestnicy zgodzili się na dobrowolne ograniczanie emisji. Ówczesny szef francuskiego MSZ Laurent Fabius zielonym młotkiem przyklepywał porozumienie, a na twarzach wielu delegatów malowało się autentyczne wzruszenie.

Trzy lata później częściej widać jednak frustrację. Klimat polityczny nie sprzyja ratowaniu klimatu. Przywódcą USA jest klimatyczny denialista Trump, a prezydent-elekt Brazylii Jair Bolsonaro zapowiedział wylesianie Puszczy Amazońskiej, zamiast jej zalesiania.

Jak dalecy jesteśmy od realizacji celów stawianych nam przez naukę, uświadomiła seria raportów opublikowanych w ostatnich tygodniach. Najważniejszy płynący z nich wniosek to ten, że do 2050 r. emisja dwutlenku węgla do atmosfery musi zostać zredukowana do zera. Dokładnie to zaproponowała w minioną środę krajom Unii Komisja Europejska. Najpóźniej za 32 lata Wspólnota ma emitować do atmosfery tylko tyle gazów cieplarnianych, ile będzie w stanie jednocześnie pochłonąć. Polski rząd może oczywiście stanąć okoniem, potwierdzając rolę unijnego szwarcharakteru. Niewykluczone jednak, że realizacja polityki klimatycznej sojuszu przez kraje członkowskie będzie miała odzwierciedlenie w wieloletniej perspektywie budżetowej UE.

Celem katowickiego COP24 jest wypracowanie zasad egzekwowania porozumień paryskich. Jeśli uczestnicy szczytu jeszcze raz staną na wysokości zadania, społeczność międzynarodowa uzyska mechanizmy kontrolne i dyscyplinujące. Ale oprócz kija ludzkość potrzebuje też marchewki – przykładów na to, że ukierunkowana na zerowe emisje transformacja gospodarki jest nie tylko możliwa, ale i opłacalna. Deklaracja Komisji Europejskiej może więc już teraz okazać się najważniejszym osiągnięciem katowickiego szczytu. ©

Samoocena minister edukacji

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

„Chcę z najwyższą przyjemnością poinformować, że mamy wszędzie wzrosty" – powiedziała minister edukacji Anna Zalewska, podsumowując dwa lata reformy. Szefowa resortu podała, że o ponad 10 tys. wzrosła w roku szkolnym 2018/2019 liczba etatów w przedszkolach oraz szkołach, a o 7 tys. liczba nauczycieli. Nie dodała już, że wzrost zatrudnienia wiąże się w dużej mierze ze zwiększonym popytem na pedagogów przedszkolnych po wejściu w życie obowiązku zapewnienia przez gminy miejsca trzylatkom, i że równolegle z przyjęciem do pracy jednych pedagogów inni (w liczbie kilku tysięcy) w efekcie reformy pracę stracili.

Co innego jednak niż statystyczne zawiłości nadaje się na podsumowanie mijających dwóch lat PiS-owskiego remontu oświaty: ani opozycji, ani ZNP nie udało się przez ten czas przekonać Polaków, że szkole dzieje się krzywda (we wrześniu 67 proc. pytanych mówiło CBOS-owi, że obecny system jest lepszy od poprzedniego, z gimnazjami). A znalazłyby się ku temu argumenty: przeładowane podstawy programowe, chaos w ośmioklasowych podstawówkach, lęk uczniów i rodziców przed pojawieniem się za niecały rok tzw. podwójnego rocznika licealnego.

Nic z tego nie przebiło się do opinii publicznej. Znakiem firmowym „dobrej zmiany" w edukacji po dwóch latach pozostaje więc tyleż sama – nieprzemyślana i szkodliwa – reforma, co zdumiewająca słabość jej krytyków. W tych warunkach minister może sobie bezkarnie wystawiać dowolne oceny. ©℗

Wolne niedziele, a świat się trzyma

DOBIEGA KOŃCA PIERWSZY ROK, gdy Polacy nie mogli robić zakupów w niektóre niedziele. Wbrew przepowiedniom biznesu świat się nam od tego nie zawalił. Nie zawali się również w roku 2019. Od stycznia zakupy zrobimy już tylko w jedną niedzielę w miesiącu (ostatnią). W Sejmie trwają też prace nad uszczelnieniem samego mechanizmu.

Prawo przewiduje 32 wyjątki. Po to, żeby nawet w niedzielę niehandlową ludzie mogli zatankować auto albo zjeść szarlotkę w cukierni. Wyłączenia były wykorzystywane do obchodzenia prawa. Na przykład sklepy sieci Żabka często „podszywały się" pod placówki pocztowe (co uprawniało je do działalności w wolne niedziele). Nowela ma im to uniemożliwić.

Przez lata zwykło się uważać, że aby jakaś reforma była słuszna, musi poszerzać zasięg wolnego rynku. W końcu przyszła jednak refleksja, że może czas na korektę tej zasady. Ograniczenie handlu w niedziele to jeden z takich przypadków. To próba wyszarpnięcia czysto rynkowej logice jednego z najcenniejszych ludzkich zasobów, czyli czasu. I oddanie go ludzkim sprawom: rozrywce, odpoczynkowi, rodzinie albo duchowości.

Dlatego gdy na jednej szali leży wolna niedziela, a na drugiej interes właściciela, to wybieram to pierwsze. My, jako społeczeństwo, bardziej niedziel potrzebujemy.

©℗ RAFAŁ WOŚ

5 groszy do wyborów

CZY ORLEN I LOTOS próbowały pomóc partii rządzącej osiągnąć lepszy wynik w wyborach samorządowych, obniżając marże na czas kampanii? Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów bada ich cenniki.

„W odniesieniu do podejrzeń o wystąpieniu nieprawidłowości na rynku paliw w październiku br., UOKiK poinformował, że obecnie prowadzona jest wstępna analiza cen hurtowych i detalicznych oferowanych przez PKN Orlen SA" – potwierdza Ministerstwo Energii w odpowiedzi na interpelację posłanek Aldony Młyńczak i Zofii Czernow z PO. Parlamentarzystki podejrzewają, że Lotos i Orlen „zdecydowały się dopłacać do każdego sprzedanego litra oleju napędowego, aby (...) uniknąć podwyżek cen i jednocześnie – jako dominujące podmioty rynkowe – wpłynąć na to, że inne podmioty rynkowe z sektora paliwowego przyjmą podobne ceny".

Firma badawcza Reflex podaje, że na stacjach Orlenu i Lotosu tuż przed wyborami litr benzyny 95 kosztował średnio 4 grosze mniej niż u konkurencji. W przypadku diesla różnica wynosiła ok. 5 groszy. ©℗ MAREK RABIJ

W SKRÓCIE

NIE KOCHAJĄ. Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jak inni ludzie, zdziercy, oszuści, cudzołożnicy, albo jak i ten celnik" – modlił się faryzeusz w Ewangelii Łukasza. „Matko Boska Nieustającej Pomocy, to jest moja wielka prośba, wielkie zawołanie: Miej w opiece naród cały. Również tych, którzy nie kochają Polski aż tak mocno jeszcze, póki co, tak jak my tutaj, tak jak cała rodzina Radia Maryja" – modlił się premier Morawiecki podczas obchodów 27. rocznicy powstania toruńskiej rozgłośni. Podczas jej święta usłyszeliśmy słowa mądre i piękne, prezydent Duda np. podzielił się myślą, że „każda rocznica ożywia wspomnienia, a jednocześnie sprawia, że wybiegamy myślą w przyszłość".

NIE SŁUCHAJĄ. Wdzięczni i za modlitwę, i za słowa, cieszymy się, że możemy o nich pisać. Do Sądu Okręgowego w Warszawie wpłynęło wszak sześć wniosków NBP o „tymczasowe zabezpieczenie" na czas procesów o ochronę dóbr osobistych przeciwko prasie – pełnomocniczka banku domaga się w nich usunięcia przez media artykułów łączących tę instytucję i jej prezesa z aferą wokół Marka Ch., aresztowanego na dwa miesiące b. szefa KNF.

NIE WIDZĄ. Nie wszyscy to chyba rozumieją. „To zadziwiające, że publiczne osoby mogły zaatakować dziennikarzy, którzy wypełniali funkcję niezależnych mediów w tętniącej życiem polskiej demokracji" – napisała ambasador USA do premiera w związku z reportażem śledczym TVN 24 o neonazistach, którego autora prokuratura podejrzewa o... propagowanie nazizmu.

NIE PISZĄ. Z drugiej strony: czy autor ów nie mógł wybrać innego tematu? W tym tygodniu pokazać np. mającego ponad 4 promile alkoholu we krwi traktorzysty, który w Kadziaku wjechał w ogrodzenie i zasnął? O tym, że władzy marzą się media nietrzeźwe i śpiące, napisać jednak nie śmiemy – z miłości do Polski, oczywiście.

Rosja: agresji ciąg dalszy

WOJCIECH KONOŃCZUK

Atak na trzy okręty ukraińskie niedaleko wejścia do Cieśniny Kerczeńskiej i wzięcie do niewoli, a następnie aresztowanie 23 ukraińskich marynarzy [patrz „TP" nr 49 – red.], których przewieziono z Krymu do Moskwy, przypomniały światu o trwającej wojnie Rosji przeciw Ukrainie. Prezydent Poroszenko zareagował na tę rosyjską agresję decyzją o wprowadzeniu stanu wojennego, co jest działaniem zaskakującym. Oznacza bowiem m.in. możliwość ograniczenia niektórych wolności obywatelskich, ale niekoniecznie wzmacnia potencjał obronny kraju. Z podejrzliwością do propozycji odniósł się parlament, który zgodził się na stan wojenny, ale tylko na 30 dni i w 10 przygranicznych obwodach. Trudno nie mieć wrażenia, że ukraiński prezydent próbuje wykorzystać rosyjski atak również w celach wewnątrzpolitycznych, by na cztery miesiące przed wyborami zwiększyć poparcie dla siebie (dziś może liczyć na głosy 10 proc. wyborców).

Politycy zachodni byli niemal jednomyślni w potępieniu agresji rosyjskiej, ale wiele mediów zaczęło mnożyć pytania co do sensowności stanu wojennego. Do porządku dziennego wraca pytanie o możliwość nasilenia sankcji wobec Rosji. Ale to, co jest oczywiste w Warszawie, niekoniecznie jest takie we wszystkich stolicach Unii. Szczególnie, że wcześniej coraz wyraźniejsze stawały się głosy, by sankcje łagodzić. Patrząc realistycznie, wprowadzenie nowych poważnych sankcji będzie trudnym zadaniem.

Pewne jest natomiast, że Rosja nadal będzie prowadzić działania destabilizujące, wykorzystując teraz nie tylko Donbas, lecz także konflikt wokół Morza Azowskiego – gdzie celem Moskwy jest przejęcie pełnej kontroli nad żeglugą i doprowadzenie do izolacji portów w Mariupolu i Berdiańsku (co przyniosłoby fatalne skutki gospodarcze i społeczne dla południowego wschodu Ukrainy) – jak również proces tworzenia niezależnej od Moskwy ukraińskiej Cerkwi prawosławnej. ©

ALAIN JOCARD / AFP / EAST NEWS

CZY „ŻÓŁTE KAMIZELKI" POKONAJĄ Emmanuela Macrona? Gwałtowne antyrządowe protesty, których uczestnicy noszą odblaskowe drogowe kamizelki, trwają we Francji od połowy listopada. Wybuchły po tym, gdy władze zapowiedziały wyższe opodatkowanie paliw w imię troski o ekologię, licząc się z tym, że wywoła to wzrost cen benzyny i oleju napędowego. Do kolejnych starć manifestantów z policją doszło w sobotę 1 grudnia na paryskich Polach Elizejskich. © SZŁ

Więcej:
http://lucyk.blog.tygodnikpowszechny.pl

Bush senior nie żyje

BYŁ PREZYDENTEM Stanów Zjednoczonych w kluczowym momencie historycznym: okres jego urzędowania (1989-93) to czas rozpadu bloku wschodniego i burzliwych zmian geopolitycznych. Jego operacja „Pustynna Burza" w 1991 r. w obronie Kuwejtu – najechanego przez irackiego dyktatora Saddama Husajna – zaczęła interwencjonistyczny zwrot w polityce wobec Bliskiego Wschodu. W kontekście obecnej polaryzacji w USA będzie pamiętany jako autor osobistego listu do Billa Clintona, w którym po przegranych wyborach życzył swemu rywalowi i następcy sukcesów i zapewniał o swoim wsparciu.

George H.W. Bush nie był jednak postacią jednoznaczną, a jego życiorys ma niejedną rysę. Największą jest udział w aferze Iran-Contras: jako wiceprezydent pod Ronaldem Reaganem był zamieszany w nielegalną sprzedaż broni do Iranu i bezprawne finansowanie prawicowej partyzantki w Nikaragui. Pod koniec swej prezydentury ułaskawił zamieszanych w aferę urzędników – być może po to, by uniknąć zeznawania w charakterze świadka.

41. prezydent USA (i ojciec 43. prezydenta George'a W. Busha) zmarł 30 listopada w wieku 94 lat. © JAN SMOLEŃSKI

NIELS WENSTEDT / PAP

Haga: azyl w kaplicy

W ŚRODKU TRWA MODLITWA, ale żeby wejść do kaplicy, trzeba skorzystać z dzwonka – napis przy drzwiach głosi: „zamknięte z powodu wyjątkowej sytuacji". W takich okolicznościach już od pięciu tygodni trwa nabożeństwo, które kilkuset pastorów i wolontariuszy odprawia w jednej z haskich świątyń. Ich cel: uniemożliwienie holenderskim urzędnikom deportacji przebywającej tu rodziny z Armenii (na zdjęciu). Zgodnie z tradycją służby państwowe nie wchodzą do świątyń podczas uroczystości religijnych.

Rodzina Tamrazjanów przybyła do Holandii przed ośmioma laty uchodząc, jak utrzymywała, przed prześladowaniami politycznymi w swoim kraju. Ich wniosek o azyl został niedawno ostatecznie odrzucony; trojgu dzieci odmówiono też skorzystania z przepisów, które chronią najmłodszych mieszkających w Holandii przez co najmniej pięć lat. Psychologowie zajmujący się rodziną uważają, że po upływie takiego czasu przymusowy powrót do Armenii grozi dzieciom traumą. Oskarżają też ministra ds. migracji o celowe odrzucanie ponad 90 proc. wnoszonych w imieniu dzieci petycji.

28 października do akcji wkroczył więc Kościół protestancki – pastor Axel Wicke, używając klawiaturowego skrótu „kopiuj-wklej" skompilował liturgię z ostatnich 10 lat, a następnie modlił się i śpiewał w kaplicy tak długo, aż znaleźli się jego zastępcy. Do tej pory w prowadzeniu nabożeństwa pomogło mu już pół tysiąca ludzi. Kościół odpiera zarzuty o mieszanie się w wewnętrzne sprawy państwa. „Naszym celem – napisał w oświadczeniu – jest zapewnienie czasu i przestrzeni na rozmowę z rządem o dylemacie, z którym żaden Kościół nie powinien być konfrontowany: wyborze między szacunkiem dla władz a ochroną praw dzieci". Wbrew pozorom nie jest to sprawa odosobniona – tylko w Holandii w podobnej sytuacji znajduje się około ośmiuset najmłodszych azylantów.

©℗ MARCIN ŻYŁA

Bóg już tu nie mieszka

EDWARD AUGUSTYN

Pod takim tytułem odbyło się 29-30 listopada w Rzymie międzynarodowe sympozjum na temat desakralizacji świątyń, zorganizowane przez watykańskie „ministerstwo kultury" i Episkopat Włoch. Problem znany jest w wielu krajach Europy i Ameryki Północnej: opuszczone kościoły przerabiane są na hotele, restauracje, sale sportowe, nocne kluby czy skateparki – ku zgorszeniu tych (tak katolików, jak i protestantów), którzy czują się z tymi miejscami emocjonalnie związani.

Przyczyny sprzedaży świątyń są różne, w zależności od kraju i regionu: zmniejszenie liczby wiernych, brak księży, zbyt wysokie koszty utrzymania. Uczestnicy konferencji debatowali, w jaki sposób zagwarantować nieużywanym świątyniom godną funkcję: kultową (przekazanie do użytku rozrastającym się, wskutek imigracji, wspólnotom innych religii – we Włoszech są to najczęściej prawosławni i muzułmanie), kulturalną (muzea, biblioteki), socjalną (centra pomocy, ośrodki medyczne lub edukacyjne). Omawiano kwestie prawne, techniczne, architektoniczne, psychologiczne, a wnioski z debaty posłużą biskupom ordynariuszom, do których zawsze należy ostateczna decyzja o podpisaniu umowy sprzedaży i warunkach transakcji.

„Dobra Kościoła, choćby były dobrami kultury, nie mają wartości absolutnej – napisał do uczestników konferencji papież Franciszek. – W razie konieczności powinny służyć większemu dobru, jakim jest człowiek, zwłaszcza najbiedniejszy". ©℗

450 lat drogi na Górę Karmel

ELIASZ I MATKA BOŻA – z tych dwóch postaci brali wzór pustelnicy, którzy osiedlali się w XII i XIII w. na Górze Karmel w Ziemi Świętej. Surowa reguła, nakazująca łączyć kontemplację z duszpasterstwem, zapewniła nowemu zakonowi karmelitów – po wymuszonej przez upadek państw krzyżowych przeprowadzce do Europy – popularność i szacunek. W początkach nowożytności styl życia mnichów nie przypominał już jednak idei ojców założycieli.

Nie godziła się z tym charyzmatyczna karmelitanka Teresa z Avili, zwana dzisiaj Wielką: napisała zasady życia dla zakonnic, po czym postanowiła nakłonić braci do powrotu do pierwotnej surowości. Przekonała przyszłego mistyka Jana od św. Macieja, który wkrótce – jako Jan od Krzyża – został mistrzem nowicjatu w Duruelo. Bracia rozpoczęli życie w tym klasztorze 28 listopada 1568 r. – i tę datę karmelici bosi uważają za początek swojej gałęzi zakonnej; właśnie świętują jubileusz 450-lecia.

Dzieje reformy nie były łatwe: Teresę zmuszono do „emerytury" i zamilknięcia, a Jana porwali i uwięzili karmelici trzewiczkowi (z gałęzi niezreformowanej). Głodzony i torturowany (biczowano go na oczach konwentu), zbiegł po dziewięciu miesiącach. Upór Teresy i Jana przyniósł owoce: w 1593 r. Rzym zatwierdził zakon karmelitów bosych. Dziś liczy prawie 4,5 tys. zakonników i 11,5 tys. zakonnic.

©℗ MACIEJ MÜLLER

W SKRÓCIE

BISKUPI W KRAKOWIE. Nowymi biskupami pomocniczymi krakowskimi zostali dotychczasowy rektor Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach ks. Franciszek Ślusarczyk (60 l.) oraz rektor krakowskiego Wyższego Seminarium Duchownego ks. prof. Janusz Mastalski (54 l.).

KSIĘŻA W WATYKANIE. Duchowni powinni być zatrudniani na pięcioletnie kontrakty, które będzie można odnawiać na następne pięć lat. Powinni jednak pracować w Rzymie nie dłużej niż 10 lat. Ma to zachęcać biskupów do posyłania swoich kapłanów do Rzymu. O nowych zasadach pracy w Watykanie dyskutowano na spotkaniu papieża z szefami dykasterii Kurii Rzymskiej – ujawnił watykanista Andrea Tornielli.

CHARAKTER W RADIU MARYJA. Już 300 tys. egzemplarzy poradnika „Kształcenie charakteru" rozdał o. Tadeusz Rydzyk. Poradnik, napisany przez redemptorystę Mariana Pirożyńskiego w 1946 r., zawiera m.in. porady z dziedziny wychowania seksualnego. „Rozkosz erotyczna trwa krótko, lecz wprowadza nerwy w stan wysokiego napięcia, wskutek czego organizm wyczerpuje się szybko a gruntownie" – przestrzega autor.

KONFESJONAŁ W POCIĄGU. Dyskusję w mediach wywołał pomysł Kolei Małopolskich, by przed świętami umożliwić spowiedź w pociągach. Chętnie na ten temat wypowiadał się sam prezes spółki – Grzegorz Stawowy. „Sprawdzamy, czy jest technicznie możliwe, by np. zamontować tymczasowo konfesjonał w pociągu" – ujawnił. Przy okazji zdradził także, o co chodzi: „Traktujemy to bardziej jako wydarzenie o charakterze marketingowym".

LICZBA TYGODNIA

317 000

Tylu pielgrzymów do końca listopada dotarło pieszym szlakiem do Santiago de Compostela. To jak dotąd rekordowy wynik. Frekwencja świadczy o rosnącym znaczeniu Drogi św. Jakuba.

Kołyska z trumienki

TOMASZ FIAŁKOWSKI

Z DNIEM WEJŚCIA W ŻYCIE USTAWY LIKWIDUje się Instytut Europy Środkowo-Wschodniej" – czytamy w ustawie o Instytucie Europy Środkowej, uchwalonej 9 listopada przez Sejm, przyjętej przez Senat i czekającej na podpis prezydenta. Pierwszy z instytutów istnieje w Lublinie od 2001 r., wyrósł ze stowarzyszenia założonego 10 lat wcześniej z inicjatywy prof. Jerzego Kłoczowskiego. Zmarły w ubiegłym roku historyk był orędownikiem współpracy z naszymi wschodnimi sąsiadami w duchu Jerzego Giedroycia. IEŚW, chwalony m.in. przez Lecha i Jarosława Kaczyńskich, ma znaczący dorobek, a wydawany przez niego rocznik – znakomite notowania. Skąd więc pomysł jego likwidacji?

Wyjaśnienie znajdujemy w uzasadnieniu rządowego projektu ustawy: chodzi o wsparcie idei Trójmorza, nowego celu strategicznego naszej polityki zagranicznej. Niestety IEŚW nakierowany był na Litwę, Ukrainę, Białoruś i Rosję, tymczasem trzy ostatnie państwa do Trójmorza nie należą... Trzeba więc zniszczyć to, co istnieje i dobrze działa, by zbudować... właśnie, co? W opinii wiceprezesa Polskiej Akademii Nauk czytamy, że „status nowego instytutu jest niejasny", że nie będzie to już jednostka naukowa, jaką był IEŚW, i że wymagania wobec dyrektora (mianuje go premier) są zdumiewająco skromne – tylko magisterium, znajomość języków niewymagana. Dodajmy, że tej opinii komisje sejmowe nie uwzględniły, a projektu ustawy w ogóle nie konsultowano z obecnym dyrektorem IEŚW, prof. Mirosławem Filipowiczem.

Kiedy w 1981 r. po latach starań pisarzy niezależnych ukazał się w Krakowie pierwszy numer miesięcznika „Pismo", Wisława Szymborska wyraziła radość z faktu, że jest to pismo naprawdę nowe i że „jego kołyska nie została przerobiona z niczyjej trumienki", jak bywało w PRL-u. Czyżby stare wracało? ©℗

TANAY PANPALIAB / SOLENT NEWS & PHOTO AGENCY / EAST NEWS

Koty, ludzie i ofiary

JUŻ DWADZIEŚCIA OSÓB zginęło w tym roku z powodu ataków lampartów i tygrysów w indyjskim stanie Uttarakhand. To rezultat wycinki lasów, która zmusza drapieżniki do szukania pożywienia coraz bliżej ludzkich siedzib.

Położony przy granicy z Nepalem Uttarakhand słynie nie tylko z parku narodowego Nanda Devi, uważanego za jeden z najpiękniejszych zakątków Himalajów, ale również ze stosunkowo licznej populacji żyjących tu dziko lampartów i tygrysów, które niestety coraz częściej atakują ludzi. Od 2010 r. władze stanowe zanotowały blisko 250 takich przypadków. Ofiarami padają najczęściej pracujące w polu kobiety oraz dzieci, które zapuszczają się w las w poszukiwaniu drewna na opał. Pod koniec listopada lampart zabił siedmioletnią dziewczynkę i było to już szóste w tym roku dziecko, które poniosło w tej części Indii śmierć z powodu ataku drapieżnika.

Władze stanu Uttarakhand, który czerpie spore dochody z turystyki, obawiają się, że informacje o kolejnych atakach odstraszą przyjeżdżających, dlatego nawołują media do powściągliwości. Zdaniem niektórych zoologów szybko rosnąca liczba ataków na ludzi może jednak świadczyć o tym, że niektóre koty, zwykle unikające kontaktu z ludźmi, przestały się ich obawiać. Mieszkańcy okolicznych wsi domagają się zdecydowanej interwencji rządu, ponieważ drapieżniki dziesiątkują im również trzodę chlewną.

Uttarakhand nie po raz pierwszy ma problem z ludojadami. To właśnie tu słynny brytyjski myśliwy Jim Corbett jesienią 1925 r. upolował opodal miejscowości Rudraprayag panterę, która miała zabić w okolicy ok. 125 osób. ©℗ MR

Tajemnica pierścienia z brązu

CZY ODKOPANY pół wieku temu w ruinach pałacu w Herodium (niedaleko Betlejem) pierścień należał do prefekta Judei Poncjusza Piłata? Sugerują to wyniki ostatnich badań: po tym, jak zabytek oczyszczono i sfotografowano, odczytano greckie litery składające się na imię „Piłat", otaczające wizerunek pucharu na wino. Kierujący wykopaliskami w Herodium archeolog Roi Porat powiedział, że wprawdzie naukowcy powinni ostrożnie formułować hipotezy, ale w tym przypadku skojarzenie pierścienia z rzymskim urzędnikiem, który skazał na śmierć Jezusa, jest niezwykle kuszące. Imię „Poncjusz" było w Rzymie dość popularne, lecz historycy nie są w stanie wskazać w Judei okresu Drugiej Świątyni innego „Piłata" niż rzymski zarządca.

Pierścień z Herodium budzi jednak szereg wątpliwości. Piłat nie należał co prawda do arystokracji senatorskiej, ale zaliczał się do dumnej i bogatej warstwy ekwitów (jeźdźców). Trudno sobie wyobrazić, by nosił na palcu pierścień z brązu, i to kiepsko wykonany (prawdopodobnie w jakimś jerozolimskim warsztacie). Część badaczy wskazuje, że prefekt mógł posiadać dwa pierścienie – złoty na ważniejsze okazje i brązowy na co dzień, ale wydaje się to argumentacją naciąganą. Niewykluczone jednak, że pierścieniem – pełniącym rolę pieczęci – posługiwał się jakiś urzędnik Piłata. Lub też że należał on

EPA / PAP

do kogoś z jego rodziny lub do wyzwolonego niewolnika. Tak czy inaczej – odkryto drugi po inskrypcji na tzw. kamieniu Piłata z Cezarei Nadmorskiej zabytek dotyczący niesławnego prefekta. ©℗ MAM

Pierwsze dzieci modyfikowane genetycznie

ŁUKASZ KWIATEK

We wtorek 27 listopada przekroczona została ważna bariera bioetyczna: chiński biotechnolog He Jiankui ogłosił, że pod jego nadzorem urodziła się dwójka dzieci, o pseudonimach „Lulu" i „Nana", których genom został planowo zmodyfikowany na wczesnym etapie życia embrionalnego.

Sama metoda – CRISPR/Cas – jest rozwijana od dekady, a od ok. 5-7 lat wiadomo, że da się przy jej pomocy precyzyjnie modyfikować wybrane geny, również u ludzi. Ogłaszane dotychczas badania na zarodkach ludzkich prowadzone były jednak wyłącznie na bardzo młodych embrionach i nigdy nie wszczepiano ich kobietom. He Jiankui współpracował z parami planującymi potomstwo, w których mężczyzna był nosicielem wirusa HIV. W wytworzone *in vitro* zarodki została „wklejona" wersja genu, noszącego nazwę CCR5, której posiadacze są częściowo odporni na AIDS. Ów wariant genetyczny występuje naturalnie u niewielkiej grupy ludzi. Dzięki manipulacji genetycznej wszystkie komórki ciała zarodków – a teraz już dzieci – wyposażone są właśnie w tę mutację.

Obwieszczenie He spotkało się z krytyką. Rząd chiński zabronił mu dalszego prowadzenia badań. Bioetycy wyrażali się z oburzeniem, określając eksperyment jako „nieodpowiedzialny", „nieetyczny" czy „niebezpieczny". Metoda CRISPR/Cas jest wciąż młoda, a jej skuteczność nie jest stuprocentowa. Bywa, że ingerencja genetyczna nie jest do końca „czysta": przy okazji modyfikacji jednego genu wprowadzana jest mutacja w zupełnie innym miejscu.

Oburzenie komentatorów wynika nie tyle z tego, co zrobił He, lecz kiedy. George Church, genetyk i jeden z pionierów metody CRISPR/Cas, jako jeden z nielicznych dostrzegł w tej historii coś pozytywnego, stwierdzając, że edytowanie genomu pod kątem odporności na wirusa HIV jest „uzasadnione". Trudno zresztą sobie wyobrazić, aby – skoro już wiemy, że da się likwidować u zarodków ludzkich wady genetyczne lub, jak w tym przypadku, wszczepiać warianty genetyczne o pozytywnych skutkach – modyfikacje genetyczne ludzi nie weszły prędzej czy później do arsenału medycyny. Chyba po prostu nikt się nie spodziewał, że to już. ©℗

W SKRÓCIE

REGGAE NA LIŚCIE UNESCO. Umożliwia swobodne wyrażanie opinii, jest oczyszczająca i nikogo nie wyklucza – tak uzasadniono wpisanie jamajskiej muzyki reggae na listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego ludzkości.

CHŁODNE BRZMIENIA. Znany dotąd z synthpopowych brzmień Tobiasz Biliński jako pierwszy polski artysta podpisał kontrakt z kultową amerykańską wytwórnią Sub Pop z Seattle, dla której nagrywała m.in. Nirvana. Album ukaże się w lutym.

NOWE REKORDY. 4,72 mln zł – za taką kwotę wylicytowano obraz Wojciecha Fangora „M 39". Praca zmarłego przed trzema laty malarza stała się tym samym najdrożej sprzedanym dziełem sztuki w Polsce. Najdroższą rzeźbą 2018 r. na świecie jest z kolei Play-Doh Jefa Koonsa. Przypominające ogromną kulę modeliny dzieło warte jest prawie 23 mln dolarów.

NAGRODY. Szef Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy Jerzy Owsiak został pierwszym laureatem Nagrody im. Andrzeja Wajdy za wybitną działalność w duchu solidarności społecznej. Nagrodę przyznała założona przez Wajdę i Krystynę Zachwatowicz Fundacja Kyoto-Kraków.

GRZEGORZ KOZAKIEWICZ / FORUM

POŻEGNANIA. Zmarła Maria Rostworowska, tłumaczka, autorka książek o Oldze Boznańskiej i Franciszku Xawerym Pusłowskim, biografistka dramatopisarza i poety Karola Huberta Rostworowskiego. W minionym tygodniu odszedł także Robert Morris, amerykański artysta konceptualny, pionier i jeden z najwybitniejszych teoretyków minimalizmu.

TEMAT TYGODNIKA

TERAPEUTYCZNY LABIRYNT

Psychoterapia jest dobra i może pomóc. Musisz tylko uważać, do kogo trafisz. W Polsce wciąż nie ma ustawowej definicji zawodu psychoterapeuty, a w samym środowisku toczy się spór o obowiązujące go reguły.

TEKST KRZYSZTOF STORY
ILUSTRACJE BARBARA NIEWIADOMSKA

Psychoterapeutą mógłbym zostać jutro. Podobnie jak każdy z państwa czytających ten tekst. Zawód nie jest regulowany i nie wszyscy mają certyfikaty, wymagane przez profesjonalne organizacje. Słowa „psychoterapeuta" nie broni w naszym systemie prawnym żadna ustawa, regulacja czy rozporządzenie. Bez wykształcenia nie moglibyśmy wprawdzie podpisać kontraktu z NFZ, ale to i tak niezbyt się opłaca. By otworzyć gabinet prywatny, wystarczy zarejestrować działalność gospodarczą. Odpowiednie PKD to 86.90.E: „Pozostała działalność w zakresie opieki zdrowotnej, gdzie indziej niesklasyfikowana". Z tego samego kodu korzystają: higienistki szkolne, dietetycy, banki spermy.

Otwieramy więc gabinet psychoterapeutyczny. Artykuły przydatne u progu kariery znajdujemy w internecie. Na przykład: „Jak zostać psychoterapeutą – w 9 punktach". Inna sprawa, że nawet z tych kilku porad dowiadujemy się, iż psychoterapia nie jest prostą sprawą. Cztery przykładowe przykazania to: odbądź praktyki (najlepiej wielomiesięczne), zapisz się na kurs, superwizuj się, przejdź własną psychoterapię. Dla certyfikowanego psychoterapeuty oznacza to tysiące godzin pracy. Sam kurs trwa cztery lata.

To jednak tylko wskazówki, a brak regulacji można wykorzystać. Kilka lat temu terapeutami zostawali... taksówkarze, którzy chcieli ominąć wymogi licencyjne w swoim fachu. Szczera rozmowa podczas podróży na lotnisko raczej nikomu nie zaszkodziła. Ryzyko jednak istnieje.

W internecie znajdziemy oferty terapii pranicznej („doskonale usuwa z aury negatywne kształty myślowe") czy transpersonalnej (terapeuta dysponuje „doświadczalnym rozpoznaniem poziomów ponadpersonalnych"). Na jednym z popularnych portali aukcyjnych słowo „psychoterapia" pojawia się między „reiki" a „wróżby". Autorem jest Marcin. Ma 32 lata i na co dzień zajmuje się rozkładami kart tarota oraz leczeniem z wykorzystaniem bioenergii. Pisze: „mogę być jako kolega, przyjaciel, drogowskaz". Pisze: „nie leczę ciężkich schorzeń, od tego są lekarze specjaliści". Niestety pisze też: „pomagam ludziom, którzy czują, że mają dość życia".

– W wersji optymistycznej klient poczuje się lepiej, kiedy ktoś go wysłucha i za bardzo nie zaszkodzi – ocenia takie oferty jedna z krakowskich psychoterapeutek. – Ale można też zignorować bardzo ciężki stan. Przyjdzie pacjent z poważną depresją, szukający ostatniej deski ratunku. I zamiast natychmiastowego skierowania do psychiatry usłyszy: „weź się w garść". Istnieje takie ryzyko.

Ścieżka

Wyobraźmy sobie dwie ścieżki.

Pierwsza: zaczynasz w szkole A. Kończysz w jej ramach studia psychologiczne. Nie musiałeś wybierać psychologii, ale kierunek nie jest dowolny – w grę wchodzi jeszcze medycyna, pielęgniarstwo, pedagogika. Niektórzy postulują dodanie socjologii. Z dyplomem magistra rozpoczynasz 4-letni kurs. Szkolenie trwa 1200 godzin i jest prowadzone według ściśle określonego programu. Spędzasz minimum

360 godzin na stażu klinicznym, gdzie pracujesz z pacjentami. 150 godzin poświęcasz indywidualnej superwizji (omawiasz swoją pracę z bardziej doświadczonym terapeutą). Przechodzisz własną psychoterapię. Na koniec zdajesz egzamin.

Ścieżka druga: zaczynasz w szkole B. Przyjęcie odbywa się na podstawie testu psychologicznego (bez wiedzy akademickiej) i rozmowy kwalifikacyjnej. W szkole B odbywają się rozmaite kursy dodatkowe: „Tarot związków miłosnych", „Podstawy astrologii", „Biała magia". Na piątym, ostatnim semestrze odbywasz staż, np. w ośrodku pomocy społecznej.

Obydwie ścieżki kończą się dyplomem „psychoterapeuty", choć o różnej wartości. Pierwsza trwa 9 lat i prowadzi do oficjalnego certyfikatu jednego z wielu uznanych towarzystw. Druga trwa 2,5 roku i pokazuje, jak można wykorzystać brak świadomości pacjentów. Nazywają się dokładnie tak samo. A to Instytut Psychologii Stosowanej Uniwersytetu Jagiellońskiego. B to Instytut Psychologii Stosowanej – prywatna szkoła z filiami w Warszawie, Poznaniu i Katowicach.

Bywa, że przez brak wiedzy szukamy pomocy w złym miejscu. Psychoterapeuci przyznają: – Pacjenci często nie wiedzą, czym różni się psycholog od psychoterapeuty i psychiatry. I psychoterapeuta wykwalifikowany od kogoś po prowizorycznym kursie.

Moi rozmówcy wyjaśniają: psycholog to po prostu absolwent studiów psychologicznych. Nie może jeszcze prowadzić psychoterapii ani przepisywać leków. Do psychologa warto iść, kiedy potrzebujemy diagnozy psychologicznej, np. dotyczącej kompetencji intelektualnych.

Psychiatra to osoba, która ukończyła studia medyczne i specjalizację z psychiatrii. Zajmuje się badaniem, zapobieganiem oraz leczeniem zaburzeń i chorób psychicznych.

Psychoterapeuta powinien posiadać wyższe wykształcenie i zrobić 4-letni kurs podyplomowy. Jako jedyny może prowadzić psychoterapię, która jest jednym z narzędzi w leczeniu chorób psychicznych.

To nie chirurgia

Brak państwowych regulacji nie oznacza, że Polska źle szkoli psychoterapeutów. Nadużycia opisane powyżej nie zdarzają się często. W większości przypadków możemy liczyć na profesjonalną pomoc.

Nad całością badań i systemem ochrony zdrowia psychicznego w Polsce tradycyjnie czuwały dwie organizacje: Polskie Towarzystwo Psychiatryczne i Polskie Towarzystwo Psychologiczne. Obydwa „petepy" powstały jeszcze przed wojną – psychologiczny już 11 lat temu obchodził setne urodziny, psychiatrycznemu zostały dwa lata. W obu są sekcje odpowiadające za psychoterapię, w Psychiatrycznym osobno występuje Sekcja Terapii Rodzin. Wspólnie co roku organizują Konferencję Trzech Sekcji – najważniejsze wydarzenie naukowe w polskiej psychoterapii. Oba towarzystwa wydają swoje certyfikaty. To przedstawiciele trzech sekcji konsultują pomysły Ministerstwa Zdrowia. Są wśród nich superwizorzy i psychoterapeuci.

W 2006 r. obok „petepów" powstała Polska Rada Psychoterapii. Zrzesza kilkanaście stowarzyszeń psychoterapeutów, pracujących i szkolących w różnych nurtach. I od początku swego istnienia proponuje regulację zawodu.

– W 2006 r. odbyła się konferencja uzgodnieniowa ustawy o niektórych zawodach medycznych – tłumaczy Renata Mizerska, psychoterapeutka, prezes PRP. – Tamten projekt pełen był bardzo niekorzystnych rozwiązań, dobrze, że nie wszedł w życie. Ale to zapoczątkowało zmiany. To był moment, kiedy wszystkie ↦

stowarzyszenia usiadły do stołu i zaczęły rozmawiać.

Członkowie PRP ustalili wspólne zasady szkolenia i przyznawania certyfikatów. Są wśród nich minima godzinowe, obowiązkowa superwizja czy konkretne programy kursów. Podobne zasady w swoich szkoleniach stosują oba „petepy".

Prób przeniesienia tych standardów na poziom ustawy było jeszcze kilka. Pierwszym ministrem zdrowia, który usłyszał propozycje PRP, był Zbigniew Religa, ostatnim Konstanty Radziwiłł. Dlaczego, mimo woli całego środowiska, do dziś nie uregulowano tego zawodu?

Przyczyna pierwsza. Psychoterapia jest w Polsce dość młodą dziedziną, nie zdążyliśmy się do niej przyzwyczaić i nauczyć jej reguł. – 12 lat temu pojawiały się grupy związane z okultyzmem i parapsychologią, które chciały się podłączyć do zawodu psychoterapeuty – wspomina dr Krzysztof Jedliński, jeden z inicjatorów i pierwszy koordynator Rady z Ośrodka Intra w Warszawie. – PRP stanowczo broniła się przed takimi grupami.

Przyczyna druga. Tendencja w środowisku medycznym, psychiatrycznym do myślenia o psychoterapii z pewną wyższością. – Psychoterapia nie do końca mieści się w paradygmacie medycznym – mówi Jedliński. – Badania potwierdzają jej skuteczność, ale potwierdzają też, że najważniejszym czynnikiem leczącym jest nie tyle określona metoda, co sama osoba terapeuty i relacja terapeutyczna. To różni psychoterapię od innych metod terapeutycznych. Wyobraża pan sobie, że w chirurgii skuteczność określonej metody operacyjnej ustala się zależnie od tego, kto operuje, i od relacji, jaką ma z pacjentem?

Przyczyna trzecia. W Polsce działa dziś ponad 20 towarzystw zrzeszających i certyfikujących psychoterapeutów. Metody ich pracy można podzielić na pięć głównych grup podejść: psychodynamiczne, poznawczo-behawioralne, systemowe, integracyjne i humanistyczno-doświadczeniowe (patrz ramka). Te grupy dzielą się z kolei na dziesiątki i setki nurtów o potwierdzonej skuteczności. Sama konstrukcja ewentualnego egzaminu i składu komisji byłaby ogromnym wyzwaniem.

Zaburzenia psychiczne ma ok. 10 proc. populacji w wieku rozwojowym. To oznacza, że 600 tys. młodych ludzi w Polsce może potrzebować profesjonalnej opieki.

Stąd przyczyna czwarta. Regulacja jest szansą, ale też ryzykiem. Zbyt ostre kryteria pozbawią przeciętnego pacjenta dostępu do jakiejkolwiek opieki. Skomplikowanie tego systemu najlepiej widać w najbardziej palącym problemie polskiej służby zdrowia – ochronie zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży. Ponieważ dramatycznie brakuje lekarzy w tej specjalności, jako jedno z możliwych wyjść pojawia się propozycja odciążenia oddziałów szpitalnych przez psychoterapeutów. Ale to wymagałoby uzgodnienia specjalnych procedur ich szkolenia i egzaminów. Od lutego pracuje nad tym specjalny zespół powołany przez ministra zdrowia.

Byle zdążyć z Powerem

Należy doń m.in. dr hab. Maciej Pilecki, przewodniczący Sekcji Naukowej Psychoterapii PTP (Psychiatrycznego), a także ordynator psychiatrii dziecięcej w Szpitalu Uniwersyteckim w Krakowie: – Psychiatria dzieci i młodzieży jest w absolutnym kryzysie kadrowym. Jesteśmy na granicy wydolności. To, co robimy, zaczyna być irracjonalne i niebezpieczne. Gdybym stracił jednego, dwóch specjalistów, musielibyśmy zamknąć cały oddział.

Zaburzenia psychiczne ma ok. 10 proc. populacji w wieku rozwojowym. To oznacza, że 600 tys. młodych ludzi w Polsce może potrzebować profesjonalnej opieki. – Gdy zaczynałem pracę ponad 20 lat temu, najczęstsze były lęki, wycofanie, stany depresyjne. Teraz 80 proc. to pacjenci po poważnych próbach samobójczych lub zachowaniach agresywnych, a pozostałe 20 proc. to nasilone zaburzenia odżywiania – mówi Pilecki. – Psychiatria dziecięca to nie jest dzisiaj wspieranie w rozwoju i pomaganie w szukaniu szczęścia, tylko ratowanie życia.

W skład zespołu weszli głównie psychiatrzy i psychologowie kliniczni. To problem pierwszy. Nie ma tam żadnego psychoterapeuty, który nie byłby ani psychiatrą, ani psychologiem – to problem drugi. Zespół pracuje w bardzo dużym pośpiechu. Pośpiech jest uzasadniony, ale mimo to stanowi problem trzeci.

Dwa miesiące temu przedstawiono rozwiązanie: na listę specjalizacji medycznych mają trafić trzy nowe pozycje: psychoterapeuci, psychologowie i terapeuci środowiskowi pracujący z dziećmi i młodzieżą.

– Zdaliśmy sobie sprawę, że nie damy rady wykształcić psychiatrów dziecięcych – tłumaczy Pilecki. – Próbowaliśmy to zrobić przez kilka lat, specjalizacja była ogłoszona jako deficytowa. Nie udało się. Lekarze po prostu nie chcą się specjalizować.

Dlatego zespół proponuje odwrócenie systemu. Większą odpowiedzialność miałby przejąć spójny system psychoterapii i opieki środowiskowej, a do psychiatry młody pacjent miałby trafiać na konsultację lub w ostrym kryzysie.

Według nowych przepisów psychoterapeuci zdawaliby egzamin w Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego, a za ich szkolenie (przeprowadzane tak jak dzisiaj przez odpowiednie stowarzyszenia) zapłaciłoby państwo. Ale nie pieniędzmi z budżetu, tylko środkami z unijnego programu Power. Ministerstwo Zdrowia ma nadzieję wykształcić w ten sposób 500 nowych psychoterapeutów.

Szybko pojawiły się kolejne problemy. Bo okazało się, że ministerstwo proponuje

TP

Anna Goc nominowana

Anna Goc, autorka wywiadu rzeki „Boniecki. Rozmowy o życiu", znalazła się wśród nominowanych w VI edycji Nagrody im. Teresy Torańskiej. W kategorii „najlepszy materiał dziennikarski" jury doceniło jej rozmowę z o. Adamem Żakiem „Pytajcie biskupów", opublikowaną na naszych łamach. Serdecznie gratulujemy wszystkim nominowanym. Laureatów konkursu poznamy 9 grudnia.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

specjalizację tylko dla psychoterapeutów pracujących w trzech grupach podejść: poznawczo-behawioralnych, psychodynamicznych, systemowych. To spowodowało oskarżenia, że „petepy" chcą zmonopolizować nowy system, a rozporządzenie ograniczy dostęp do specjalistycznej opieki, zamiast go rozszerzyć.

– Te trzy podejścia są najgłębiej przebadane i potwierdzone, ale pomysł jest na pewno do dyskusji – argumentował Pilecki. 26 listopada ministerstwo wycofuje się z pomysłu.

Okazało się, że program specjalizacji będzie opracowany dopiero po jej utworzeniu. Co oznacza, że nadal nie wiadomo, jak będą wyglądały egzaminy i ewentualne ułatwienia dla terapeutów, którzy już dziś pracują z młodzieżą lub chcieliby się w tym wyspecjalizować. Okazało się też, że nie wiadomo, co stanie się z programem po wyczerpaniu się środków unijnych, bo gwarancji budżetowych na nową specjalizację brak. Środki unijne są zresztą prawdopodobnie jedną z przyczyn pośpiechu, bo program Power kończy się w 2020 r.

Między pielęgniarką a salową

W środowisku pojawiły się głosy przeciwko rozporządzeniu. Dwójka psychoterapeutów: Aleksandra Andruszczak-Zin i Krzysztof Błażejewski stworzyli petycję przeciwko nowym rozwiązaniom. Podpisało ją ponad 2500 osób.

Krzysztof Błażejewski: – Bardzo dużo tu niejasności, wprowadzamy specjalizację, o której prawie nic nie wiemy. Psychoterapia i proces kształcenia w niej jest zbyt delikatną dziedziną na taki pośpiech. Poza tym nie wiem, na jakiej podstawie stwierdzono, że psychoterapeutów pracujących z dziećmi jest za mało. Może lepiej się zastanowić, dlaczego uciekają z państwowej służby zdrowia?

Uciekają ze względu na strukturę zatrudnienia. Psychoterapeuci w szpitalu nie są dzisiaj wynagradzani tak jak specjaliści. Sami o sobie mówią, że są umiejscowieni „między pielęgniarką a salową".

– W pewnym warszawskim szpitalu psychoterapeuta z certyfikatem zarabiał w tym roku 1800 zł na rękę – przyznaje Renata Mizerska, prezes PRP. – Odszedł po 12 latach. Następca z bardzo krótkim stażem pracy dostał 2300 zł. To nadal bardzo mało.

Wykształcenie psychoterapeuty – przypomnijmy – trwa 9 lat. Zrobienie certyfikatu kosztuje od 60 do 100 tys. zł, które trzeba zapłacić z własnej kieszeni; godzina superwizji to koszt nawet 250 zł (a standardem jest superwizja raz w miesiącu). W szpitalu trzeba na to pracować ponad 4 lata. Prywatnie psychoterapeuta zarabia nawet trzy razy więcej.

Nowe rozporządzenie przewiduje zrównanie stawek psychoterapeutów z innymi specjalistami. – Wciąż brakuje jednak analiz, czy jednostki ich zatrudniające będą miały pieniądze na podwyżki – komentuje Krzysztof Błażejewski. Może się jednak okazać, że to właśnie poprawa warunków pracy, a nie certyfikaty i egzaminy, będzie najważniejszym krokiem w zwiększeniu dostępności psychoterapii dla tych, których nie stać na leczenie w prywatnych gabinetach.

PODCZAS PRAC NAD TYM TEKSTEM rozmawiałem z 11 psychoterapeutami. Pracowali w różnych podejściach. W każdym wywiadzie padło to zdanie: „według badań naukowych nie ma różnicy w skuteczności między poszczególnymi podejściami. Ważne, czy dane podejście i osoba terapeuty pasuje do konkretnego pacjenta, a pacjent powinien mieć jak największy wybór".

Reprezentowali różne grupy i środowiska, kilkanaście różnych towarzystw. To specjaliści, wykształceni i doświadczeni. Powinni być częścią jednego spójnego systemu. Nie powinno być dalej tak, jak w swoim opracowaniu pisze psychiatra Krzysztof Szwajca: „Dzisiaj w Polsce psychoterapię trzeba sobie kupić, ewentualnie »załatwić«, »wychodzić« lub wystać w wielomiesięcznej kolejce".

© KRZYSZTOF STORY

Wiele szkół, wiele terapii

▪ **PSYCHOTERAPIA POZNAWCZO-BEHAWIORALNA** skupia się na zachowaniu człowieka jako reakcji na bodźce z otoczenia. Mniej ważne są wydarzenia z przeszłości; terapeuta skupia się na czasie teraźniejszym. Najważniejszy jest tok myślenia, a co za tym idzie: to, w jaki sposób myśli mają wpływ na nasze uczucia i działania. Terapia to rozmowa o tym, jak postrzegamy siebie, innych i świat.

▪ **PODEJŚCIE PSYCHODYNAMICZNE** (wyrosłe z psychoanalizy) zakłada, że umysł składa się z tego, co świadome i nieuświadomione. Dolegliwości są objawami problemów ukrytych w nieświadomości. Kluczowa jest więź pacjenta z matką/ojcem we wczesnym dzieciństwie. Podczas terapii analizuje się uczucia, zachowania, wspomnienia i skojarzenia towarzyszące stanom psychicznym oraz wydarzeniom z przeszłości i teraźniejszości.

▪ **W PODEJŚCIU HUMANISTYCZNYM** akcent kładzie się na poszerzanie świadomości doświadczenia „tu i teraz" – nie tylko emocjonalnego (stąd znaczenie m.in. pracy z ciałem). Los człowieka determinuje nie tylko to, co spotkało go wcześniej, ale też sens, jaki dziś nadaje zdarzeniom. W ujęciu humanistycznym wzmacniana jest zasada wolnych wyborów człowieka.

▪ **TERAPIA SYSTEMOWA** opiera się na założeniu, że problemy człowieka pozostają w związku ze środowiskiem i ludźmi, z którymi pozostaje w kontakcie (np. z rodziną). Pacjent jest traktowany przede wszystkim jako część środowiska, tkwiący w sieci wzajemnych oddziaływań. Aby go wyleczyć, trzeba naprawić jej cały system.

▪ **PODEJŚCIE INTEGRACYJNE** łączy w sobie najkorzystniejsze techniki terapeutyczne, które mogą pomóc pacjentowi.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

KRZYSZTOF STORY
będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz
w „Światopodglądzie" Radia TOK FM
w czwartek 6 grudnia o godz. 15.00.
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Wybierz dobrze

PROF. LIDIA GRZESIUK,
PSYCHOTERAPEUTKA:

Kiedy przychodzi do mnie pacjent, nie znam jego życia. To on, opowiadając, nadaje mu pierwszy sens. Dopiero podczas terapii ujawniają się wcześniej ukryte, nieświadome problemy.

ANNA GOC, MARCIN ŻYŁA: Kiedy jest czas na psychoterapię?

LIDIA GRZESIUK: Odpowiem na to pytanie, ale chciałabym zacząć od tego, czym jest psychoterapia.

Prosimy.

Psychoterapia to, po pierwsze, metoda leczenia, w której stosuje się oddziaływania o charakterze psychologicznym. Po drugie, psychoterapeuta stosuje zaprogramowane oddziaływania w sposób intencjonalny. Po trzecie, w psychoterapii – a zwłaszcza w psychoanalizie – zwraca się uwagę na relację między pacjentem a terapeutą.

Czyli wykorzystuje się ją.

Tak. Przykładem takiego wykorzystania jest zjawisko przeniesienia. Polega ono na tym, że pacjent, nie zdając sobie z tego sprawy, rzutuje na psychoterapeutę swoje doświadczenia z przeszłości. Wraca do tego, co się wydarzyło. Dzięki temu wspólnie z terapeutą może sprawdzić, jak tamte wydarzenia wpłynęły na jego obecne zachowanie.

Na przykład?

Jeden z pacjentów oznajmił mi po pierwszej sesji psychoterapii grupowej, że nie przyjdzie na kolejną, ponieważ boi się, że go wyrzucę z psychoterapii. Poprosiłam, byśmy wrócili do tej rozmowy podczas następnej sesji. Zaproponowałam, abyśmy usiedli naprzeciw siebie – wokół znajdowali się pozostali uczestnicy terapii – i aby on przyjrzał się mnie, koncentrując się na tym, co się z nim wtedy dzieje. Widziałam, że jest coraz bardziej napięty, drżą mu ręce i wargi. W końcu przyznał, że jest bardzo zdenerwowany. Zapytałam, czy kiedyś czuł się podobnie. I wtedy przypomniał sobie, że gdy miał kilka lat, matka kazała mu posprzątać pokój. On jednak dalej się bawił. Matka przyszła wtedy ze skórzanym pasem, zakończonym metalową sprzączką, i zaczęła go bić. Wystraszył się, bo najbliższa osoba, która dotychczas kojarzyła mu się z bezpieczeństwem, sprawiła mu celowy ból.

W przypadku tego pacjenta przeniesienie polegało na tym, że podobne oczekiwania zaczął mieć wobec innych osób, zwłaszcza starszych od niego kobiet. Wyobraził sobie, że zrobię mu najgorszą rzecz, którą mogłam – że wyrzucę go z psychoterapii.

Takie wycieczki w przeszłość zwykle podejmujemy niechętnie. Dlaczego z psychoterapeutą się udaje?

Jeden z nurtów psychoterapii mówi, że powinna ona dostarczać pacjentowi doświadczeń. W podanym przykładzie dostarczyłam pacjentowi bodźca: usiadłam naprzeciwko, umożliwiłam uruchomienie wyobrażeń na mój temat i powiązanie ich z wydarzeniami z przeszłości. W życiu codziennym o tych sprawach rozmawiamy czasem z rodziną czy przyjaciółmi, ale tylko terapeuta ma świadomość, że to, co obserwuje w relacjach z pacjentem, można wykorzystać w celach terapeutycznych.

Wróćmy do pytania: kiedy jest czas na psychoterapię?

Nie ma jednoznacznej odpowiedzi. W psychoterapii można osiągać różne cele. Z perspektywy osób pracujących w nurcie behawioralno-poznawczym pacjenci podejmują terapię po to, aby pozbyć się niechcianych zachowań lub nauczyć się takich, których nie potrafią przejawiać. Np. asertywności.

Znowu poprosimy o przykład.

Tuż po studiach miałam pacjentkę z agorafobią, dużo starszą ode mnie. Gdy sama wychodziła na ulicę, paraliżował ją lęk i biegiem wracała do domu. Zastosowałam wobec niej behawioralną technikę odwrażliwiania. Najpierw nauczyłam ją relaksu. Potem zaczęłam stosować bodźce, których się bała, zaczynając od najsłabszych. Prosiłam np., aby wyobraziła sobie, że otwiera okno i przygląda się pustej ulicy. Potem – że na nią wychodzi. Początkowo bodźce lękotwórcze pojawiały się

tylko w jej wyobraźni. Potem przygotowałam ją do tego, aby wyszła samodzielnie na ulicę. Udało się. Dziś, jeżdżąc po Warszawie, niekiedy widuję, jak stoi sama na przystanku autobusowym.

Jakie znaczenie ma fakt, którą szkołę terapii się wybierze?

Istnieją badania, które wskazują, że wybrane podejścia są wobec określonych zaburzeń skuteczniejsze od innych: np. terapię poznawczą uznaje się za skuteczną w leczeniu depresji. Jednak wyniki innych badań nie zawsze są jednoznaczne. W podejściu behawioralnym, oprócz techniki odwrażliwiania, można też korzystać z terapii implozyjnej. To jakby rzucanie pacjenta na głęboką wodę, polegające na konfrontowaniu go z bodźcem, którego się boi. Jeśli np. ktoś boi się psów – wprowadza mu się psa do gabinetu. Technika ta korzysta z habituacji – zjawiska polegającego na tym, że nawet jeśli bodziec jest początkowo lękotwórczy, reakcja lękowa po nim w końcu zawsze zaczyna spadać. Czyli, upraszczając: jeśli pacjent doświadczy, że podczas spotkania z psem wbrew obawom nie umarł ze strachu, podczas kolejnych konfrontacji może się oduczyć reagowania lękiem.

Studenci pytali, która z technik jest skuteczniejsza, nie ma jednak jednej odpowiedzi. Efektywność psychoterapii nie zależy wyłącznie od techniki, ale też od cech pacjenta i psychoterapeuty.

Skoro jest tyle nurtów, skąd pacjent ma wiedzieć, na co się decydować?

Praktyka pokazuje, że jeśli psychoterapię chce podjąć człowiek w niej niezorientowany, kieruje się zwykle względami niemerytorycznymi – wybiera np. specjalistę, który jest blisko, albo tego, którego ktoś mu polecił.

Tak przypadkowo?

Oczywiście.

No dobrze, ale załóżmy, że ktoś szuka. Wpisujemy w wyszukiwarce „psychoterapia Wrocław" – i co dalej?

Sprawdzamy, czy psychoterapeuta dysponuje certyfikatem, wydanym np. przez Polskie Towarzystwo Psychologiczne lub Sekcję Naukową Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego. Jeśli ma taki certyfikat, to znaczy, że nie tylko zdobył wiedzę, ale także umie wykorzystać ją w praktyce. Możemy też dowiedzieć się, wobec jakich zaburzeń może być stosowana metoda, którą wykorzystuje. A także sprawdzić, czy psychoterapeuta korzysta z superwizji – czy omawia z innym terapeutą to, co dzieje się podczas sesji z pacjentami. Certyfikat zwiększa prawdopodobieństwo, że terapeuta odbył psychoterapię i nie będzie rzutował na pacjenta własnych problemów. Więcej: że jego superwizor na bieżąco zajmuje się problemami, które powstają podczas psychoterapii. I może adekwatnie reagować na zmieniający się stan pacjenta.

Załóżmy, że przychodzimy na pierwszą sesję. Jakie terapeuta powinien nam podać informacje?

Przebieg pierwszej sesji zależy w dużej mierze od szkoły psychoterapii, której zasadami kieruje się terapeuta. Musi się on dowiedzieć, co pacjent chciałby osiągnąć podczas spotkań. Od tego zależy zwykle czas trwania psychoterapii, choć np. terapia krótkoterminowa może obejmować 12 sesji, psychoanaliza zaś – kilka lat. Na początku ustala się też częstotliwość spotkań i warunki finansowe. Terapeuta może też zaproponować tzw. fazę wstępną, podczas której pacjent zdobywa wiedzę o psychoterapii, w jakiej będzie uczestniczył.

Jak ambitny powinien być cel psychoterapii?

W podejściu systemowym przyjmuje się, że cel to najmniejsze osiągnięcie, które dla pacjenta byłoby satysfakcjonujące. Ja na początku po prostu pytam pacjenta, co chce osiągnąć w terapii. Nie podsuwam, jakich obszarów mogą dotyczyć jego problemy czy trudności.

Ale czy ktoś, kogo stan emocjonalny może sprawiać, że nie potrafi oceniać rzeczywistości racjonalnie, potrafi odpowiedzieć szczerze na Pani pytanie?

To nie jest kwestia szczerości, tylko tego, w jakim stopniu człowiek jest świadom tego, co chce osiągnąć. Bywa, że ważna odpowiedź pojawia się dopiero podczas kolejnych sesji. Dlatego odpowiedzi, które padają na początku, nie są dla mnie najważniejsze.

Jakie to odpowiedzi?

Przykład: student, który boi się, że może w każdej chwili zemdleć lub nawet umrzeć. Badania kardiologiczne wykazały, że jego układ krwionośny działa prawidłowo. Nie wiadomo, co się dzieje, aż przychodzi olśnienie: kiedy słabnie na balu sylwestrowym, gdy widzi dziewczynę, którą zaproszono tam dla niego – był samotny – nagle rozumie, że tak naprawdę obawia się kompromitacji podczas spotkania z dziewczyną.

Kiedy przychodzi do mnie pacjent, nie znam jego życia. To on, poprzez opowieść, z którą przychodzi, nadaje mu pierwszy sens. Dopiero doświadczenia zdobyte podczas psychoterapii sprawiają, że ujawniają się wcześniej ukryte, nieświadome problemy.

Załóżmy, że terapia trwa długo. Stan pacjenta poprawia się tylko na chwilę – czy w tej sytuacji terapeuta powinien powiedzieć pacjentowi: nic już nie zdziałamy?

Kiedyś jeden z pacjentów z pretensją powiedział, że po trwającej rok psychoterapii co prawda nastąpiła poprawa, ale trwała ↦

TP

Zapraszamy na debatę historyków!

„Trzy światy, jedna Polska. Kraków, Poznań i Warszawa u progu Niepodległej".

Udział wezmą prof. ANDRZEJ CHWALBA i prof. WALDEMAR ŁAZUGA. Prowadzenie spotkania Paweł Stachowiak. Czwartek, 13 grudnia, godz. 19.00, De Revolutionibus Books & Café (Kraków, ul. Bracka 14).

Organizatorzy: Kluby „TP" z Krakowa i Poznania, „Tygodnik Powszechny", Fundacja Tygodnika Powszechnego.

Debata towarzyszy uroczystości wręczenia dorocznej nagrody imienia profesorów Wacława Felczaka i Henryka Wereszyckiego. Więcej informacji o wręczeniu nagrody na powszech.net/wydarzenia.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

↦ ona „tylko 10 lat", a potem objawy wróciły. Poradziłam mu, żeby wrócił na terapię. Być może jego problem nie został rozwiązany, a pewne okoliczności doprowadziły do tego, że symptomy wróciły.

Możliwa jest skuteczna psychoterapia bez początkowej wiary w jej skuteczność?

Myślę, że tak. Choć wyniki badań informują o korelacji wiary w skuteczność psychoterapii z jej efektywnością.

A jak się pracuje z pacjentem opornym?

Znów podam przykład. Zgłosiła się do mnie wychowawczyni ze szkoły pielęgniarskiej. Jedna z jej uczennic regularnie biła koleżanki, trafiła więc do mnie na terapię grupową. Siadała naprzeciw mnie, trzymała ręce na kolanach, patrzyła się, jakby miała ochotę kogoś uderzyć, milczała. Kiedyś przyszła do pokoju terapeutów, żądając ode mnie usprawiedliwiania jej nieobecności w szkole. Powiedziałam, że to niemożliwe. Wtedy zablokowała drzwi i powiedziała: „Jeśli tego nie zrobisz, nie wypuszczę cię stąd". Udało mi się namówić ją, abyśmy zajęli się tą sprawą w grupie.

W grupie psychoterapeutycznej zaproponowałam jej, by wyrzuciła z siebie całą złość. Poprosiłam, aby położyła się na plecach. Przytrzymywaliśmy ją za nogi, ręce, ramiona, a jej zadaniem było się wyswobodzić. Zaczęła się wyrywać z naszych rąk, pluć na nas, kopać, gryźć. Uwolniła się.

Poprosiłam, aby wszyscy uczestnicy opowiedzieli o swoich przeżyciach. Usłyszeliśmy o lęku, wściekłości, podziwie. A ja zapytałam, czy zamiast walczyć z nami, nie wolałaby położyć głowy na moich kolanach. Zrobiła to na oczach wszystkich, a po chwili zaczęła szlochać. Poznaliśmy ważne wydarzenia z jej życia. Gdy miała 5 lat, jej matka popełniła samobójstwo. Rodzina opowiedziała jej potem, że matkę sprowokował ojciec. Pacjentka postanowiła wtedy, że ojca zniszczy. Walczyła z nim, lekceważyła, traktowała pogardliwie.

Terapeuta może się rozpłakać z pacjentem?

To zależy, jaki charakter mają ich relacje. Psychoterapeuta może odczuwać to, co wyrzucił z siebie pacjent, może to być dla niego źródło ważnej informacji. Także jego odczucia do pacjenta mogą pomagać w psychoterapii. W psychoanalizie terapeuta nie powinien ujawniać swoich reakcji. W innych szkołach, zwłaszcza należących do nurtu humanistyczno-egzystencjalnego, ważne są naturalne reakcje terapeuty.

Na widok płaczącego terapeuty można się wystraszyć.

A ja miałam pacjenta, który przyznał, że najważniejszym wydarzeniem podczas grupowej psychoterapii było to, że zobaczył w moich oczach łzy, kiedy opowiadał o ojcu-alkoholiku, który bił jego, jego matkę i brata; o tym, jak musiał uciekać przed nim z domu i jak śmiano się z niego w szkole, gdy ojciec leżał pijany w rowie. Nie miałam w domu doświadczeń z alkoholizmem – przeżycia pacjenta bardzo mnie poruszały. Moje łzy, moje współodczuwanie były dla niego nowym doświadczeniem.

Pacjent przechodzi przez kolejne etapy psychoterapii. Jest już po przełomie, wie, jaki jest rzeczywisty problem, zaczyna pracę. Często żmudną, długotrwałą. Pojawia się u niego rozczarowanie. Myśli: „A może to nie dla mnie?". Co wtedy?

Opór jest naturalny. Gdy pacjent zbliża się do swojego problemu, pojawiają się czasem siły, które zmuszają do cofnięcia się o krok. Bo z jednej strony on chce zmiany, z drugiej strony – boi się jej.

Jak taki lęk opanować?

Nie chodzi o to, aby go opanowywać, lecz aby pacjent mógł doświadczać i zastanawiać się nad tym, co się dzieje. Miałam w terapii jeszcze jedną pacjentkę, która bała się wychodzić sama na ulicę. Odwrażliwianie nie przynosiło efektu, powstało pytanie, czy wyleczenie może wywołać niekorzystne dla pacjentki zmiany. Okazało się, że czerpie ona zyski z tego, że się nie leczy. Skoro nie wychodzi sama z domu, znajome zapraszają ją do wspólnych zakupów, wożą na imprezy samochodami, chodzą z nią do kina i teatru. Bała się, że gdy to się skończy, nie będą proponować jej wspólnego spędzania czasu.

Mówiłam już o oddziaływaniu psychologicznym i jego intencjonalnym stosowaniu, a także o znaczeniu relacji pacjent–terapeuta. Ważne jest też, że psychoterapię stosuje się głównie wobec zaburzeń neurotycznych, kiedy problem pacjenta ma uwarunkowanie psychologiczne. Nie ma ona zastosowania np. wobec pacjenta, który z powodu uszkodzenia układu nerwowego ma afazję.

Wciąż pokutuje obiegowa opinia: „Idź do psychologa, dostaniesz prochy, uspokoi ci się trochę". Wielu nie odróżnia psychologa, psychiatry i psychoterapeuty.

Leki mogą działać na objawy choroby pacjenta. Psychoterapia nastawiona jest głównie na przyczyny problemów.

Zdarzają się jednak przypadki, gdy pacjenta trzeba odesłać do lekarza.

Miałam pacjenta z czynnościami natrętnymi. Występował u niego przymus dotykania pewnych przedmiotów. Podczas sesji wychodził na korytarz, żeby dotknąć poręczy. W trakcie pracy terapeutycznej okazało się, że przymus wiąże się z doświadczeniami dziecięcymi. Jego starszy brat, który znęcał się nad nim, zabrał mu ulubioną zabawkę, pluszowego misia, rzucił na podłogę i podeptał. Chłopak głaskał

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 27 listopada 2018 r.,
przeżywszy 69 lat, zasnęła w Bogu

Ś. † P.

Maria Rostworowska

pisarka, tłumaczka, romanistka
Nabożeństwo żałobne odprawione zostało
w kaplicy na cmentarzu Salwatorskim 4 grudnia 2018 r.,
o czym zawiadamia pogrążona w smutku i żałobie

Rodzina

potem tego misia, dotykał też inne przedmioty. Zaburzenie się rozwijało: głaskał i przepraszał biurko za to, że leżą na nim różne przedmioty; przepraszał podłogę za to, że leżały na niej jego kapcie.

Po trwającej rok psychoterapii grupowej czynności natrętne przestały się pojawiać. Ale po trzech latach wrócił z objawami psychotycznymi. Siedzieliśmy np. w gabinecie, słyszał klaksony na ulicy i mówił: „Słyszysz, jak trąbią? Wiedzą, że jestem u ciebie, prześladują mnie, niedługo zaczną prześladować ciebie".

Czy w takiej sytuacji można pacjentowi powiedzieć, że zaczyna się choroba psychiczna?

Ja mówiłam: „To jest twoja teoria, z którą się nie zgadzam. Uważam, że powinieneś pójść do psychiatry, który da ci środki farmakologiczne. One sprawią, że poczujesz się lepiej".

Co powiedziałaby Pani tym, którzy wahają się pójść na psychoterapię ze strachu, że odkryją problem znacznie większy od tego, z którym zgłaszają się początkowo?

Że psychoterapeuta nie jest od pocieszania pacjenta, od mówienia: „Nie martw się, to minie, przyjdziesz pięć razy i będziesz już spokojny".

A czy od psychoterapii można się uzależnić?

Oczywiście, miałam pacjenta, który w chwili, gdy wszedł do mojej grupy psychoterapeutycznej, oznajmił, że już się zapisał do kolejnej grupy, w innym ośrodku, która zaczynała terapię dopiero za rok.

LIDIA GRZESIUK:

W psychoterapii można osiągać różne cele. Są tacy, którzy chcą pozbyć się niechcianych zachowań lub nauczyć się takich, których nie potrafią przejawiać. Na przykład asertywności.

I co Pani zrobiła?

Zauważyłam, że najbardziej podobało mu się rozładowywanie napięć emocjonalnych, np. rzucanie poduszkami czy kopanie w piłki. Starałam się więc tych doświadczeń mu nie dostarczać – dążyłam do tego, by zrozumiał, co czyni.

Za co jest odpowiedzialny terapeuta?

Za dobór odpowiedniej techniki do problemu, z którym zgłasza się pacjent. I za stan pacjenta, który powstaje pod wpływem tej techniki. Powinien umieć przewidzieć, jakie efekty uzyska, a jeśli są inne od spodziewanych – zareagować właściwie. No i terapeuta jest odpowiedzialny za to, co się dzieje z nim samym. Stąd potrzeba superwizji.

Załóżmy, że trafiliśmy do terapeuty, który postępując źle, pogorszył tylko mój stan. Co możemy wtedy zrobić?

Jeśli pacjent jest przekonany, że terapeuta popełnił niedający się usprawiedliwić błąd, może zgłosić skargę do stowarzyszenia, do którego ten ktoś należy. Takie organizacje mają sądy koleżeńskie; negatywnie oceniani terapeuci mogą być pozbawieni certyfikatu. Problem powstaje, kiedy terapeuta jest poza stowarzyszeniem. Wówczas czasem pomóc może tylko prawnik.

Kiedy zakończyć terapię?

Kiedy osiągnie się pewien cel lub odbędzie umówioną na początku liczbę spotkań.

A jeśli pacjent boi się końca terapii?

Zwykle obserwuje się pogorszenie funkcjonowania pacjenta przed końcem terapii. To dość naturalne – pacjent może, uzyskawszy to, co chciał w psychoterapii, nadal dążyć do zachowania wsparcia terapeuty. A więc pogorszenie zachowania może zapewniać kontynuowanie psychoterapii. Dobry psychoterapeuta zdaje sobie z tego sprawę.

Cały czas używaliśmy słowa „pacjent", a nie – „klient".

„Klient" kojarzy mi się bardziej z zakupami w sklepie. „Pacjent" to ktoś, kto cierpi i potrzebuje pomocy.

©℗ Rozmawiali ANNA GOC, MARCIN ŻYŁA

PROF. DR HAB. LIDIA GRZESIUK *kierowała Katedrą Psychopatologii i Psychoterapii Wydziału Psychologii UW. Obecnie kieruje Zakładem Psychoterapii w Instytucie Psychologii Wydziału Filozofii Chrześcijańskiej Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Ostatnio ukazało się wznowienie „Rozmów o tajemnicach psychoterapii", które przeprowadził z nią Krzysztof Krawczyk.*

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Chanuka i Purim

W niedzielę 2 grudnia zapalaliśmy pierwszą świeczkę na chanukiji – lampce złożonej z ośmiu ramion i dodatkowo jednej, zwanej szemeszem (słońcem). Jedliśmy placki ziemniaczane, pączki i dawaliśmy sobie małe prezenty. Śpiewaliśmy pieśń „Skało zbawienia" – wszystko dla uczczenia wydarzeń z 25. dnia miesiąca Kislew w 164 r. p.n.e., kiedy oddziały dowodzone przez Judę Machabeusza wkroczyły do świątyni, oczyściły ją z obcych bożków i na powrót poświęciły kultowi Boga Jedynego: „Dokładnie w tym samym czasie i tego samego dnia, którego poganie go [ołtarz] zbezcześcili, został on na nowo poświęcony przy śpiewie pieśni i grze na cytrach, harfach i cymbałach. Cały lud upadł na twarz, oddał pokłon i aż pod niebo wysławiał Tego, który im zesłał takie szczęście. Przez osiem dni obchodzili poświęcenie ołtarza, a przy tym pełni radości składali całopalenia, ofiary pojednania i uwielbienia" (1 Mch 4, 54-56).

Uroczystość na cześć zwycięstwa Machabeuszy szybko zyskała nazwę Chanuka („poświęcenie") i podobnie jak Sukkot czy Pesach obchodzona jest przez 8 dni. Była jedynym świętem dodanym za czasów drugiej Świątyni. Nie miała swojej zapowiedzi w Biblii (Tanach). Pozostała w żydowskiej tradycji.

Samo powstanie Machabeuszy jest związane z przejęciem kontroli nad Judą przez syryjskie imperium Seleucydów. Także żydowska dominująca klasa społeczna ulegała wówczas wpływom kultury hellenistycznej, chętnie korzystając z możliwości gospodarczych, jakie się przed nimi otworzyły. Napięcie w Judei rosło. Wybuch powstania przyspieszyła decyzja Antiocha IV zakazująca szabatu, obrzezania i innych rytuałów tradycyjnego judaizmu. Do tego wszystkiego do Świątyni trafiły idole: syryjski Baal, Dionizos, Anat, małżonka Baala, którą łączono ze świątynną prostytucją.

Protest przeciw rządom Seleucydów i hellenizacji religii stawili *chasidim*, pobożni, wrodzy obcym kultom – obcym ludom. Ale oni nie podjęli walki: uważali, że w szabat nie walczy się nawet z najgorszym wrogiem. Opór zbrojny podjęła rodzina Hasmoneuszy, której najwybitniejszą postacią był Juda Machabeusz – „młot". Hasmoneusze wywodzili się z prowincji, dziś mówi się więc, że powstanie było rewoltą prowincji przeciw kosmopolitycznym i obcym wzorom kulturowym, wprowadzanym do *polis* zwanej Jerozolima. Bunt zaczął się w 167 r., skończył zwycięstwem trzy lata później.

Rabini uczą, że są dwa rodzaje zagrożeń dla żydowskiego bytu. Jeden związany z antysemityzmem i otwartą wrogością. Przypominamy sobie wtedy święto Purim i Hamana, którego ogarnęło mordercze pragnienie zgładzenia wszystkich Żydów w Persji. Wtedy to z radości ocalenia obchodzimy swoistego rodzaju karnawał. Drugie zagrożenie związane jest z tendencjami asymilatorskimi i zagrożeniem utraty tożsamości. Hellenizm pozostawił trwały ślad w historii żydowskiej. Chanuka o tym niebezpieczeństwie asymilatorskim stale nam przypomina. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Do szopy, hej, pasterze

Ten adres nie jest zbyt dokładny, znamy inne, ale one też nie gwarantują dotarcia do celu. Jedne prowadzą do stajni, drugie do groty, a jeszcze inne nawet poza Betlejem. Nic to nowego. Każdy czytający Biblię o podobne zawirowania czasowo-przestrzenne potyka się co i raz. Nawet w opisach najważniejszych wydarzeń, takich jak ostatnia wieczerza, śmierć Jezusa i Jego zmartwychwstanie oraz wniebowstąpienie.

Papież Franciszek mówi, że tymi niezgodnościami nie ma się co zanadto przejmować. Nikt przecież nie chodził za Jezusem i uczniami z magnetofonem ani notesem i nie robił stenogramów z rozmów. Nikt też nie podchodził do wydarzeń tak, jak my dzisiaj podchodzimy. Ważniejsza od przebiegu samych wydarzeń była ich wymowa, sens. Gdzie i kiedy dokładnie Jezus się urodził, jest więc rzeczą drugorzędną, ważne, że się urodził jak każdy człowiek. Patrząc z naszej perspektywy widzimy, że również dzisiaj Jezus jest i działa, a Jego ujawnianie się, objawienie, udzielanie się światu jest procesem dalekim od zakończenia. Paweł Apostoł w Liście do Tytusa, a więc i do nas, tak o tym pisze: „Łaska Boża okazała się zbawienna dla wszystkich ludzi. Ona poucza nas, abyśmy odrzucili bezbożność i światowe pożądania, a żyli już teraz, na tym świecie, roztropnie, sprawiedliwie i pobożnie, oczekując szczęśliwego spełnienia nadziei i ukazania się chwały wielkiego Boga i naszego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa".

Chwałą Boga jest miłość do wszystkich i do wszystkiego, co kiedykolwiek zaistniało i zaistnieje. Ta miłość odsłania się najwyraźniej w Eucharystii: w chlebie, winie, wodzie, w słowach, gestach, w muzyce, śpiewie i milczeniu, tańcu i procesji. W smaku i zapachu, w reakcji naszego rozumu, w rytmie serca, w sprężystości mięśni i kości, ale też w naszych niedomaganiach i chorobach, które boleśnie przypominają nam, że ścieżka życia biegnie przez Betlejem, Kanę, przez wiecznie zieloną Galileę, ale też i pustynną Judeę, no i Golgotę.

Być może, że te rozbieżności w datowaniu i umiejscawianiu biblijnych wydarzeń mają swoją dobrą stronę. Pozwalają człowiekowi wyrwać się z okowów czasu i przestrzeni, a właściwie nie tyle wyrwać, co zaakceptować, uwierzyć, że Bóg nie przychodzi spoza czasu i przestrzeni, nie spada na ziemię z wysokiego nieba, ale rodzi Go ziemia, zgodnie z Biblią. Prorok Izajasz mówi: „Niebiosa, wysączcie z góry rosę! Obłoki, wylejcie z deszczem sprawiedliwość! Niech się otworzy ziemia i wytryśnie zbawienie! I niech zakwitnie sprawiedliwość! – Ja, Pan, to stworzyłem". Chrześcijanie odczytali ten tekst jako zapowiedź przyjścia Mesjasza, jako że On na sobie pokazał, na czym polega miłość: na bezwarunkowym oddaniu siebie innym.

To przecież wyrażają słowa Syna Bożego: bierzcie i jedzcie moje ciało i pijcie moją krew. A Betlejem? Do świata, hej, pasterze... ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Znaki

Cały ostatni tydzień liturgia wzywała nas do słuchania eschatologicznej mowy Pana Jezusa w zapisie św. Łukasza (Łk 21, 6-36). To odpowiedź na pytanie uczniów: „Nauczycielu, kiedy to [koniec świata] nastąpi? I jaki będzie znak, gdy się to zacznie dziać?”.

Jezus wymienia wiele znaków, a my, czytając, z niepokojem rozglądamy się, by ich nie przegapić, gdyby nadeszły. Tymczasem owe znaki, stanowiące dla Apostołów przyszłość – gdy Jezus je zapowiadał – dla nas stanowią przeszłość. Problemem nie jest to, czy ich wyczekujemy. Problemem jest to, że je oswoiliśmy. Dokonały się, lecz przestały do nas mówić. A jeśli już w ogóle na nie spoglądamy, to nie po to, by wyczytać z nich Jezusowe przesłanie nadziei.

Weźmy choćby pierwszy: zburzenie Świątyni. Jezus zapowiadał je jakieś 40 lat naprzód. Dla nas jednak to odległa historia: uczynił to Tytus w roku 70, niedługo minie 20 wieków. Kto jeszcze dzisiaj czyta ten znak? Owszem, czasami jeździmy do Jerozolimy; idziemy pod Mur Zachodni. Stajemy w podziwie (jak Apostołowie!), zdumieni wielkością użytych bloków kamiennych, a więc i umiejętnościami kamieniarzy z czasów Salomona i Heroda Wielkiego: „co za kamienie i jakie budowle!” (Mk 13, 1). Czasami nawet idziemy oprzeć się w modlitwie o ów Mur, i wetknąć w szczelinę karteczkę z modlitwą. Czy myślimy o wieczności? O nadejściu Dnia Pana?

A przecież zawsze znak zburzonej Świątyni – najpierw w zapowiedziach, potem w wydarzeniu – był wstrząsający, niewyobrażalny. Tak jak niewyobrażalne wydaje się fizyczne naruszenie kamieni Zachodniego Muru. Jeszcze bardziej niewyobrażalny wydaje się duchowy wymiar takiej ruiny: czy Bóg może dopuścić do zburzenia tego miejsca? Czy wiara w Niego może przetrwać bez tego miejsca?

Więc dalej: czy przekazane nam w długim łańcuchu tradycji formy, miejsca i czasy kultu mogą się okazać przemijające? Czy – idąc za całym biblijnym przekazem – nie zredukowaliśmy ich do złudnego poczucia bezpieczeństwa? Czy to, w jaki sposób przeżywamy dziś swoją wiarę, jest w pełni satysfakcjonujące? Czy nasz kult, skoro nie idą za nim czyny miłości, jest prawdziwą czcią oddawaną Bogu, czy raczej bałwochwalstwem, które Go obraża? Czy zarówno nasz grzech, jak i inne, wpisane w naszą naturę ograniczenia nie budzą w nas nadziei i oczekiwania na doskonałe spotkanie z Panem, bez pośrednictwa i zasłon?

Następny znak: prześladowania. Czy potrzebujemy ich wyglądać? Nie dość mamy męczenników, którzy złożyli Panu radykalne świadectwo (Łk 21, 13)? Trwając w miłości w samym środku nienawiści, nawet ze strony swoich najbliższych krewnych (w. 16)? W pełnej wolności i dyspozycyjności okazując, że „posiedli samych siebie”? Znakiem eschatologicznym jest też dla nas przeszły i dzisiejszy los Izraela (w. 20-23) oraz misyjna aktywność Kościoła wśród wszystkich narodów (w. 24).

Wszystko to znaki przeszłe lub obecne. Nie chodzi o to, że ich nie dostaliśmy. Oswoiliśmy je. Dlatego jesteśmy uwięzieni w „tu i teraz”. Dlatego potrzebujemy kolejnego Adwentu. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (9 – 16 XII)

2. niedziela Adwentu: Ba 5, 1-9; Ps 126; Flp 1, 4-6. 8-11; Łk 3, 1-6;
Poniedziałek: Iz 35, 1-10; Ps 85; Łk 5, 17-26;
Wtorek: Iz 40, 1-11; Ps 96; Mt 18, 12-14;
Środa: Iz 40, 25-31; Ps 103; Mt 11, 28-30;
Czwartek: Iz 41, 13-20; Ps 145; Mt 11, 11-15;
Piątek: Iz 48, 17-19; Ps 1; Mt 11, 16-19;
Sobota: Syr 48, 1-4. 9-11; Ps 80; Mt 17, 10-13;
3. niedziela Adwentu: So 3, 14-17; Iz 12; Flp 4, 4-7; Łk 3, 10-18.

Nie płaczcie, nie bądźcie smutni i nie ulegajcie zwątpieniu. Jego łaska będzie z wami i będzie was chronić. Składajmy raczej dzięki za Jego wielkość, bo nas zjednoczył i uczynił ludźmi.

EWANGELIA MARII MAGDALENY

Kto pewien jest, że przemiana, powstawanie i przemijanie są naturą rzeczy, ten sam przemianie niepodległy, od bólu wolny, bez trudu dozna ukojenia.

ASZTAWAKRAGITA

Wybrał PIOTR SIKORA

KU WŁADZY MONOPARTII

Afera KNF to pośredni skutek reformy wymiaru sprawiedliwości. Przez jego upartyjnienie PiS tworzy podstawy do systemowej korupcji.

KLAUS BACHMANN

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Przynajmniej do momentu merytorycznego rozstrzygnięcia sprawy za kilka miesięcy Trybunał Sprawiedliwości UE uchronił Sąd Najwyższy przed zawłaszczeniem przez partię rządzącą. Nie przywraca to jednak Polsce ani niezależności sądownictwa, ani porządku konstytucyjnego. W rękach rządu i prezydenta nadal jest Krajowa Rada Sądownictwa, która już nie jest tarczą ochronną dla sędziów przeciwko ingerencji rządzących, lecz narzędziem partii władzy ułatwiającym skuteczne naciski na sędziów. Odwrócona została też funkcja Trybunału Konstytucyjnego: zamiast kontrolować rząd i parlament, jest on teraz pod ich kontrolą.

Podczas gdy w kraju propagandowy aparat PiS trąbi o „ujarzmieniu nadzwyczajnej kasty sędziowskiej", za granicą zwolennicy obozu rządzącego udają, że nic się nie stało: TK przecież funkcjonuje normalnie i orzeka. Tu i tam odwołują się też do argumentu, że ich reformy nie są niczym nadzwyczajnym i że inne kraje UE w przeszłości stosowały podobne rozwiązania. Komisja Europejska przecież nigdy nie krytykowała np. Niemiec, że tam rządzący też wybierają sędziów. I faktycznie: w tych dniach posłowie do Bundestagu wybrali nowego wiceprezesa niemieckiego TK, który w dodatku dotąd sam był posłem chadecji.

Można się dziwić, że obóz polityczny, który w wypowiedziach swoich przedstawicieli i w swoich mediach „narodowych" odsądza Niemcy od czci i wiary, akurat posługuje się przykładami z Niemiec, aby usprawiedliwić swoje działania wobec wymiaru sprawiedliwości, ale sprawa jest poważniejsza. Problem polega bowiem na tym, że takie porównania milcząco zakładają, że wymiary sprawiedliwości – a w szczególności trybunały konstytucyjne – powinny być „apolityczne" i służyć przede wszystkim sprawdzeniu legislacji pod kątem ich zgodności z konstytucją.

Opozycja i prawnicy krytykujący rząd zgadzają się z tą interpretacją, zarzucając rządzącym „upolitycznienie" KRS, SN i TK, tak jakby one mogły spełnić swoją misję nie wikłając się w politykę. Cały spór o reformę sądownictwa toczy się o to, czy PiS „upolitycznia" wymiar sprawiedliwości i czy reforma jest „zgodna z konstytucją", a jeśli nie, to czy narusza jej literę, czy tylko jej ducha. Ale samo założenie, że sądownictwo – a zwłaszcza sądownictwo konstytucyjne – musi być apolityczne, abstrahuje od jego najważniejszych funkcji.

Maszynka do wymuszania kompromisu

Nazewnictwo trybunałów konstytucyjnych sugeruje, że najważniejszym ich zadaniem jest sprawdzanie zgodności prawodawstwa z konstytucją. Nic bardziej mylnego. Gdyby tylko o to chodziło, można by TK zastąpić jakimś kolegium profesorów prawa, zlecić to kancelarii prawnej albo odpowiednio oprogramować komputer. W większości przypadków TK przeprowadza (i zawsze przeprowadzał) kontrolę konstytucyjności przepisów prawa w składach pięcioosobowych, a nie w pełnym składzie. Zakres jego zadań jest znacznie szerszy, nie wynika jedynie z litery konstytucji, ale z jego umocowania w systemie organów władzy. Ten zakres jest na wskroś polityczny: TK ma kontrolować egzekutywę i legislatywę, gwarantować spójność i przewidywalność uchwalanego prawa, chronić obywatela

Pozywający Jarosław Kaczyński i pozwany Lech Wałęsa, Sąd Okręgowy w Gdańsku, 22 listopada 2018 r.

przed organami państwa i mniejszości przed zakusami większości.
A także – co w warunkach ostrej polaryzacji w Polsce jest szczególnie ważne – wymusić kompromisy, które zapewniają możliwie szerokiej części zainteresowanych zabezpieczenie przynajmniej części ich interesów.

Trybunały konstytucyjne działają więc jak maszynki do wymuszania kompromisów. Kiedy sejmowa większość uchwala prawo gwałcące prawa opozycji, to TK może tę większość postawić przed wyborem: albo dogada się z opozycją po to, by zdobyć wymaganą większość konstytucyjną, albo TK zablokuje owo prawo na amen. Podobnie działają uprawnienia prezydenta do kontroli konstytucyjnej: zmuszają rządzących albo do kompromisu z opozycją (wtedy mogą obalić weto), albo do kompromisu z prezydentem (wtedy on przestanie blokować legislację).

To są zadania czysto polityczne, którym TK może sprostać tylko kiedy nie jest upartyjniony. Tu bowiem jest pies pogrzebany: w ostatnich trzech latach TK nie został „upolityczniony", bo on od samego początku był polityczny i takim miał być w myśl konstytucji z 1997 r. Problem polega na tym, że od 2016 r. jest on też upartyjniony, i to w dodatku przez jedną partię. Dlatego w sprawach politycznie mało kontrowersyjnych może być nadal wiarygodnym kontrolerem zgodności przepisów prawa z konstytucją – ale swoich funkcji politycznych wykonywać już nie może.

Gdyby obozowi rządzącemu udało się opanować Sąd Najwyższy, sytuacja byłaby podobna jak w TK: sąd nadal stałby na czele systemu sądownictwa i zapewniałby spójność oraz przewidywalność prawa, ale nie byłby już zdolny ani do ochrony obywatela przed państwem, ani do ochrony praw mniejszości przed większością. ↦

Jeszcze bardziej drastyczna sytuacja panuje w KRS: nadal formalnie wykonuje swoje prawnicze funkcje – ocenia kandydatów na sędziów – ale zamiast ich chronić przed manipulacjami rządzących, sama nimi manipuluje.

W jednym autorzy reformy sądownictwa mają rację: w Niemczech sądy konstytucyjne też są częściowo upartyjnione i politycy grają nawet większą rolę w wyborze sędziów do federalnego TK niż obecnie w Polsce. To Bundestag i Bundesrat wybierają sędziów, którzy potem mają kontrolować rząd i większości parlamentarne. Prawdą jest też to, że wiele składów niemieckich sądów najwyższego szczebla wybiera się z udziałem ministrów sprawiedliwości.

Tu analogie się kończą, bo żaden niemiecki rząd nigdy nie odważył się sam wybierać, które z wyroków TK uznaje i zechce opublikować, nigdy nie mianował więcej sędziów, niż konstytucja pozwala, i nigdy nie wysłał sędziów TK lub Federalnego Trybunału Sprawiedliwości na przymusową emeryturę, skracając ich konstytucyjne kadencje.

Szesnaście politycznych układanek

Porównanie obecnego stanu sądownictwa w Polsce z Niemcami jest chybione jeszcze z jednego powodu, który jest o wiele ważniejszy niż szczegóły reformy ostatnich lat, bo jest to różnica systemowa: Niemcy są państwem skrajnie zdecentralizowanym i tak samo zdecentralizowany jest system sądownictwa. Polska jest krajem scentralizowanym, w którym rząd, osłabiając pozostałe organy władzy, skupia w swoich rękach coraz więcej władzy. W takim państwie upartyjnienie sądownictwa oznacza centralizację władzy w rękach bardzo wąskiej grupy polityków jednej partii. Mogliśmy to obserwować rok temu, kiedy minister sprawiedliwości, mając już pełną władzę nad prokuraturą, usiłował przejąć kontrolę nad KRS, SN i sądami powszechnymi. W wyniku wet prezydenta musiał się podzielić tą władzą z Sejmem i prezydentem, co nie zmienia faktu, że ta władza jest teraz w rękach jednego obozu władzy i zaledwie kilku polityków.

Kaczyński i Morawiecki nie mogą zrzucić winy za przestępstwa członków własnego obozu na niefrasobliwość służb specjalnych, wymiaru sprawiedliwości lub policji.

Takiego zagrożenia w Niemczech nie ma, mimo znacznie dalej posuniętego upolitycznienia i upartyjnienia sądów konstytucyjnego i najwyższego. Bundestag ostatnio wybrał nawet aktywnego polityka na sędziego TK. Ale parlament potrzebuje do tego większości dwóch trzecich, co zmusza partie do uzgodnienia wspólnych kandydatur z częścią opozycji. W dodatku skład Bundesratu zazwyczaj bardzo się różni od składu Bundestagu (obecna koalicja rządowa nie ma tam większości), a każdy kraj związkowy posiada własne sądownictwo konstytucyjne i powszechne.

Tam też politycy uczestniczą w wyborze sędziów. Ale kraje związkowe są rządzone przez zupełnie inne koalicje niż na szczeblu federalnym. Obecnie tylko cztery z szesnastu krajów związkowych są rządzone przez taką samą koalicję (SPD i CDU), jaka rządzi na szczeblu federalnym, a większość krajów związkowych jest opanowana przez koalicje z udziałem partii zasiadających w berlińskim Bundestagu w ławach opozycji (zieloni, liberałowie i lewica). W takiej sytuacji żaden pojedynczy minister sprawiedliwości, żadna partia nie mogłaby kontrolować całego systemu sądownictwa, nawet gdyby wprowadzono bezpośrednie mianowanie sędziów przez rządy albo wybór sędziów do TK na podstawie zwykłej większości w parlamencie. Przejęcie władzy nad sądownictwem w Niemczech w zgodzie z konstytucją byłoby możliwe tylko w jednej sytuacji: gdyby jedna partia wygrała po kolei (to znaczy w obrębie dwóch kadencji) wybory na szczeblu federalnym i w (prawie) wszystkich krajach związkowych zdobywając tam większość dwóch trzecich. To nie udało się nawet nazistom w 1933 r.

Rozgorzała obecnie debata w Niemczech nad ostatnią nominacją do TK nie dotyczy takich obaw, lecz znacznie bardziej abstrakcyjnej kwestii, czy polityk, który został sędzią, będzie w stanie obiektywnie osądzić zgodność z konstytucją ustaw, nad którymi sam dopiero co pracował jako poseł. Dodajmy, że nawet gdyby do tego doszło, to nie robiłby tego jednoosobowo.

Europa patrzy na system

Dlatego wszelkie porównania polskich reform sądownictwa z innymi krajami federacyjnymi są chybione, bez względu na to, czy się porównuje z Niemcami, Stanami Zjednoczonymi, Nigerią, Indiami czy Kanadą. Więcej sensu mają tu porównania z państwami centralistycznymi, takimi jak Francja, Rosja albo Irlandia. Ale tak czy owak trzeba uwzględnić jeden bardzo ważny aspekt: sądownictwo, a zwłaszcza trybunały konstytucyjne nie funkcjonują w próżni, lecz są elementem całego ustroju państwa i w tym kontekście trzeba rozpatrywać ich reformy. Każda zmiana jednego elementu wpływa na pozostałe. Przekonał się o tym polski prezydent, oddając część władzy nad mechanizmami kontroli konstytucyjnej rządowi na skutek pospiesznego zaprzysiężenia sędziów TK, na których wybór wcześniej nie miał wpływu. Od tego czasu zostaje mu tylko weto (które większość parlamentarna może obalić), aby zablokować ustawy naruszające jego interesy. Innymi słowy: przyczyniając się do przejęcia przez rząd TK, prezydent sam osłabił swoją pozycję wobec parlamentu i rządu.

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem żegnamy

Ś.† P.

st. kustosz dypl. mgr Anielę Piotrowiczową

wieloletnią Dyrektor Głównej Biblioteki Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu, wybitnego specjalistę i szlachetnego Człowieka

Rodziny Rajewskich i deMezer

W obecnym sporze w Polsce dominuje pytanie o „upolitycznienie" sądownictwa i o to, czy sędziowie wybrani w taki sposób, w jaki parlament wybrał nowych sędziów TK, a KRS opiniował sędziów do SN, mogą potem orzekać w sposób „apolityczny" i „niezawisły". Perspektywa systemowa jest mało popularna – po stronie obozu władzy tak samo, jak w opozycji i wśród prawników. Jest ona natomiast bardzo silnie obecna w zagranicznych debatach prawniczych i w orzecznictwie TSUE. Dlatego jest mało prawdopodobne, że TSUE przekonają odwołania polskiego rządu do przykładów z innych krajów unijnych, gdzie „politycy też uczestniczą w wyborach sędziów". Taka argumentacja może zasiać wątpliwości wśród dziennikarzy i publicystów, ale członkowie Rady UE nie dali się na to nabrać. Sądząc po dotychczasowym orzecznictwie, TSUE też nie wda się w dyskusję, dlaczego jeden polski minister nie może decydować o składach sądów, a kilkunastu niemieckich ministrów może.

Wszystko na konto partii

Doświadczenia krajów autorytarnych pokazują, że nawet sędziowie wybrani w dyktaturach mogą się usamodzielnić wobec władzy, jeśli mają zapewnioną kadencyjność i zaczną żywić wątpliwości, czy dyktatura się utrzyma. Sedno całej sprawy polega na czymś innym. Rzecz w skutkach systemowych takich zmian i ich wpływie na inne instytucje, pozornie niedotknięte reformą. Upartyjniając sądownictwo i podporządkowując sobie TK, obecna większość sejmowa zmieniła cały układ sił między organami państwa, osłabiła pozycję parlamentu, prezydenta i wzmocniła rolę rządu. Prokuratura jest posłuszna ministrowi sprawiedliwości – nic nie pokazuje tego lepiej niż wycofanie się prokuratury krajowej z postępowania przeciwko operatorowi TVN po interwencji ambasador USA. Sądami władza wykonawcza może teraz sterować w stopniu większym niż każdy poprzedni rząd. Jedyna instancja kontrolna, która jest jeszcze w stanie wykonać swoje zadanie, to część mediów niezależna od obecnego układu władzy. Dzięki temu istnieje jakaś gwarancja, że za ujawnione przypadki nepotyzmu i korupcji członkowie władzy wykonawczej będą ponosić odpowiedzialność polityczną przy urnie wyborczej. Odpowiedzialności karnej muszą bać się tylko wtedy, gdy ich występki szkodzą obozowi władzy.

Ten miecz ma jednak dwa ostrza. Perspektywa bezkarności to jasny sygnał do członków i zwolenników partii rządzącej, że w swoich działaniach nie muszą się obawiać kłopotów z wymiarem sprawiedliwości. Z drugiej strony – w warunkach funkcjonującej pluralistycznej sfery publicznej – cokolwiek robią wbrew prawu, w oczach obywateli i tak będzie to obciążać wizerunek obozu władzy, nawet jeśli ani Jarosław Kaczyński, ani premier Mateusz Morawiecki tego nie aprobowali. Nie mogą zrzucić winy za przestępstwa członków własnego obozu na niefrasobliwość albo indolencję służb specjalnych, wymiaru sprawiedliwości lub policji. Podporządkowując je sobie, PiS brał pełną odpowiedzialność za ich funkcjonowanie. W aferze Amber Gold Donald Tusk może przerzucić winę na prokuraturę, bo w tamtym czasie nie miał na nią wpływu. Obecny rząd nie może się podobnie zasłaniać.

Afera KNF jest pośrednim skutkiem reformy wymiaru sprawiedliwości. Cechują ją wszystkie elementy tego scenariusza: członek obozu władzy, który, czując się bezkarnie, działa bezprawnie tak długo, aż ujawnienie jego działań zaczyna szkodzić całemu obozowi. Dla opinii publicznej najważniejsza jest odpowiedź na pytanie, jak głęboko sięga ta afera. Z punktu widzenia ustroju państwa i funkcjonowania instytucji ważniejsze jest coś innego: podporządkowanie sobie przez władzę wykonawczą instytucji powołanych do jej kontroli i zniesienie „imposybilizmu prawnego" (tak kiedyś PiS określał opór instytucji, które odwołując się do prawa blokowały realizowane na skróty zachcianki rządu) to mapa drogowa do budowania systemowej, a nie tylko incydentalnej korupcji. To budowa systemu, który skutecznie i z całej siły może uderzyć w dowolnego obywatela (i przeciwnika władzy), ale który jest bezbronny wobec korupcji i nepotyzmu rządzących.

© KLAUS BACHMANN

REKLAMA

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA POŚWIĘCONA OBCHODOM 70-LECIA UCHWALENIA KONWENCJI W SPRAWIE ZAPOBIEGANIA I KARANIA ZBRODNI LUDOBÓJSTWA
Kraków, 6–7 grudnia 2018

CONFERENCE ON GENOCIDE

CZWARTEK, 6 GRUDNIA, Auditorium Maximum Uniwersytetu Jagiellońskiego, ul. Krupnicza 33
10.00–11.30: Rafał Lemkin – osiągnięcia i spuścizna
- Koncepcja ludobójstwa a konwencja o ludobójstwie
- Ludobójstwo w krajowych porządkach prawnych
- Normy ius cogens a zobowiązania erga omnes w zakresie zbrodni ludobójstwa
- Prawo i zakaz zbrodni ludobójstwa

12.00–13.30: Orzecznictwo międzynarodowych trybunałów karnych dotyczące ludobójstwa
- Wyznaczanie granic – dzieci jako chroniona grupa
- Odpowiedzialność członków rządu za zbrodnie ludobójstwa
- Ludobójstwo a kwestia odpowiedzialności dowódcy
- Wpływ lokalnej społeczności na ludobójstwo – Ruanda

14.30–16.00: Ludobójstwo, zbrodnie wojenne, zbrodnie przeciwko ludzkości
- Kwestia odpowiedzialności za ludobójstwa na Jezydach
- Jak sądzić zbrodnie w Syrii

16.30–18.00: Ludobójstwo, mowa nienawiści i media społecznościowe
- Jak sądzić podżeganie do ludobójstwa Jezydów w mediach społecznościowych
- Podżeganie do ludobójstwa w mediach społecznościowych
- Mowa nienawiści przeciwko ludności Rohinga
- Wpływ ETPCz na sądzenie mowy nienawiści grup ekstremistów

PIĄTEK, 7 GRUDNIA, Aula Nowa Uniwersytetu Pedagogicznego, ul. Ingardena 4
10.00–11.30: Współczesne wyzwania
- Karanie zaprzeczania ludobójstwu
- Zaprzeczanie ludobójstwu a orzecznictwo ETPCz
- Karanie zbrodni ludobójstwa – centralizacja czy decentralizacja
- Współczesne formy ludobójstwa
- Edukacja dla zapobiegania ludobójstwu, warsztaty po polsku – Centrum Żydowskie w Oświęcimiu

12.00–13.30: Ludobójstwo kulturowe
- Nowe kierunki w rozumieniu zbrodni – prześladowanie Ujgurów w płd. Chinach
- Reparacje za straty dóbr kultury w prawie międzynarodowym
- Ludobójstwo i kultura – wnioski po 70 latach od uchwalenia konwencji

14.00–15.00: Panel „Angels of Sinjar" – spotkanie z ocalałymi ofiarami ludobójstwa ISIS

18.00: Wykład prof. Philippe'a Sandsa w Międzynarodowym Centrum Kultury, Rynek Główny 25, Kraków

Międzynarodowe Centrum Kultury International Cultural Centre · Jagiellonian University in Kraków · UP · Wojewoda Małopolski · Polski Czerwony Krzyż · Commissioner for Human Rights · Sejm Rzeczypospolitej Polskiej

Gra w Pana Boga

JOANNA PIETRUSIEWICZ, PREZESKA FUNDACJI RODZIĆ PO LUDZKU:

Poród jest czymś naturalnym, a ciało jest mądre. Kobiety często nie zdają sobie sprawy, jaką mają w sobie sprawczość i siłę. Ofiarą systemu są i one, i lekarze, i położne.

JUSTYNA DĄBROWSKA: Jak właściwie wygląda relacja pomiędzy kobietą a lekarzem ginekologiem?

JOANNA PIETRUSIEWICZ: Dość często obserwuję pewien rodzaj gry między nimi, którą nazwałabym „grą w Pana Boga". Polega na tym, że lekarz mówi, oczywiście nie wprost: „oddaj mi swoją decyzyjność, bo ja wiem lepiej, co dla ciebie dobre – jestem przecież specjalistą". A kobieta chętnie w to wchodzi: oddaje lekarzowi swoją odpowiedzialność i sprawczość, bo uważa, że ta relacja zapewni jej bezpieczeństwo.

Mam wrażenie, że wielu lekarzy lubi tę grę. W zamian dostają szacunek, czasem uwielbienie, a także władzę i pieniądze, i pewnie jeszcze inne gratyfikacje. To wszystko jest bardzo przyjemne.

Istnienie tej gry potwierdza nasze ostatnie badanie. Kobiety mówią, że czują się dyskryminowane, kiedy zadają lekarzowi pytania. „Pacjentka ma nie pytać, tylko zaufać". Badanie pokazuje, że prawa pacjenta w niektórych miejscach to tylko pusty slogan.

Wszędzie tak jest?

Na szczęście nie. Jest grupa lekarzy, na razie wprawdzie nieliczna, która podchodzi do kobiet bardziej holistycznie, a przestrzeganie praw pacjenta traktuje jako niezbywalny element swojej pracy.

Czy kobiety otrzymują bezpieczeństwo, za które płacą?

No właśnie: to jest bardzo złudne. One często piszą w ankietach: „Pan doktor może nie jest zbyt miły, ale jest świetnym specjalistą". W tym słychać jakiś rodzaj podporządkowania się, rezygnacji ze swoich praw: prawa do zadawania pytań, prawa do wątpliwości, prawa do tego, by móc samej decydować o swoim ciele.

W końcu to ja najlepiej wiem, czego potrzebuję i czy coś mi się podoba, czy nie. Ale kobiety – ze strachu – z tego wszystkiego rezygnują.

I jakie mogą być tego konsekwencje?

Ta gra jest bardzo niebezpieczna. Przy czym chcę wyraźnie powiedzieć, że ofiary są po obu stronach. Jeśli kobiety oddają decyzje na temat swojego ciała w obce ręce, to oczekują, że ten ktoś wszystkiego się domyśli, wszystko spełni, nie będzie żadnej frustracji. Że one będą dla tego lekarza zawsze numerem jeden. A to jest nie do zrobienia.

Nic dziwnego, że są potem rozczarowane. Lekarze mówią: „roszczeniowe".

Czasem to się kończy w sądzie.

Właśnie. To konsekwencja tej gry: „Pan doktor obiecał, że za mnie zdecyduje i wszystko będzie w porządku, ja za to zapłaciłam i chciałabym mieć gwarancję". A w ciąży i w porodzie nigdy nie można dać gwarancji.

Niepokoi mnie to podejście. Po pierwsze, to gra w podtrzymywanie iluzji: w rzeczywistości to jednak my jesteśmy odpowiedzialne za nasze życie i będziemy ponosić konsekwencje naszych wyborów. Po drugie, im bardziej kobieta angażuje się w proces planowania swojego porodu, im bardziej czuje, że to jest w jej rękach, tym większa szansa, że będzie mieć potem satysfakcję.

Wielu kobietom trudno sformułować swoje potrzeby, zwłaszcza te dotyczące cielesności. Może dlatego tak chętnie oddają poród w obce ręce?

Dlatego namawiam, żeby ciąża była czasem, w którym można się trochę zatrzymać i przyjrzeć swoim potrzebom. To jedna z niewielu okazji, kiedy możemy mieć taką przestrzeń dla siebie. Ciągle mamy jakieś zobowiązania wobec innych, najpierw w szkole, potem w pracy, a ciąża to czas, kiedy otoczenie społeczne wreszcie daje przyzwolenie, żebyśmy się mogły zająć sobą bez żadnych wyrzutów sumienia. To jeden z niewielu takich momentów w życiu, na następną okazję trzeba będzie czekać, aż dzieci wyfruną z domu. Czas, żeby nareszcie poczuć swoje ciało, jego potrzeby, przyjrzeć się, co dla mnie ważne, czego się boję, czego nie chcę.

Tym bardziej że w czasie ciąży wiele odpowiedzi można znaleźć: człowiek się wtedy robi taki psychicznie przezroczysty.

Ciąża i poród to intensywne spotkanie ze swoim ciałem. Nareszcie można przyjrzeć się sobie bardziej całościowo – jak się odżywiam, jak odpoczywam, jakie mam nawyki.

Czy nie jest tak, że mamy w Polsce kłopot z byciem blisko swojego ciała i rozumieniem go?

Myślę, że seksualność to ciągle jest tabu. Poznajemy ją jakoś „przy okazji". Wiele zależy od tego, na co młodzi trafią w swojej seksualnej edukacji – czy na mądrego nauczyciela, czy na strony pornograficzne. Jeśli kobieta trafi na grupę kobiet w ciąży, często może zdobyć brakującą wiedzę. Pamiętam różne dziewczyny z naszej szkoły rodzenia, które dopiero na zajęciach otwierały się na własną seksualność. Zaczynały wiedzę integrować w całość.

Na co kobietom otwierają się oczy?

Na to, że poród jest czymś najzupełniej naturalnym, że ciało jest mądre. Kobiety na ogół myślą o porodzie jak o czymś bardzo trudnym, niepokojącym, czymś, co wymaga interwencji, medycznej ochrony. I często się dziwią, kiedy się dowiadują, jak nas natura wspaniale wyposażyła, jak to działa. Nie zdają sobie sprawy, jaką mają w sobie sprawczość i siłę.

Dostają szansę na upodmiotowienie.

To trochę paradoks, bo przecież ciąża i poród to wydarzenia, które się dzieją bez naszej woli: toczą się swoim naturalnym rytmem. Tu właściwie nie potrzeba żadnych specjalnych umiejętności czy wiedzy, bo ciało wie, co ma robić, a jednak ta wiedza uspokaja. Kiedy kobiety dowiadują się, jakie ich ciało jest mądre, zyskują wiarę.

Nauka była nam potrzebna, żebyśmy mogły uwierzyć. Takie mamy czasy. Zresztą sama jestem osobą, która tę drogę przeszła. Jak zrozumiałam, to uwierzyłam.

Że ciało zna odpowiedź.

I że warto go słuchać. Jak człowiek się wsłuchuje w siebie, usłyszy odpowiedź, czego potrzebuje.

TOMASZ URBANEK / DDTVN / EAST NEWS

JOANNA PIETRUSIEWICZ jest prezeską fundacji Rodzić po Ludzku, działającej na rzecz godnego porodu i monitorującej sytuację w placówkach położniczych. Od lat związana z organizacjami pozarządowymi, pracowała m.in. jako wychowawczyni w ogniskach dziecięcych i przy realizacji środowiskowych programów psychoprofilaktycznych dla rodzin. Członkini ministerialnego zespołu ds. opracowania Standardów Organizacyjnych Opieki Okołoporodowej.

Na drodze tej rozmowy staje ginekolog. Nie ze złej woli, tylko dlatego, że został wykształcony do zajmowania się patologią, a nie fizjologią.

Też tak myślę. Można powiedzieć, że ofiarą naszego systemu opieki okołoporodowej są wszyscy: i kobiety, i lekarze, i położne. Lekarz ma na pacjentkę 15 minut. To oczywiste, że nie ma możliwości zajęcia się tym, co się z nią dzieje na poziomie emocji, przygotowania do transformacji. Więc nie oszukujmy się, że tym, co robi, jest „sprawowanie opieki nad kobietą". Mówiąc o opiece, myślimy jednak o czymś więcej niż tylko o badaniach wewnętrznych czy sprawdzaniu wyników innych badań. Myślimy o kompleksowym podejściu: o tym, że ktoś z nami porozmawia i zapyta, co się dzieje w naszym sercu i głowie. W standardach opieki okołoporodowej jest zapis, który mówi, że lekarz powinien spróbować porozmawiać z kobietą o jej samopoczuciu, żeby wyłowić symptomy depresji.

Lekarz podczas studiów uczy się, jak postępować w sytuacjach patologicznych, trudnych. Jego zadaniem jest działanie, interweniowanie, leczenie, a poród nie jest chorobą – to fizjologia, naturalny moment w naszym życiu.

Może jednak należy szukać innego rozwiązania? Przecież ciążę może prowadzić położna.

W wielu krajach europejskich istnieje ścisły podział w opiece nad kobietą w ciąży i porodzie. Fizjologią zajmuje się położna, której zadaniem jest wychwytywanie czynników ryzyka i dopiero w sytuacji niepokojącej kierowanie do lekarza. Położne przez pięć lat uczą się na akademiach medycznych, jak wspierać zdrowie, czyli jak towarzyszyć kobietom w ich naturalnych etapach życia – dojrzewaniu, ciąży, porodzie, menopauzie.

W Polsce kobieta może być pod opieką położnej od 21. tygodnia ciąży. To położna może zająć się edukacją i przygotowaniem do porodu, mając wtedy dużo czasu dla kobiety. I może się nią zająć po porodzie. Na razie położne mało odważnie sięgają po prowadzenie ciąży, aczkolwiek jest ich coraz więcej i coraz więcej kobiet ma na to ochotę, bo NFZ to refunduje.

Skąd ten brak odwagi?

Położne trochę się obawiają, co na to powiedzą ich koledzy, ginekolodzy, ale pomału to się zmienia. Kłopot jest taki, że ↦

GILLIAN ANDES / CATERS NEWS / FORUM

lekarze nie informują kobiet, iż taka możliwość istnieje, a kobiety rzadko same sięgają po wiedzę, co im przysługuje, co to są standardy opieki okołoporodowej. Na razie wygrywa relacja władzy.

Dlatego w Polsce nadal ponad połowa kobiet korzysta z prywatnej opieki ginekologicznej?

Kobiety mają nadzieję, że chodząc prywatnie do lekarza, dostaną potem lepszą opiekę w szpitalu. Najczęściej bowiem idą rodzić do szpitala, w którym pracuje ich lekarz. Liczą, że tam będzie osoba, która w razie czego im pomoże, choć w praktyce różnie bywa.

To wynika też z tego, że część kobiet ze strachu chce mieć cięcie cesarskie: dużo łatwiej cesarkę załatwić w takim „systemie ratalnym".

Ile jest w Polsce cięć cesarskich?

Zbliżamy się do połowy, choć w niektórych szpitalach 50 proc. zostało już dawno przekroczone. To konsekwencja wielu lat zaniedbań ze strony resortu zdrowia i nie tylko. Nasze raporty pokazują, że brak dostępności znieczulenia przekłada się na wzrost liczby cesarskich cięć. Wcale się nie dziwię – jeśli kobieta ma pójść do szpitala, w którym nie będzie znieczulenia, dostanie oksytocynę w trakcie porodu i będzie jeszcze źle traktowana, to mniej brutalne wyda się jej pójście na cesarkę.

Czy wszystkie cięcia „na życzenie" są planowe?

Świadomość kobiet rośnie i starają się umawiać w taki sposób, żeby można było poczekać na pierwsze skurcze. Myślę, że powodem tego wzrostu jest to, o czym mówiłyśmy wcześniej – oderwanie od własnego ciała, lęk przed tym, co nie daje się przewidzieć i skontrolować. Konfrontacja z taką żywiołową cielesnością, nieprzewidywalnością, z wydzielinami ciała, jest dla wielu trudna i cesarskie cięcie wydaje się łatwiejszym rozwiązaniem.

Silnym czynnikiem jest tu kwestia kontroli. Jest też lęk, że ciało może zostać w jakiś sposób uszkodzone porodem.

JOANNA PIETRUSIEWICZ:

17 proc. rodzących doświadcza przemocy. To przemoc fizyczna i werbalna: policzkowanie, rozwieranie nóg na siłę, wyśmiewanie, dyskryminowanie, obrażanie, szantaż.

Te lęki są podsycane przez media.

Tak, w mediach o porodzie mówi się przede wszystkim w negatywny sposób, przekaz jest straszący. Czytamy, że poród to „zagrożenie życia" albo przyczyna utraty atrakcyjności seksualnej.

Jakie będą konsekwencje tego procesu?

To będzie efekt kuli śnieżnej. Kobiety, które miały cesarkę, będą miały kolejne cięcie. Długofalowe konsekwencje zdrowotne są poważne: wzrasta ryzyko otyłości, cukrzycy. Z cesarskim cięciem łączą się też trudności z karmieniem. Zwiększając liczbę cięć, zwiększamy ryzyko zachorowań na różne choroby niezakaźne.

Kobiety boją się porodu naturalnego, boją się braku dostępu do znieczulenia, powikłań podczas porodu. Niestety, nie mamy wielu sprzymierzeńców zmiany w tej sprawie. Część mediów utwierdza kobiety w przekonaniu, że poród jest czymś okropnym i niesie ogromne ryzyko poważnych szkód, a lekarze nie zawsze tłumaczą, jakie są konsekwencje cesarskiego cięcia i możliwe powikłania. Na forach można znaleźć informacje o tym, że cesarskie cięcie to „prosty zabieg, który trwa mniej niż godzinę". Nikt nie mówi, jakie są negatywne strony tej operacji.

Praca z przekonaniami kobiet wymaga czasu, uważności. Warto dostarczać informacji o tym, jak naprawdę przebiega poród, jakie są możliwe metody łagodzenia bólu, omówić lęki, dać kobiecie czas, by nowe informacje powoli się poukładały. Właśnie czas jest najdroższym produktem.

Jestem świeżo po lekturze książki „Ginekolodzy" Izy Komendołowicz. Zarówno po stronie autorki, jak i jej rozmówców natrafiłam na wiele wypowiedzi nasyconych pogardą wobec kobiet. Taki wyższościowy chichot, który – przypuszczam – może legitymizować przemoc. Jak to wygląda w świetle Waszych badań?

Nasz raport pokazuje, że w kwestii informowania, bycia szanowanym, jest zmiana na lepsze: kobiety mówią „tak, chętnie byśmy rodziły w tym szpitalu jeszcze raz". Ale... 17 proc. kobiet doświadcza przemocy. To przemoc fizyczna i werbalna! Kobiety są policzkowane, czasem mają rozwierane nogi na siłę, są wyśmiewane, dyskryminowane, obrażane, szantażowane. 17 proc. to tysiące kobiet! Ciągle nie mogę uwierzyć w te liczby.

Kiedy analizujemy odpowiedzi na konkretne pytania dotyczące praw pacjenta, widzimy, że skala ich łamania jest jeszcze większa – dotyczy ponad połowy kobiet.

TP

Kluby „TP" zapraszają

GRUDZIĄDZ
- **poniedziałek, 17 grudnia, godz. 17.00**
Spotkanie „Człowiek jako ostatni destruktor na Ziemi". Gościem będzie dr hab. Ewa Bińczyk. Miejsce: Aula Niepublicznej Szkoły Podstawowej nr 1 (ul. Chełmińska 121).

KRAKÓW
- **niedziela, 9 grudnia, godz. 18.00**
Spotkanie „O metafizyce". Gościem będzie prof. Karol Tarnowski. Miejsce: Aula Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia (ul. Basztowa 9).

SŁUPSK
- **piątek, 14 grudnia, godz. 18.00**
Spotkanie organizacyjne. Miejsce: Herbaciarnia (Rynek Rybacki 76).

WARSZAWA
- **czwartek, 13 grudnia, godz. 18.00**
Spotkanie „Kościół służebny wobec pokusy panowania". Miejsce: sala Fundacji Sto Pociech (ul. Freta 20/24a, I piętro).
- **sobota, 15 grudnia, godz. 16.00**
Kawiarenka „Darcie pierza". Gościem będzie Anna Dziewit-Meller. Miejsce: Stacja Muranów (ul. Andersa 13).

ZIELONA GÓRA
- **poniedziałek, 10 grudnia, godz. 18.00**
Spotkanie „Moje Niemcy, moi Niemcy – wydarzenia na drodze do porozumienia". Gość: prof. Hubert Orłowski. Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Tak więc rzeczywiście jest grupa lekarzy, która gardzi kobietami, która używa swojej pracy do tego, żeby pokazać władzę nad kobietą, która dopuszcza się użycia siły.

Niestety, kobiety się nie skarżą. Część nie wie, że to, co się im wydarzyło, jest niezgodne z prawem. A z tych, które wiedzą (ok. 23 proc.) tylko 3 proc. składa skargę. Piszą, że boją się podpisywania listów imieniem i nazwiskiem, bo boją się konsekwencji.

Ciekawe, bo ginekolodzy mówią, że są ciągle pozywani.

Jedna porządna skarga może oczywiście zatruć wiele lat życia, ale w skali nadużyć to niewielki procent. Nie jestem za tym, żeby sprawy się kończyły w sądzie, tylko za tym, żeby kobiety mówiły, czego doświadczają – zarówno o tej dobrej opiece, jak i złej. Wśród lekarzy i położnych jest duża grupa, która pracuje według nowych standardów i bardzo się stara. Na pewno te osoby, które pracują źle, nie tylko krzywdzą kobiety, ale psują opinię całego szpitala. Bardzo dużo mają do zrobienia samorządy zawodowe. Mam nadzieję, że nie będą spraw zamiatać pod dywan. Jeśli komuś zależy na kobietach, na swoim miejscu pracy, na placówce – to będzie pracował nad poprawą jakości opieki. To coś, co się będzie długie lata odbijało na grupie zawodowej, a u wielu kobiet może zaważyć na życiu.

Czy nadal rutynowo nacina się krocze?

Połowie kobiet. Czyli rzadziej niż kiedyś, ale nadal daleko nam do innych krajów. Zmiana mentalna wśród lekarzy zachodzi powoli.

Żeby nie nacinać kobiety, trzeba umieć ją ochronić.

Tak, przyjąć poród w pozycji wertykalnej. To się powolutku poprawia – można już znaleźć szpital, w którym kobieta nie będzie miała rutynowego nacięcia krocza, ale trzeba go poszukać. Druga rzecz, która musi nastąpić, to doinwestowanie położnych: jeśli będzie ich więcej na salach porodowych i oddziałach położniczych, jeśli będą lepiej opłacane, postęp będzie szybszy.

Ich zarobki w ogóle nie odpowiadają tej odpowiedzialności, którą biorą na siebie. Jeśli to się szybko nie zmieni, będziemy tu mieli to, co jest w USA, gdzie już prawie w ogóle nie ma położnych. Porody przyjmują lekarze, a liczba cesarskich cięć rośnie lawinowo.

Podobnie jak liczba zgonów okołoporodowych.

Tak, dlatego w Stanach podjęto próbę walki z wysokim odsetkiem cesarskiego cięcia, ponieważ badania pokazują, że to zwiększa ryzyko śmierci okołoporodowej. Jest więcej sytuacji trudnych niż korzyści z tego wynikających. Ale bez dobrych położnych się nie uda.

Skąd Wam przyszło do głowy umieścić pytania o przemoc w ankiecie?

Przychodziły alarmujące listy. Poza tym jest stanowisko WHO, dotyczące nadużyć i przemocy, które wzywa, żeby badać to zjawisko.

Poród to bardzo wrażliwy moment: taki, w którym kobieta jest zdana na opiekę innych osób i w związku z tym łatwo – jak się nie ma hamulców – przekroczyć granice: nakrzyczeć, zastraszyć, żeby zrobiła to, co ktoś uznaje za konieczne. To rocznie 68 tys. kobiet! A wśród niektórych lekarzy jest nadal ta pokusa, żeby sprowadzić kobietę do bycia potulną owieczką.

Co jeszcze budzi niepokój?

Karmienie piersią wygląda fatalnie. Nie chcę oskarżać położnych, bo wiem, w jakich warunkach pracują – nie jest możliwe, żeby położna, która ma 20 kobiet pod opieką, dała im to, czego potrzebują. Ale nie wiedziałam, że 60 proc. dzieci na oddziale położniczym jest dokarmianych mlekiem modyfikowanym.

Czy to w ogóle zgodne z prawem?

No nie.

Zapytałyśmy kobiet: czy byłaś do czegoś zmuszana w szpitalu? Najwięcej odpowiedziało: tak, do karmienia mlekiem modyfikowanym. Ale tu nie chodzi tylko o wiedzę na temat laktacji, lecz przede wszystkim o normy zatrudnienia. Położne muszą tupnąć nogą: powiedzieć, że nie będą pracować w tak skandalicznych warunkach. To, co się dzieje z ich zawodem, jest sprawą feministyczną. Fakt, że zawody pielęgniarki i położnej są tak kiepsko płatne i niepoważane, jest wynikiem stosunku do kobiet. Zawody, które naprawdę służą społeczeństwu, są traktowane po macoszemu właśnie dlatego, że są sfeminizowane. To się musi zmienić, żeby wszystkim – nie tylko kobietom – było lżej.

© Rozmawiała JUSTYNA DĄBROWSKA

Poród po ludzku

ZNIECZULENIE ZEWNĄTRZOPONOWE PODANO 23,7 PROC. KOBIET, które rodziły drogami natury lub miały nieplanowane cesarskie cięcie (13 proc. deklarowało, że chciało otrzymać znieczulenie, ale w szpitalu, w którym rodziły, nie było takiej możliwości).

37,1 PROC. NIE MOGŁO DECYDOWAĆ O POZYCJI, w jakiej urodzi.

DO KIEROWANIA SIĘ WŁASNĄ POTRZEBĄ PARCIA ZACHĘCANO 42,3 PROC. RODZĄCYCH. 15,5 proc. deklarowało, że w czasie porodu naciskano na ich brzuch, 13,5 proc. było krytykowane za sposób parcia.

PORÓD BYŁ WYWOŁYWANY U 43,4 PROC. rodzących drogami natury lub mających nieplanowane cesarskie cięcie. Ponad połowie (60,6 proc.) podano kroplówkę z oksytocyną. Wśród kobiet, które miały wywoływany poród, 27,1 proc. nie zostało zapytanych o zgodę, wśród kobiet, którym podano oksytocynę – nie zapytano 29,1 proc.

NACIĘTE KROCZE MIAŁO 55,4 PROC. rodzących drogami natury.

KONTAKT „SKÓRA DO SKÓRY" BYŁ W 73,8 PROC. PRZYPADKÓW SKRACANY (według Standardów Opieki Okołoporodowej ma trwać dwie godziny po porodzie).

17,8 PROC. KOBIET NIE OTRZYMAŁO WSPARCIA PRZY KARMIENIU. Ponad 60 proc. dzieci było dokarmianych mlekiem modyfikowanym.

54,3 PROC. KOBIET DOŚWIADCZYŁO PRZEMOCY LUB NADUŻYĆ związanych z zachowaniem personelu lub niedopełnieniem wszystkich procedur. 24 proc. badanych wspomina o niestosownych komentarzach, 20 proc. doświadczyło traktowania z góry, 12,8 proc. czuło się zmuszonych do czegoś przez personel.

■ Na podstawie 8378 ankiet kobiet, które rodziły od 1 stycznia 2017 do 20 marca 2018 r., uwzględnionych w ostatnim raporcie fundacji Rodzić po Ludzku.

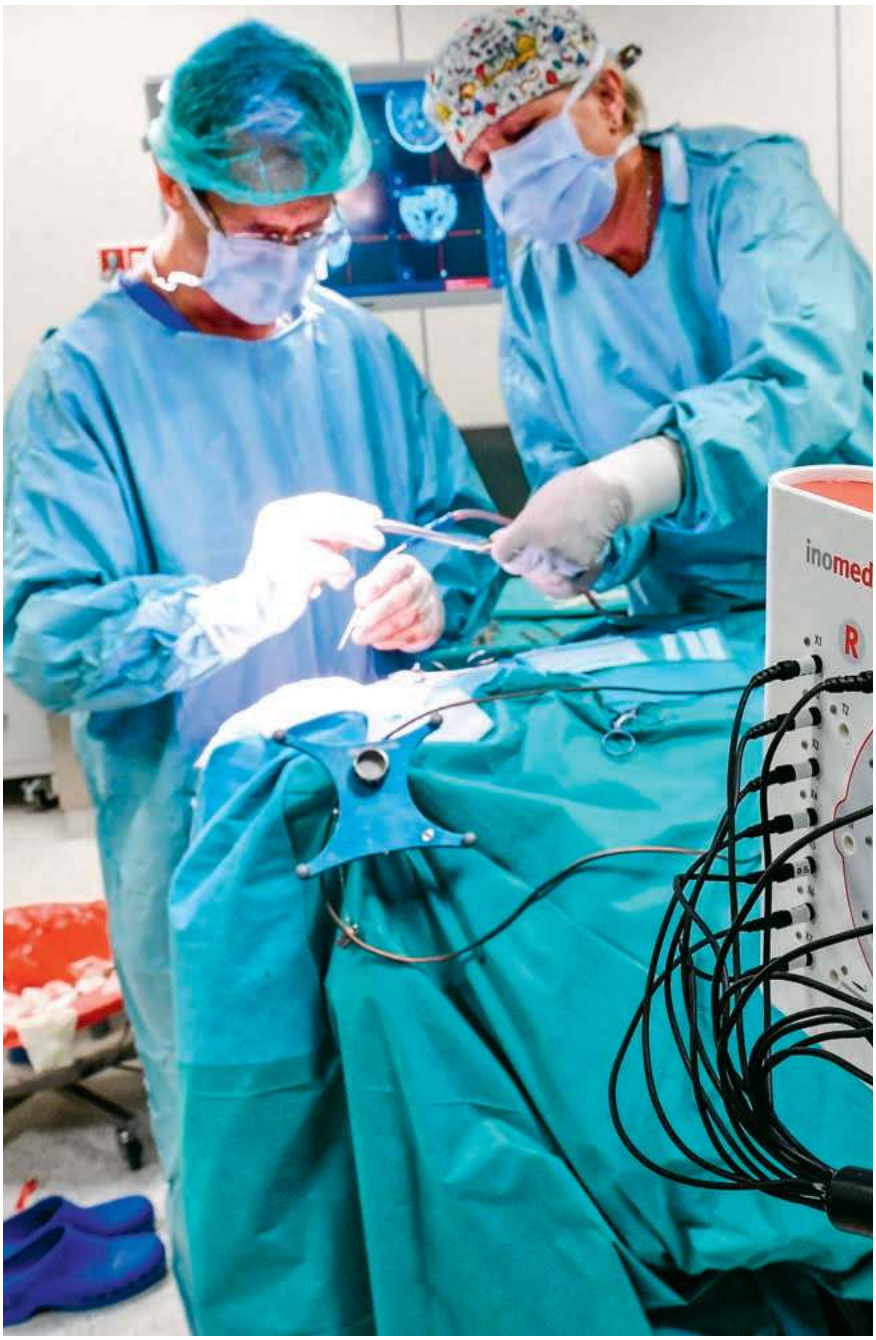

MARCIN BIELECKI / PAP

Wieczny dyżur

MACIEJ MÜLLER

Na tysiąc Polaków przypada 2,4 lekarza: jesteśmy w ogonie Europy. Coraz więcej medyków wchodzi w wiek emerytalny, a ci, którzy pracują, czynią to często ponad miarę wytrzymałości.

Polscy lekarze pracują 234 godziny miesięcznie (wliczając w to dyżury) – wynika z ankiety przeprowadzonej przez samorząd lekarski. Rekordziści grubo przekraczają 300 godzin. Zgodnie z unijnym prawem górna granica to 192 godziny. Gdyby lekarze nagle zaczęli tyle pracować, trzeba by zamknąć kilkadziesiąt szpitali, a reszta miałaby kłopot z obsadzeniem oddziałów.

Polska, wstępując w 2004 r. do Unii Europejskiej, wdrożyła przyjętą rok wcześniej Dyrektywę o czasie pracy. Pozwala ona pracować maksymalnie 48 godzin w tygodniu, gwarantując przy tym 11-godzinny odpoczynek na dobę i przynajmniej raz w tygodniu nieprzerwany odpoczynek 35-godzinny. Polska wynegocjowała sobie rozwiązanie prowizoryczne do czasu zwiększenia liczebności kadr lekarskich.

Dyrektywa pozwala bowiem na zwiększenie maksymalnego tygodniowego czasu pracy do 78 godzin (miesięcznie to 312 godzin) – pod warunkiem podpisania przez pracownika zgody, czyli sławnej klauzuli opt-out.

Po 14 latach sytuacja się nie zmieniła: prowizorka leży u podstaw organizacji systemu, a luka kadrowa jak była, tak jest. To zagrożenie bezpieczeństwa zdrowotnego społeczeństwa. Władze o tym wiedzą, dlatego wypowiadanie klauzul stało się głównym narzędziem protestu lekarzy rezydentów w 2017 r.; wzywały też do tego Naczelna Izba Lekarska i OZZL, największy lekarski związek zawodowy.

„Zapowiedzi, że lekarze będą pracować mniej, odbieram jako uderzenie w podstawy etyki lekarskiej" – tak zareagował na te apele ówczesny minister zdrowia Konstanty Radziwiłł. Samorząd lekarski odpowiedział, że to właśnie praca ponad wymiar 48 godzin tygodniowo jest sprzeczna z Kodeksem Etyki Lekarskiej.

Ośmiu pracodawców

System jest zaopatrzony w potężny amortyzator. Przepisy unijne dotyczą umów o pracę, a tych lekarze podpisują coraz mniej. W wielu szpitalach działy kadr proponują już wyłącznie kontrakty, czyli umowy cywilno-prawne z firmą prowadzoną przez lekarza, najczęściej w formie indywidualnej praktyki.

I tu odnajdujemy część odpowiedzi na pytanie, dlaczego rekordziści pracują po 300 godzin miesięcznie.

– Ochrona czasu pracy nie ma zastosowania do kontraktów – tłumaczy Maciej Biardzki, lekarz, były prezes Milickiego Centrum Medycznego, wcześniej wicedyrektor dolnośląskiego NFZ. – A w przypadku etatu ochrona dotyczy jedynie pracy u tego samego pracodawcy. Jeśli lekarz pracuje naprzemiennie w kilku miejscach, czas się nie sumuje.

Polscy lekarze – w świetle cytowanej ankiety – pracują średnio w trzech miejscach. Rekord: 149 godzin w tygodniu u ośmiu różnych pracodawców. Biardzki: – Liczba przepracowanych godzin bez przerwy zależy od osobistej odpowiedzialności samego lekarza i zlecających mu pracę. W obecnym stanie prawnym wszystkie chwyty są dozwolone.

Przykład? Lekarz w jednym szpitalu pracuje na różne sposoby. Np. w dzień na etacie, a w nocy jako podwykonawca spółki, z którą szpital podpisał umowę na pełnienie dyżurów.

Słynący z bon motów szef OZZL Krzysztof Bukiel wielokrotnie podkreślał, że polska ochrona zdrowia opiera się na niewolniczej pracy personelu. System wg niego ewoluuje w kierunku pańszczyzny, w której lekarz nie jest przywiązany do miejsca pracy, ale do pracy jako takiej.

„Nadmierna praca lekarzy jest rządzącym na rękę – pisał Bukiel w 2016 r. – Łagodzi braki kadr, zmniejsza presję na podniesienie pensji za normalny czas pracy, zajmuje lekarzy robotą, przez co nie mają sił na domaganie się lepszych warunków, a ostatecznie daje rządzącym możliwość zrzucania na lekarzy odpowiedzialności za wszelkie braki publicznej ochrony zdrowia".

Dlaczego lekarze decydują się na pracę w wielu miejscach? Oczywista odpowiedź – by maksymalnie zwiększyć dochody – jest prawdziwa jedynie częściowo.

– W Polsce mamy bezwzględny niedobór lekarzy, pogłębiony przez złą ich dystrybucję (w dużych miastach mieszka, kształci się i pracuje największa ich liczba, prowincja jest silnie poszkodowana) i rozdrobnienie specjalizacji – wyjaśnia Maciej Biardzki. – W rezultacie pracodawcy są w stanie zaproponować lekarzom wysokie wynagrodzenia za chęć praktykowania u nich.

Jest też problem systemowy: sposób konstruowania kontraktów NFZ z placówkami powoduje, że często oferują one tylko cząstki etatów. Biardzki: – Wszystko to sprawia, że lekarze mają szanse bardzo dobrze zarobić, ale pod warunkiem pracy w zwielokrotnionym wymiarze i w wielu miejscach. W czym organizatorzy systemu, chcąc utrzymać jego działalność, bynajmniej im nie przeszkadzają.

O tym, jak się czuje lekarz po stu godzinach pracy, mówił w 2014 r. ginekolog z Rzeszowa Zdzisław Szramik, wiceprzewodniczący OZZL. „Po jednym z takich dyżurów uszkodziłem samochód, cofając i uderzając w słup" – przyznał.

„Każdy oburzałby się, gdyby przyjmował go pijany lekarz. Nikt nie oburza się, jeżeli przyjmuje nas w 24., 30. czy setnej godzinie pracy" – wtórował mu inny związkowiec Piotr Watoła.

Dla pełni obrazu trzeba dodać, że część szpitali kontroluje czas pracy personelu. W szpitalu Macieja Biardzkiego ograniczano nieprzerwany czas pracy i wprowadzono zasadę niestawania do stołu operacyjnego lekarzy po zakończeniu dyżuru: – Tym niemniej, aby nie zaburzać pracy szpitala, były to zasady „miękkie", nieskodyfikowane – zastrzega. ↦

REKLAMA

ZBIGNIEW PREISNER I PRZYJACIELE

„STARE I NOWE KOLĘDY"

zaśpiewają:

Beata Rybotycka, Edyta Krzemień, Joanna Pocica, Maciej Balcar, Zbigniew Preisner, Zespół Jana Karpiela Bułecki

10 stycznia 2019 – ICE Kraków Congress Centre
14 stycznia 2019 – Narodowe Forum Muzyki Wrocław
15 stycznia 2019 – Torwar Warszawa
16 stycznia 2019 – Filharmonia Bałtycka Gdańsk
17 stycznia 2019 – CKK Jordanki Toruń
19 stycznia 2019 – Sala Ziemi Poznań

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, eBilet.pl

Prestige MJM 10 lat
REGENT WARSAW HOTEL
15 BMF Classic
wprost
DO RZECZY
T3
WP
trojmiasto.pl
cgm.pl
Multikino
empik
pap
STRÖER
VIXON
PRESS SERVICE

Najwyższa cena

↦ Włoszczowa: chirurg umiera na zawał po 24-godzinnym dyżurze (zaraz miał zaczynać kolejny). Głubczyce: anestezjolog umiera po ponad stu godzinach dyżuru w pogotowiu i szpitalu. Niepołomice: umiera 28-letnia rezydentka; śledztwo wykazuje, że w ciągu ośmiu dni pełniła (w różnych placówkach) sześć dyżurów. Białogard: po maratonie dyżurowym umiera 40-letnia anestezjolożka.

Każdego roku media przynajmniej kilkakrotnie żyją sprawami typu „śmierć na dyżurze". Te historie są schematyczne. Na ogół okazuje się, że zmarły miał za sobą wiele dyżurów, ale działania prokuratorskie nie wykazują związku zawału serca czy udaru z przepracowaniem. Np. śledztwo ws. lekarki z Białogardu umorzono po tym, jak sekcja zwłok wykazała, że zmarła chorowała i przyjmowała silne leki przeciwbólowe; za przyczynę śmierci uznano zatrucie nimi (rzecznik szpitala ogłosił: „Pani doktor nie była naszym pracownikiem. Prowadziła działalność gospodarczą, dlatego czas pracy organizowała sobie samodzielnie"). Za to kontrole NFZ punktują potem placówki za „realizację świadczeń medycznych mimo braku wystarczającej liczby lekarzy". Po kilku miesiącach historia powtarza się gdzie indziej.

„Zmęczenie lekarza może przyczynić się do błędu, a w konsekwencji narazić na utratę zdrowia lub życia inne osoby" – pisał w 2016 r. do ministra zdrowia rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar. Wskazywał, że szpitale powinny wprowadzić maksymalny dobowy czas pracy niezależnie od formy zatrudnienia. Ten sam postulat zgłaszały wielokrotnie NIK i Inspekcja Pracy, a OZZL pisał w tej sprawie do kolejnych rządów. Odpowiedź brzmiała: nie możemy ograniczać swobody działalności gospodarczej.

„W tej chwili **realny wybór jest często między lekarzem zmęczonym a żadnym"** – mówił minister zdrowia w 2016 r. Nic się nie zmieniło.

Minister Radziwiłł tak komentował w 2016 r. przypadki śmierci dyżurowych: „Lekarze dużo i ciężko pracują. Jest to wpisane zarówno w ten, jak i w wiele innych zawodów. Pracują w nocy, w dni świąteczne. Ograniczeniem tego zjawiska w pierwszej kolejności powinien być zdrowy rozsądek". I dodał: „w tej chwili realny wybór jest często między lekarzem zmęczonym a żadnym".

Chętnych do reform nie ma

Bo lekarzy jest w Polsce po prostu za mało. Na 1000 mieszkańców przypada ich 2,4. Średnia dla Unii Europejskiej to 3,8. W Austrii to 5,1; w Czechach 3,7. Wskaźniki te ogłoszono 22 listopada w raporcie „Health at a Glance 2018", przygotowanym przez OECD i Komisję Europejską. W rankingu Polska od lat zajmuje ostatnie miejsca. Raport wykazuje, że od 2000 r. liczba lekarzy w naszym kraju właściwie się nie zmienia.

Przyczyn jest wiele. W latach 90. budżet państwa ograniczył finansowanie miejsc na wydziałach lekarskich. Wyjście z komunizmu otwarło przed medykami nowe możliwości pracy, choćby w koncernach farmaceutycznych, powstał też zawód menedżera ochrony zdrowia. Akces do Unii otwarł możliwości pracy za granicą. A funkcjonujący na rynku lekarze się starzeją. Gdyby na emeryturę przeszli wszyscy uprawnieni do tego pediatrzy, zawaliłby się system opieki medycznej nad dziećmi.

A do reform żaden rząd się nie garnie. Dobre chęci ministrów zdrowia zwykle palą na panewce po sprzeciwie ministrów finansów: – Niezależnie od tego, kto jest u władzy, dominuje polityka wsadzania głowy w piasek z jednoczesnym deklarowaniem priorytetowego traktowania opieki zdrowotnej – uważa Maciej Biardzki. – Przyczyny? Lęk przed skalą problemów, potrzeba radykalnego zwiększenia nakładów, niezrozumienie powiązania stanu opieki zdrowotnej z rozwojem gospodarki – wylicza. – Potrzeba więcej pieniędzy, więcej ludzi i korekty systemu nastawionego obecnie (ze względu na sposób rozliczania z NFZ) nie na utrzymywanie ludzi w zdrowiu, ale produkcję procedur.

Zwiększenie liczby miejsc na studiach to dobry kierunek, ale skutki zobaczylibyśmy dopiero za kilkanaście lat: tyle trwa kształcenie i specjalizowanie lekarza.

Co mogłoby skłonić rządy do zajęcia się na serio systemem ochrony zdrowia? – Może protesty społeczne – mówi Biardzki. – Kiedy zaczną znikać kolejne oddziały, a potem szpitale i przychodnie, w których nie będzie miał kto pracować.

©℗ MACIEJ MÜLLER

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Oławie, w Wydziale I Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 137/18 prowadzone jest postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Kazimierzu Kupeckim, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Oławie przy ul. Lwowskiej 6, zm. 28 marca 2011 r. w Oławie. W skład spadku wchodzi 1/2 udziału w nieruchomości zabudowanej położonej w Oławie przy ul. Dzierżonia 14 o pow. 0,0917 ha, dla której Sąd Rejonowy w Oławie prowadzi księgę wieczystą nr WR1O/00000997/9.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Oławie i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Oławie, w Wydziale I Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 460/17 prowadzone jest postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Walentym Lechowskim, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Oławie przy ul. 1 Maja 26a/16, zm. 29 kwietnia 2017 r. w Oławie. W skład spadku wchodzi m.in. wkład mieszkaniowy ze spółdzielczego lokatorskiego prawa do lokalu mieszkalnego przy ul. 1 Maja 26a/16.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Oławie i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

ANNA

Dziewit-Meller: *Boże, chroń królową*

Właściwie mogłabym powiedzieć, że był to idealny wyjazd. Żadnych dystrakcji, tylko ja, mój syn, Londyn, Harry Potter, grzanki z masłem i fasolka na śniadanie, kości dinozaurów i łyżwy na ślizgawce pod Muzeum Historii Naturalnej. Więc gdy w poranek tuż przed powrotem do Polski, idąc na spotkanie z przyjaciółmi natknęłam się pod hotelem na taśmę z napisem „*Police line. Do not cross*", za którą stał człowiek w ortalionowym kombinezonie i masce na twarzy – wypisz, wymaluj jak z jednego z licznych seriali kryminalnych, których oglądałam pewnie zbyt wiele – poczułam, jak nasza bajka rodem z ogrodów kensingtońskich, gdzie Piotruś Pan i Wendy miło spędzają czas, znika jak kamfora.

Wzięłam zdezorientowane dziecko za rękę i szerokim łukiem obchodząc miejsce zbrodni, starałam się zagadać go na tyle, by nie zwrócił uwagi na plamy krwi, tabliczki z numerami dowodów i tych dziwnych ludzi w dziwnych strojach, pochylonych nad pobliskim śmietnikiem.

Gdy wracałam po paru godzinach, strefa poszukiwań była cztery razy większa, ruch kołowy i pieszy został wstrzymany, do hotelu szłam opłotkami, ryzykując spóźnienie na samolot. Na recepcji rzekli, że – *oh, bloody hell!* – śmiertelnie raniono nożem jakiegoś 26-latka, ale mają nadzieję, iż mimo zbrodni dokonanej pod mym oknem będę dobrze wspominać okolice Shoreditch, i wręczyli voucher na 5 procent zniżki *next time. Well...*

To niewyjaśnione wciąż morderstwo, jak się dowiedziałam studiując angielskie gazety, wpisuje się w będącą prawdziwą plagą serię ataków za pomocą noża, której ofiarami padło w ostatnim roku wielu młodych Brytyjczyków. W tym dzieci, które czują się na tyle zagrożone, że postanawiają zawsze nosić przy sobie ostre narzędzie, tak na wszelki wypadek (dla porządku napiszę tym, co poszliby na jakieś rasowe skróty myślowe, że ledwie jedna trzecia ofiar była ciemnoskóra).

Radykalny wzrost przestępczości na Wyspach wynika przede wszystkim z cięć w sferze budżetowej, której ofiarą padły służby porządkowe, w tym policja i organizacje zajmujące się młodzieżą. Autor wnikliwego raportu „Guardiana" udał się do słynącego ze wzrostu przestępczości hrabstwa West Midlands w poszukiwaniu miejsc, gdzie młodzi ludzie mogliby spędzać wolny czas, którego mają rzecz jasna w nadmiarze. Zazwyczaj całował klamki zamkniętych lub zdewastowanych ośrodków, niegdyś służących integracji dzieciaków. A tam, gdzie coś się w końcu działo, nie zawsze byli w stanie dotrzeć wszyscy zainteresowani. Na bilet też skądś trzeba wziąć pieniądze.

W West Midlands w ubiegłym roku ponad 1600 osób zostało skazanych za przestępstwa z użyciem noża i innych przedmiotów stwarzających zagrożenie. Większość skazanych miała 15-19 lat. Liczba tragicznych wypadków z udziałem dzieci i młodzieży podwoiła się, zbiegając się w czasie z zamknięciem przez władze kolejnych miejsc, gdzie młodzież z problematycznych środowisk mogła próbować wyjścia na prostą. Nic dziwnego, skoro fundusze na te cele w latach 2014-17 obcięto o 86 procent. Ze 131 pracowników socjalnych pracujących z trudną młodzieżą ostało się tam ledwie ośmiu. W całej Wielkiej Brytanii od 2010 r. środki przeznaczane na młodzież zmniejszają się w postępie niemal geometrycznym – także te przeznaczone na edukację. Kuleją finanse w służbie zdrowia, obcinane są środki na pomoc psychologiczną i psychiatryczną dla najmłodszych.

I tu dochodzę do sedna – wiem oczywiście, że czynienie prymitywnych analogii nie przystoi felietonistom, ale jakoś nie mogę się powstrzymać. Telefon zaufania dla dzieci i młodzieży prowadzony przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę przez dekadę istnienia odebrał rozmowy od ponad miliona dzieci. Od 2016 r. nie może już liczyć na rządowe wsparcie, istnieje tylko dzięki darczyńcom prywatnym i z trudem wiąże koniec z końcem. A we wsi, w której mieszkam na Mazurach, jedynym miejscem spotkań młodzieży jest przystanek PKS, z rzadka zresztą przez ten PKS odwiedzany. Resztę dopowiedzcie sobie sami. Chyba że akurat musicie zmusić dziecko do wytrzymania trzecią godzinę nad zadaniami domowymi po tym, jak wróciło ze szkoły po ośmiu godzinach lekcji. Przecież jakoś się ten program z dwóch lat musi zmieścić w jednym. Przecież to tylko dzieci. Przecież Polska ma ważniejsze problemy. ©

REKLAMA

ZRÓB SOBIE PREZENT NA CAŁY ROK

Zamów prenumeratę „W drodze"

POŁÓŻ KSIĄŻKĘ POD CHOINKĄ

Polecany przez Adama Szustaka OP bestseller *Chcę widzieć Jezusa* Marii Szamot – w cenie 20 zł (zamiast 34,90 zł) przy zakupie lub odnowieniu prenumeraty miesięcznika „W drodze".

Zamówienia: www.wdrodze.pl, prenumerata@wdrodze.pl, tel. 61 850 47 52

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

REPORTAŻ

ARCHIWUM ADRIANY POROWSKIEJ

Adriana Porowska i Ewa Musiał na śniadaniu wielkanocnym w siedzibie Kamiliańskiej Misji Pomocy Społecznej, Warszawa, kwiecień 2018 r.

BYŁ SOBIE CZŁOWIEK

Gdyby nie kilka upartych osób gotowych ominąć kilka skostniałych procedur, Ewa Musiał umarłaby, oficjalnie nigdy nie istniejąc.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Oficjalnie nie zaistniała nawet jako nieboszczka. W jej pogrzebie udział wzięli: czterech bezdomnych mężczyzn z Warszawy, choć znali Ewę słabo; cztery kobiety z Kamiliańskiej Misji Pomocy Społecznej, choć mogły zostać z żywymi, i nikt by się nie dziwił; działaczka Fundacji im. ks. Jana Kaczkowskiego wraz z mężem, choć Ewy nigdy nie spotkali; urzędnik od Rzecznika Praw Obywatelskich, choć odwiedzanie grobów nie należy do jego obowiązków.

Ksiądz zacytował Ewangelię św. Jana („W domu Ojca mego jest mieszkań wiele"). Szefowa Misji zapytała, co Pan Bóg ma na myśli pozwalając, by jedni mieli na ziemi wszystko, a inni nic. Urzędnik z biura RPO powiedział, że życie zmarłej na ziemi było czyśćcem. A potem poprosił ją o wybaczenie.

Ewy Musiał na własny pogrzeb nie wpuszczono. Przez wzgląd na procedury.

Czyściec: faza pierwsza

Po dzieciństwie zostają zwykle ślady: rodzinne fotografie, szkolne świadectwa. A jeśli nie, to nietrudno znaleźć kogoś, kto cokolwiek zapamiętał. Tyle że rodzice Ewy Musiał dziś nie żyją. Żyją brat i siostra, ale nie życzą sobie kontaktów (ona na propozycję rozmowy odpowiada, że z Ewą wychowywały się osobno i że nie chce wracać do wspomnień; on nie odbiera telefonów).

Wszystko więc, co wiadomo, to strzępki informacji – wyciągniętych od niej samej w ostatnich latach lub przekazanych nieoficjalnie pracownicom Kamiliańskiej Misji Pomocy Społecznej przez urzędników. Wiadomo, że przyszła na świat w 1962 r. W domu były prawdopodobnie alkohol i przemoc. Musiało dziać się źle: 17-letnie dziewczyny nie znikają ze szczęśliwych rodzin. Zwłaszcza na 40 lat.

Zniknęła w październiku 1979 r.

Portret pamięciowy

– Drobna, może metr pięćdziesiąt, zwykle obcięta „na zero" – Adriana Porowska, szefowa Kamiliańskiej Misji Pomocy Społecznej, opowiada o Ewie z ostatnich lat jej życia; rozmawiamy w siedzibie organizacji na warszawskim Ursusie, w przeddzień pogrzebu. – Nosiła się trochę jak mężczyzna: ubrania do niej nie pasowały, były zwykle za duże. Żyła na ulicy, a gdy była już bardzo zaniedbana, szła do łaźni. Mogła sprawiać wrażenie „nadużywającej". Miała nieco bełkotliwy sposób mówienia. Miewała częste ataki padaczki, w efekcie których wielokrotnie upadała. Mam fotografię: ona, drobniutka, ma taki napad, że nie może sobie z nią poradzić trzech ratowników. Od tych upadków miała widoczne rany na

wygolonej głowie. To wszystko powodowało, że łatwo jej było przypiąć etykietę: „pijaczka".

– Była tajemnicza – kontynuuje Porowska. – Na pytania odpowiadała wymijająco. Najczęściej „zacinała się" pytana o rodzinę. I nie było wiadomo, czy te uniki robi celowo, czy nie do końca rozumie pytania. Było dla nas jasne, że miała jakiś rodzaj upośledzenia.

Małgorzata Zygnerska, pracownica socjalna Misji: – Przyciskana do muru, najeżała się albo strzelała „focha". Była jak wypłoszone zwierzątko. Ale nie zawsze wycofane, czasami zdolne ugryźć.

Marek Mentrak, od 25 lat albo na ulicy, albo w schronisku Misji (opowiada w samochodzie, w drodze powrotnej z pogrzebu): – Pamiętam ją śpiącą na naszych schroniskowych pufach, wsuwałem jej czasami pod poduszkę paczkę papierosów, bo paliła jednego za drugim, a nie zawsze było ją stać. Na tym papierosie czasami rozmawiała z ludźmi. Zwykle jednak była z boku, zagubiona.

Czyściec: faza druga

Nawet po bezdomnych zostają ślady. W kartotekach szpitali, raportach straży miejskiej, ewidencjach noclegowni. Po niej nic takiego pozostać nie mogło.

Podobno po przyjeździe do Warszawy podjęła pracę jako służba domowa. Podobno wkrótce została zwolniona. Podobno miała partnera, który umarł. Tak opowiadała pod koniec życia.

Marek Mentrak zapamiętał ją z okolic 2000 r.: – Żył ojciec Bogusław Paleczny, założyciel KMPS, a ja pracowałem w nieistniejącym już barze św. Marta, gdzie wydawano posiłki i napoje dla bezdomnych. Panią Ewę wyłowił wtedy z tłumu sam o. Paleczny. Zawsze tak robił z osobami, które na pierwszy rzut oka były słabsze, chore, niepełnosprawne. Była tam częstym gościem.

Obraz drugi: zima, prawdopodobnie rok 2014, przystanek w okolicach placu Narutowicza. – Spotkaliśmy ją tam, objeżdżając okoliczne ulice – opowiada Katarzyna Toeplitz, streetworkerka i psycholog KMPS. – Trudno się było z nią dogadać, ale dowiedzieliśmy się, że krąży wokół Ochoty, dworca Warszawa Zachodnia, i że śpi na jednym z tutejszych osiedli w altance śmietnikowej. Służby już wtedy ją kojarzyły, ale nikt nie zdołał jej przez lata pomóc. Może także dlatego, że zawsze podawała inne dane.

Portret alternatywny

Wymyśliła sobie równoległą tożsamość. Bo niemożliwe, by zdołała zrobić (jak opowiadała) kurs motorniczego tramwajów, a tym bardziej, by prowadziła tramwaj numer 9, nie mając dowodu i numeru PESEL. Nie miała też na imię Monika, a tak się przedstawiała, naprzemiennie z Ewą. – To było imię jej koleżanki. Podawała też czasem jej nazwisko jako swoje – słyszę w Misji. – Może dobrze kojarzyła Monikę? Może chciała, żeby jej życie potoczyło się tak, jak życie Moniki?

Wszyscy machali ręką

Czy to możliwe, że Ewa Musiał do 2017 r. istniała, oficjalnie nie istniejąc? Że przeżyła na ulicach Warszawy dwa systemy (dekadę PRL-u i niemal trzy III RP), zapewne dziesiątki interwencji policyjnych i lekarskich – bez dowodu osobistego, numeru PESEL, bez tożsamości?

Możliwe: takich jak ona może być więcej. Obowiązek nadawania PESEL-u istnieje od 1984 r., był wówczas związany był z meldunkami. Od roku 2001 numer przyznawały gminy: osobom zameldowanym lub ubiegającym się o wydanie dowodu osobistego. W latach 2004-15 nadawano też PESEL osobom podlegającym ubezpieczeniom, a więc pracującym, zaś numer ten z urzędu – przy narodzinach – przyznawany jest dopiero od 2015 r. Jeżeli więc osoba urodzona w 1962 r. „nie była zameldowana po 1 lipca 1984 r., od 2001 r. – pomimo obowiązku wymiany książeczkowych dowodów osobistych – nie ubiegała się o nowy dokument tożsamości, jak również nie podejmowała zatrudnienia od roku 2004, to możliwy jest scenariusz braku numeru PESEL" – wyjaśnia biuro prasowe MSWiA.

– W jakimś sensie pani Ewa oficjalnie istniała: przez te lata państwo płaciło choćby za jej badania – mówi Adriana Porowska. – Zapewne za każdym razem, gdy była zabierana z ulicy, choćby z powodu kolejnego ataku padaczki, robiono te same tomografy, rezonanse, prześwietlenia. Taka bezsensowna pomoc, która zawsze kosztuje więcej niż pomoc prawdziwa... Wielokrotnie próbowano ją pewnie wylegitymować, pytać o dane. Nie odpowiadała albo myliła tropy, wszyscy więc machali ręką.

Portret własny

Zima, początek 2017 r. Adriana Porowska przechodzi przez dworzec Warszawa Zachodnia. Prywatnie, ale nawet przy takich okazjach zwykła robić rekonesans. Rozpoznaje kilka osób, które przewinęły się wcześniej przez jej schronisko dla bezdomnych mężczyzn na Ursusie.

– Zapytałam, czy potrzebują pomocy, a dwie kobiety i jeden pan odpowiedzieli: „Chcemy do schroniska" – opowiada Porowska. – Nie mam miejsc dla kobiet, ale uznałam, że nie mogę tych pań zostawić, skoro sama zaproponowałam pomoc. Uruchomiłam pomieszczenie biurowe. Panie się umyły, wyspały, a rano nasze dziewczyny obdzwoniły placówki dla kobiet. Pani Ewa trafiła do jednej z nich.

Misja uruchamia też kontakty. Np. dzwoni do Andrzeja Stefańskiego z biura RPO, koordynatora ds. projektów społecznych, „specjalisty od spraw niemożliwych". – Ktoś taki był potrzebny, bo do tej pory wszyscy mówili: „nie da się" – opowiada Porowska. – Dało się.

Dzięki wizycie Stefańskiego w warszawskim szpitalu Sobieskiego Ewa Musiał przechodzi alkoholowy detoks. Lekarze robią jej też podstawowe badania. Wychodzi ze szpitala. Czas spędza to na ulicy, to w siedzibie Misji. W archiwum Adriany Porowskiej zachowały się zdjęcia: Ewa Musiał, o głowę niższa, stoi z ledwo widocznym uśmiechem, obejmowana za ramię przez szefową Misji. Ewa Musiał na fotelu, strzyżona. Ewa Musiał podczas Świąt – przed zastawionym stołem.

Pracownice KMPS pomagają jej załatwiać formalności, leczenie. Podpowiadają, jak o siebie zadbać. Robią paznokcie, czeszą. „Księżniczka" – będą mówić o Ewie Musiał, jedynej spoza personelu kobiecie w schronisku, mieszkających mężczyźni.

Ona sama nieraz jeszcze wróci na ulicę, ale przy okazji jednej z interwencji streetworkerów, odmówi pójścia do schroniska dla kobiet, twierdząc, że może jechać tylko na Ursus, bo „tam ma dobre koleżanki". – Ufała tylko nam – wspomina Porowska.

Na początku 2018 r. pracownice Misji zdają sobie sprawę, że Ewa Musiał przeżyła niemal 56 lat, oficjalnie nie istniejąc. Występują do urzędu miasta pochodzenia kobiety o wydanie aktu urodzenia (wówczas znają już – dzięki wielu rozmowom – jej prawdziwe dane). Składają wniosek do MSWiA o ustalenie obywatelstwa – to konieczne, by nadać komuś PESEL. Procedura potrwa trzy miesiące.

20 lipca 2018 r. Na profilu facebookowym Adriany Porowskiej pojawia się ↦

↦ pięciominutowy filmik: rozmowa szefowej Misji z Ewą Musiał, która dzisiaj – po raz pierwszy w życiu – dostała do ręki dowód osobisty.

Ale na filmie widać wyraźnie: kobieta nie do końca rozumie, co się stało. – Nie wiedziała, że brak tożsamości utrudnia jej życie, nie bardzo rozumiała, co to jest ubezpieczenie, i że istnieje coś takiego jak NFZ.

„Ma pani 56 lat. I pani nawet PESEL-u nie miała" – mówi na nagraniu Porowska.

„No, nie miałam, nic nie miałam. W ogóle nic" – odpowiada kobieta.

Dowód w ręku ma od tej pory pomóc jej w codzienności: znalezieniu DPS-u, załatwieniu ubezpieczenia, może dorywczego zajęcia.

Tyle że Ewa Musiał jako oficjalnie uznana obywatelka RP przeżyje tylko 70 dni.

Czyściec: faza ostatnia

Wkrótce przychodzą ze szpitala wyniki badań: kobieta cierpi na wadę wrodzoną mózgowia: „agenezję ciałka modzelowatego", dającą często objawy takie jak: zaburzenia w funkcjonowaniu społecznym, upośledzenie mowy, padaczkę i inne.

– To schorzenie wrodzone, więc pani Ewa przeżyła z nim niemal 56 lat! – mówi Adriana Porowska. – Tymczasem powinna była zostać zdiagnozowana jako dziecko, może dostać dożywotnią rentę.

Okazuje się też, że kobieta cierpi na zaawansowany, rozsiany nowotwór (m.in. 10-centymetrowy guz płuca). – W międzyczasie dostała kolejnego ataku padaczki, trafiła do szpitala. I już do nas nie wróciła – opowiada Porowska.

14 sierpnia kobieta trafia do otwockiego hospicjum przy Mazowieckim Centrum Leczenia Chorób Płuc i Gruźlicy.

Małgorzata Zygnerska: – Odwiedziłyśmy ją na miesiąc przed śmiercią. Sprawiała wrażenie, jakby nie było z nią kontaktu. Ale jak powiedziałam, że ma ładnie ułożone włosy, zobaczyłam, że delikatnie „przejeżdża" ręką po głowie... Zapytaliśmy, czy nas poznaje. „A co mam nie poznawać?" – odpowiedziała. Ale potem się odwróciła, a ja zobaczyłam, jak po policzku cieknie jej łza. Możemy się tylko domyślać, skąd jej reakcje: zaufała nam, byliśmy jedynymi bliskimi jej ludźmi, być może poczuła się porzucona? Nie rozumiała, że nie było innego wyjścia, że pokonała ją ciężka choroba.

Ewa Musiał umiera w sobotę, 29 września 2018 r.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Pogrzeb Ewy Musiał na cmentarzu w Otwocku, 15 listopada 2018 r.

„Pani Ewo, dziękujemy, że pani była z nami"
– powiedział przedstawiciel Rzecznika Praw Obywatelskich nad grobem. I poprosił o przebaczenie.

Jakoś się pochowa

Jak wyglądałyby jej ostatnie dni i pochówek, gdyby nie ustalenie danych? Może umarłaby na ulicy; może niedługo przed końcem zabrałoby ją – nieprzytomną – pogotowie; najpewniej zostałaby pochowana jako NN (nazwisko nieznane).

Takich grobów jest na polskich cmentarzach około 4 tysiące. Część z nich to bezdomni, których danych nie udało się ustalić. Leżą na obrzeżach cmentarzy, chowani po najniższych kosztach.

Organizacje pomocowe robią wiele, by podobnych przypadków było jak najmniej. – Nieraz zdarzało nam się pomagać policji w identyfikacji – mówi Adriana Porowska. – Decydują często szczegóły: element garderoby, karteczka z pieczątką w kurtce. Taka identyfikacja bywa trudna: pierwszą przeszłam, będąc w ciąży... Ale nikt tego za nas nie zrobi. Osoby bezdomne za życia dostają byle jaką pomoc, i po śmierci nic się nie zmienia: „jakoś się ich nazwie", „jakoś się pochowa"... Zazdroszczę Paryżowi. Tam działa organizacja, która zajmuje się wyłącznie przywracaniem pamięci zmarłym bezdomnym. Wieszają na ulicy fotografie, opisują szczegóły z życia, i często udaje im się ustalić dane.

Dane Ewy Musiał udaje się na szczęście ustalić za jej życia. Ale po śmierci pojawia się inny problem. Porowska: – Pracownica socjalna szpitala poinformowała nas o śmierci pani Ewy. Gdy zapytaliśmy, kiedy pogrzeb, bo chcielibyśmy współorganizować ceremonię, usłyszeliśmy: „Trochę to potrwa".

Z uwagi na RODO

14 listopada 2018 r. Spotykamy się w siedzibie Kamiliańskiej Misji Pomocy Społecznej. Dwa dni temu przyszła tu informacja o dacie pogrzebu. Dlaczego dopiero po 47 dniach od śmierci?

– Żyjemy w kulturze, w której godny pochówek jest standardem. Okazuje się, że nie dla wszystkich – mówi Adriana Porowska. Według polskiego prawa odpowiedzialność za sprawienie pochówku osoby samotnej spoczywa na gminie, gdzie doszło do zgonu. Pytam więc otwockich urzędników – pracownicę socjalną hospicjum i dyrektora ośrodka pomocy społecznej – dlaczego trwało to tak długo.

– Na mnie jako pracowniku socjalnym spoczywał obowiązek zgromadzenia dokumentów – słyszę od Małgorzaty Walasek. – Najpierw wysłałam do MSWiA pismo z prośbą o ustalenie danych adresowych członków rodziny, bo krewni mają prawo, by zorganizować pochówek. Odpowiedź przyszła już 1 października. Okazało się, że nie żyją rodzice zmarłej, ale są siostra i brat. Następny krok to przesłanie na podane adresy zawiadomienia o śmierci. Poczta Polska zrezygnowała z telegramów, więc wysłaliśmy dwa listy polecone. Te potrafią iść nawet tydzień...

– Nie lepiej było wysłać papiery faksem do tamtejszego OPS-u i telefonicznie poprosić pracownika socjalnego o dostarczenie rodzinie? – pytam.

– Może i lepiej, ale nigdy takiej praktyki nie stosowaliśmy... Teraz zresztą byłaby ona niemożliwa, z uwagi na obostrzenia związane z RODO – twierdzi urzędniczka. I dodaje, że kolejne opóźnienia spowodowała zwłoka w odpowiedzi rodzeństwa

Ewy Musiał: oboje odmówili zorganizowania pochówku, a jedno z nich – mimo ponagleń – dało odpowiedź dopiero z końcem października. Wtedy też, relacjonuje urzędniczka, komplet dokumentów trafił na biurko OPS. Dlaczego dopięcie pochówku zajęło urzędnikom kolejne 16 dni?

Janusz Stroiński, dyrektor OPS w Otwocku, potwierdza: dokumenty trafiły do ośrodka 31 października. Nazajutrz był jednak dzień wolny (1 listopada, czwartek), kolejne trzy w praktyce również. Kiedy jednak szczegółowo sprawdza dokumenty, okazuje się, że urzędnik OPS wysłał zgłoszenie pochówku Ewy Musiał do firmy pogrzebowej dopiero 8 listopada. – Nie wiem, dlaczego tak się stało, ale sprawdzę, skąd opóźnienie – zapewnia Stroiński.

– Tłumaczenie się RODO i brakiem telegramów jest dla mnie dziwne. Przed wejściem w życie tych zmian też zdarzały nam się pochówki bezdomnych, których organizacja przeciągała się nawet do kilku miesięcy! – odpowiada Adriana Porowska. – Sprawa jest dla mnie prosta: urzędnicy wiedzą, że taka osoba nie ma nikogo, kto się o nią upomni...

Dochodzenie w sprawie pochówku Ewy Musiał wszczęło z urzędu biuro Rzecznika Praw Obywatelskich. – Za wcześnie na szczegółowy komentarz, czy zawiedli ludzie, czy może mamy wadliwe prawo – mówi „Tygodnikowi" Lesław Nawacki, dyrektor Zespołu Prawa Pracy i Zabezpieczenia Społecznego.

Rodzina

Otwock, 15 listopada. W drewnianych ławach przykościelnej kapliczki kilkanaście osób. Są kwiaty, wieńce, śpiewa organista, są mowy pogrzebowe. „Nasza siostra Ewa" – powie kilkukrotnie podczas mszy ksiądz, zapowiadając wpisanie nazwiska Ewy Musiał do parafialnych wypominek.

Pracownice Misji dostarczyły w przeddzień do otwockiego zakładu pogrzebowego przesyłkę: podarowany przez jedną z sióstr zakonnych biało-czarny różaniec; czarną marynarkę, czerwoną sukienkę za kolana, brązowe buty...

Ale trumny z ciałem w kaplicy nie ma. Takie procedury (tym razem sanitarne: ciało – informuje przedstawiciel firmy pogrzebowej – zbyt długo leżało w kostnicy).

„Żegnamy panią Ewę Musiał. Ona miała imię i nazwisko. Ja ją zapamiętałam jako osobę, która uciekała przed ludźmi, ukrywała wzrok... Jak straż miejska przewoziła panią Ewę, to rozkładali worki w samochodzie... I dziś też nie może z nami być, choć bardzo się staraliśmy, żeby pięknie wyglądała (...) Znowu jest wykluczona, znowu przepisy nie pozwoliły, by była z nami" – mówi do zebranych Adriana Porowska.

A Kapsyda Kobro-Okołowicz z Fundacji im. ks. Jana Kaczkowskiego przytacza zdarzenie z 2014 r., gdy odwiedziła zaprzyjaźnionego duchownego w jego puckim hospicjum. Właśnie przyjęto terminalnie chorego pana Kazimierza: samotnego, skrajnie zaniedbanego, który nazajutrz umarł. Ks. Kaczkowski odprawia przy łóżku modlitwy, a potem niespodziewanie zwraca się bezpośrednio do zmarłego: „Cieszę się, że mogłem być przez chwilę pana rodziną. To dla mnie zaszczyt. Kochany, zostań z Bogiem". „Ewa Musiał – podsumowuje swoją mowę Kobro-Okołowicz – też znalazła pod sam koniec życia rodzinę".

Mowę wygłasza też Andrzej Stefański z biura RPO. „Pani Ewo, dziękuję, że pani była z nami" – mówi. I prosi ją o wybaczenie.

Nie ma bezdomnych z wyboru

– Za co? – pytam Stefańskiego po pogrzebie.

– Za to, żeśmy ją odrzucili – odpowiada.

– My?

– W jakimś sensie tak, bo przecież wszyscy takich jak ona odrzucamy na co dzień. Nie znajdujemy czasu, chęci, języka, sposobu, by skutecznie pomóc.

– Może to oni nie chcą pomocy? Może tak wybrali?

– Nie ma „bezdomnych z wyboru", to jedno z naszych usprawiedliwień. Zbliża się zima, widzę ludzi śpiących pod filarem Pałacu Kultury. Są tam z wyboru? Nie, po prostu nikt nie trafił do nich ze skuteczną pomocą. Pani Ewa takich zim przeżyła niemal 40. Gdyby nie pomoc Misji, umarłaby bez tożsamości! Jak można za coś takiego nie przeprosić?

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

REKLAMA

EAST NEWS

Joan de Joanes „Niepokalana", 1535–1540, Madryt, Hiszpania

„Ogłaszamy, orzekamy i określamy, że nauka, która utrzymuje, iż Najświętsza Maryja Panna od pierwszej chwili swego poczęcia – mocą szczególnej łaski i przywileju wszechmogącego Boga, mocą przewidzianych zasług Jezusa Chrystusa, Zbawiciela rodzaju ludzkiego – została zachowana jako nietknięta od wszelkiej zmazy grzechu pierworodnego, jest prawdą przez Boga objawioną, i dlatego wszyscy wierni powinni w nią wytrwale i bez wahania wierzyć".

Formuła dogmatu o niepokalanym poczęciu z konstytucji apostolskiej „Ineffabilis Deus" Piusa IX z 8 grudnia 1854 r.

WIARA

MARYJA JEST JEDNĄ Z NAS

ELŻBIETA ADAMIAK, TEOLOŻKA:

Dogmat o niepokalanym poczęciu pokazuje, że nie wystarczamy sami sobie, że potrzebujemy czegoś, co przeciwstawi się złu i cierpieniu, że potrzebujemy łaski.

ARTUR SPORNIAK: Niedawno Watykan pochwalił się, że po raz pierwszy w historii kobieta została obrońcą węzła małżeńskiego w Trybunale Roty Rzymskiej. Dlaczego dopiero teraz?

ELŻBIETA ADAMIAK: Do początków XX w. powszechnie, a w niektórych krajach do dziś, kobiety nie miały tych samych praw co mężczyźni, w tym praw do wykształcenia. Dotyczyło to także prawa kanonicznego. Tych formalnych przeszkód faktycznie brak dopiero w Kodeksie Prawa Kanonicznego z 1983 r., a więc od 35 lat! Dokonany na Soborze Watykańskim II przełom w myśleniu teologicznym został wówczas ujęty w przepisy prawne. Jednym z celów było uczynienie miejsca dla świeckich w strukturach instytucjonalnych Kościoła.

Myśląc biograficznie, warto jednak spojrzeć na początek drogi, która może doprowadzić do objęcia urzędu kościelnego. Nie spotkałam się z sytuacją, by kobiety były zachęcane do wejścia na nią. Nawet jeśli według tradycyjnego paradygmatu uznamy, że małżeństwo i rodzina to – poza dziewictwem i życiem zakonnym – podstawowe powołanie kobiety, jest to myślenie o rodzinie jako sferze prywatnej, a nie w kategoriach urzędowych, publicznych.

Franciszek reformuje Watykan i np. w sferze finansów ma już sukcesy. O potrzebie zwiększenia zatrudnienia kobiet w Kurii mówił często, ale na razie udało mu się tylko mianować dwie kobiety podsekretarzami stanu. W posoborowej historii pełniły już takie funkcje, zatem to żadna rewolucja. Skąd ociężałość?

Powiedziałbym tak: żeby uzyskać urząd w najwyższym sądzie kościelnym, trzeba najpierw uzyskać urząd w sądzie najniższego, czyli diecezjalnego szczebla. A ile pracuje kobiet w sądach diecezjalnych w Polsce? Przez moment oficjałem metropolitalnego sądu w Katowicach była siostra zakonna. I to chyba wszystko. Ale jeśli w większości diecezji nie ma ministrantek, to dlaczego mamy się dziwić, że nie ma kobiet na kościelnych urzędach? Jeżeli dużo mniej problematyczne i dużo bardziej oczywiste sprawy nie są realizowane, to mamy to, co mamy.

Możemy i powinniśmy pytać, kto i na jakich zasadach pracuje w sądach kościelnych i w kuriach, gdzie też przecież większość urzędów nie jest związana z sakramentem kapłaństwa. Po prostu wciąż są inne priorytety. Problemem jest, by w ogóle świeccy uzyskali wpływ na życie Kościoła, stali się sprawczy. Po Soborze podstawową zasadą życia powinna być współodpowiedzialność wszystkich ochrzczonych za Kościół.

Pracuje Pani na wydziale teologicznym niemieckiego uniwersytetu. Czy z perspektywy Niemiec wygląda to lepiej?

Tak, jeśli mówimy o aktywności kobiet czy, szerzej, świeckich w Kościele. Specyfika niemiecka polega też na codziennym współistnieniu z Kościołami ewangelickimi. Na tle innych Kościołów lokalnych tutejsze rozwiązania mogą wydawać się daleko idące, ale i tak pozostawiają wiele do życzenia, jeśli zestawimy to z wypracowanymi przez teolożki i teologów już wiele lat temu propozycjami.

Być może ten rozwój świadomości Kościoła zbiega się ze znanym mechanizmem, wedle którego kobietom daje się większe pole działania w sferach mniej znaczących.

Czy znaczenia Maryi dla Kościoła (jest jego teologicznym prototypem) i roli, jaką odgrywa w naszej pobożności, nie dałoby się wykorzystać do poprawy sytuacji kobiet w Kościele?

Oczywiście, choćby w trwającej dyskusji na temat dopuszczenia kobiet do diakonatu. Przykładem wesele w Kanie opisane w Ewangelii Jana. W opowieści o dokonanym przez Jezusa znaku przemiany wody w wino Jego Matka mówi sługom – czyli po grecku diakonom – co mają robić. Przedstawiona jest jako przewodząca innym, a zatem nie jako kobieta cicha ani taka, która konformistycznie poprzestaje na dopasowaniu się do układu społecznego. W świetle tekstów nowotestamentowych opisujących początki chrześcijaństwa to jedna z ważnych kobiet wewnątrz wspólnoty Kościoła.

Drugi wątek, nad którym warto się zastanowić, dotyczy pewnych postaci kultu maryjnego, w których Maryja traktowana jest nieświadomie niemal jak bogini. Fenomen ten opisuje to, co dzieje się na poziomie przeżyć, a co na poziomie intelektualnym jest krytykowane jako niepoprawne ↦

↦ teologicznie. Jeśli jednak spojrzeć na niego od innej strony, można w nim odczytać pragnienie, by nie kierować się do Boga tylko w męskich kategoriach, wzmacniających hierarchię społeczną opartą na płci. W Maryi, która często w życiu wiernych jest najważniejszą postacią kobiecą, ludzie widzą też pewne aspekty przynależne do Boga. Rozróżnienie aspektów przynależnych Maryi i przynależnych Bogu to zadanie teologii maryjnej.

Wypaczony kult maryjny ukazuje zapotrzebowanie teologiczne na bardziej kobiecego Boga?

Jeśli tej jednej postaci kobiecej przypisuje się wszystko, cokolwiek związane jest z kobiecością, to przypisuje się jej także te aspekty doświadczenia Boga, dla których obecnie brakuje języka. Za tym mimo wszystko stoi zmysł wiary, tylko wymagający oczyszczenia. Inaczej mówiąc: pewne aspekty czci maryjnej trzeba skierować do Boga. Wtedy Maryja zacznie być tym, kim być powinna, czyli jedną z nas, a zbyt „męskie" rozumienie Boga nie będzie dawało powodów do pomniejszania kobiet.

Biblia przypisuje Bogu cechy kobiece.

Tak, np. Boże miłosierdzie ma konotacje bliskie macierzyństwu i łonu matki. Zatem nawet w Biblii, zwłaszcza gdy sięgniemy do języków oryginalnych, tego rodzaju przekaz jest obecny. Pobożność maryjna może pośrednio pomóc wskazywać na treści, które są obecne w samych źródłach wiary, ale bywają zapomniane.

Można odnieść wrażenie, że samo Magisterium przyczyniało się do „ubóstwienia" Maryi, gdy ogłaszało jako dogmaty kolejne maryjne przywileje: Niepokalana – w 1854 r., Wniebowzięta – w 1950 r.

Te dogmaty wynikają z tzw. teologii maryjnych przywilejów. Miała ona silne zaplecze oddolne – papieże do niego się zresztą odwoływali. Do dziś w stronę Watykanu kierowane są naciski, by ogłaszać kolejne maryjne dogmaty, np. Współodkupicielki. Po Soborze jednak Kościół poszedł inną drogą, ukazując Maryję jako wzorzec osoby wierzącej.

Mimo to uroczystość Niepokalanego Poczęcia z 8 grudnia, obok Wniebowzięcia z 15 sierpnia, przeżywana jest jako jedno z najważniejszych świąt kościelnych. Niepokalana, czyli jaka?

Jaki jest wspólny mianownik w myśleniu o Maryi, o mnie i każdym człowieku? **Jestem w potrzebie** i na tę potrzebę Bóg jest w stanie odpowiedzieć.

Poczęta bez zmazy grzechu pierworodnego, zgodnie z dogmatyczną definicją ogłoszoną przez Piusa IX. Intencją dogmatu jest wyjęcie Maryi z powszechnego dziedzictwa tego grzechu. Ale cała logika tego myślenia opiera się na założeniach teologicznych, których celem jest zabezpieczenie bezgrzeszności Jezusa.

Jednym z tych założeń jest to, że grzech pierworodny dotyczy każdego człowieka. Narodzenie bowiem jest skutkiem aktu seksualnego, z którym związane jest pożądanie, czyli to właśnie, co jest owym negatywnym dziedzictwem. W taki sposób Augustyn zinterpretował upadek pierwszych ludzi.

Drugim założeniem było przyjęcie, że mężczyzna w akcie seksualnym jest jedynym aktywnym, i to właśnie przez niego grzech pierworodny jest dziedziczony. W związku z tym, jeżeli Jezus został poczęty dziewiczo i jego matka wolna jest od grzechu pierworodnego, to również On jest od niego wolny. A wolność Jezusa-Odkupiciela od grzechu jest warunkiem możliwości naszego zbawienia.

W teologii nauka o niepokalanym poczęciu Maryi w formie, która zostanie zdogmatyzowana, pojawia się stosunkowo późno: w XIII wieku. Propagował ją Jan Duns Szkot, który był trochę teologicznym autsajderem, gdyż nauka o niepokalanym poczęciu Maryi była dość powszechnie odrzucana. A w samym sformułowaniu dogmatu jest wspomniane, że ten przywilej dotyczy jedynie Maryi. Dogmat został sformułowany w kontekście wspomnianej mariologii przywilejów, w której chodziło o to, by znajdować jak najwięcej powodów do tego, aby Ją czcić.

Jeżeli rzeczywiście dogmat zależny byłby od założenia, iż pożądanie seksualne jest czymś złym, mielibyśmy z nim poważny kłopot, gdyż dzisiaj już tak na seks nie patrzymy.

W teologii próbowano zachować obydwa spojrzenia: na piękno stworzeń, w tym ludzi i ich miłości; oraz na negatywną i bolesną stronę ludzkich doświadczeń. Za prowadzące do grzechu uznano pożądanie, nie tylko to związane z życiem seksualnym. Chodzi o to, że Bóg nie zamierzył człowieka takim, jakim on jest – z jego skłonnością do czynienia zła i zadawania innym cierpienia. To, w jaki sposób doświadczamy siebie i innych ludzi, nie jest pierwotnym zamysłem Bożym. Stąd uznanie, że pierwszy człowiek – Adam – podjął w swojej wolności decyzję, która przyniosła konsekwencje dla wszystkich ludzi.

I właśnie Maryja została od tych konsekwencji uchroniona.

Nie od wszystkich – od skłonności do grzechu tak. Ale w klasycznej teologii grzechu pierworodnego mamy jeszcze cierpienie i śmierć. Od tych skutków nie została uwolniona. Chociaż byli tacy teologowie, którzy twierdzili, że nie cierpiała (Ewangelia Jana nie koncentruje się na cierpieniu Maryi – czytamy jedynie, że stała pod krzyżem) i że nie umarła. Ale zostawmy to. Powtarzam: całe to rozumowanie jest potrzebne, by zabezpieczyć bezgrzeszność Jezusa. W kategoriach teologii św. Pawła Jezus jest bez grzechu nie ot tak, tylko po to, by jako bezgrzeszny mógł dokonać naszego zbawienia. Gdyby On sam był grzeszny, nie mógłby nas zbawić.

Ostatecznie w dogmacie o niepokalanym poczęciu nie chodzi o jakąś martwą literę, tylko o uwiarygodnienie Jezusa. Ma taką moc, ponieważ jest tym, kim jest.

W sformułowaniu dogmatu mamy sprzężenie zwrotne: ponieważ Maryja – jak każdy człowiek – podlegała konieczności odkupienia, którego dokonał dopiero jej Syn swoją śmiercią na krzyżu i zmartwychwstaniem, została odkupiona uprzedzająco „mocą przewidzianych zasług Jezusa".

To też jest skądinąd ważne, bo pokazuje, że ona jest taka jak my, a to, co jej się przypisuje, nie jest z jej własnej mocy.

Nie jest boginią.

Właśnie! Przynajmniej w literze dogmatu, bo w praktyce pobożnościowej – jak już mówiliśmy – może być inaczej. Zatem dogmat możemy umieścić w logice

wskazującej, że najważniejszy jest Jezus. Maryja została zachowana od grzechu nie tylko po to, by Jezus był bez grzechu, ale także dzięki temu, że był bez grzechu.

Czy to w czymś pomaga w mojej wierze, oprócz wrażenia teologicznej spójności?

Jeśli odczytywać treść tego dogmatu w świetle zasady „Maryja jest jedną z nas", znaczy on, że nie wystarczamy sami sobie: że potrzebujemy czegoś, co przeciwstawi się złu i cierpieniu, potrzebujemy łaski. Bóg nie zostawia człowieka samego, niezależnie co człowiek uczynił. To właśnie mówi ten dogmat. Maryja otrzymała szczególny dar, by być matką Jezusa. To nie była jej zasługa, tylko łaska.

W odniesieniu do własnego życia możemy również powiedzieć, że jest szczególne... Dlaczego? Odkrywanie tego – we wspólnocie – możliwe jest w wierze w łaskawe zwrócenie się ku mnie – ku nam – Boga. W ten sposób próbowałabym szukać wspólnego mianownika w myśleniu o Maryi, o mnie i każdym innym człowieku. Jestem w potrzebie i na tę potrzebę Bóg jest w stanie odpowiedzieć.

W polskiej teologii nieżyjący już o. Jacek Bolewski czy później Józef Majewski rozwijali ideę, iż niepokalane poczęcie mówi, że łaska jest większa niż grzech i że łaska jest u początku ludzkiego istnienia. To, od czego się człowiek zaczyna, to nie grzech, również nie grzech pierworodny. U początku istnienia człowieka jest łaska Boża.

A jak przekonać np. protestantów do tego dogmatu?

Został sformułowany w epoce teologii kontrreformacyjnej, w której Kościół katolicki (jak i ewangelickie) tak interpretował przekaz wiary, by akcentować swoją tożsamość. Nacisk na cześć oddawaną Maryi do takich akcentów katolickich właśnie należał.

Podstawową trudnością jest wyeksponowanie Maryi w gronie zbawionych. Ale z tym zmaga się również dzisiejsza teologia katolicka. Z drugiej strony teologia grzechu pierworodnego i teologia łaski odgrywają dużą rolę w myśli Lutra czy innych teologów ewangelickich. Inną poważną trudność stanowi zdefiniowanie tej nauki autorytetem papieża – zauważmy: jeszcze przed Soborem Watykańskim I z jego dogmatem o nieomylności biskupa Rzymu. Ale i nad tym należy pracować ekumenicznie.

Niepokalane poczęcie nie jest najważniejszym dogmatem maryjnym.

Tak. Soborowy dekret o ekumenizmie odwołuje się do kategorii hierarchii prawd. Jeśli powiedzieliśmy, że w tym dogmacie chodzi o Jezusa, to już jakby z góry zakładamy, iż Maryja jest jego matką. W tym sensie jej macierzyństwo jest ważniejsze. Jak to zostało zdefiniowane na Soborze w Efezie w 431 r., Maryja jest Bogurodzicą.

Pisze Pani w „Traktacie o Maryi" w ramach „Dogmatyki" wydanej przez „Więź", że ten „tytuł stoi na straży prawdziwego człowieczeństwa i Bóstwa Chrystusa". Nadal brniemy w tajemnicę: czy Bóg posiada matkę?

Tutaj dochodzimy do granicy między tym, co jeszcze możemy powiedzieć, a tym, czego już nie jesteśmy w stanie wyrazić. Najważniejszy maryjny tytuł: Theotokos, czyli Boża Rodzicielka, wywodzi się ze sporów o Chrystusa. Co jest wystarczające, żeby wyjaśnić naukę o Jezusie jako człowieku i Bogu? Maryja rodzi kogoś, o kim wiemy, że był człowiekiem, ale w którego wierzymy, że był też Bogiem. W człowieczeństwo Jezusa nie musimy wątpić. Natomiast jest potrzeba wyrażenia wiary w Jego Bóstwo. Jednym ze sposobów wyrażania tej wiary jest właśnie tytuł Boża Rodzicielka.

Ciekawe, że uroczystość Świętej Bożej Rodzicielki Maryi, obchodzona przez Kościół 1 stycznia, nie porusza nas tak, jak Niepokalane Poczęcie czy Wniebowzięcie...

Po części dlatego, że tę uroczystość obchodzimy jednak w cieniu Bożego Narodzenia. To oczywiście jest teologicznie uzasadnione, choć psychologicznie nie sprzyja bardziej świadomemu świętowaniu. Poza tym w tym dniu przeżywamy nadejście Nowego Roku i bardziej głowę mamy zajętą myślami o nowym początku.

Może Kościół znów powinien pomyśleć nad reformą kalendarza liturgicznego?

Wydaje mi się to mało prawdopodobne, choć oczywiście słuszne.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

ELŻBIETA ADAMIAK *jest profesorem teologii fundamentalnej i dogmatycznej w Instytucie Teologii Katolickiej na Uniwersytecie Koblenz-Landau. Autorka m.in. książki „Milcząca obecność. O roli kobiety w Kościele".*

POŻEGNANIE

ś.† p.

Jan Gordziałkowski

filolog klasyczny i historyk
nasz drogi Kolega i Przyjaciel
urodzony 30 czerwca 1946 r. w Białogardzie
zmarł 21 listopada 2018 r. w Krakowie

Erudyta, pasjonat antyku i historii Kościoła,
zawsze bardzo emocjonalnie dzielący się swoją wiedzą,
był też głęboko zaangażowanym członkiem Duszpasterstwa Akademickiego
prowadzonego przez ks. Adama Bonieckiego,
a ostatnio aktywnie działał w Krakowskim Klubie „Tygodnika Powszechnego".
Był dobrym Człowiekiem, otwartym na świat i ludzi, kochającym, serdecznym,
ciepłym i wiernym. Nasza bardzo żywa więź przetrwała już ponad 50 lat.
Jego odejście napełniło nas głębokim bólem i smutkiem.

Jasiu, żyj w Radości Wiecznej, a my nieśpiesznie do Ciebie dołączymy.

Absolwenci DA św. Anny
Członkowie Krakowskiego Klubu „TP"

Brat Lew i beatowcy

KAROL KLECZKA

„Różnimy się w wielu sprawach, ale mu nie przeszkadzam, bo wiem, że wszystko robi z dobrego serca i z głębokiej wiary" – mówił prymas Wyszyński o ks. Leonie Kantorskim.

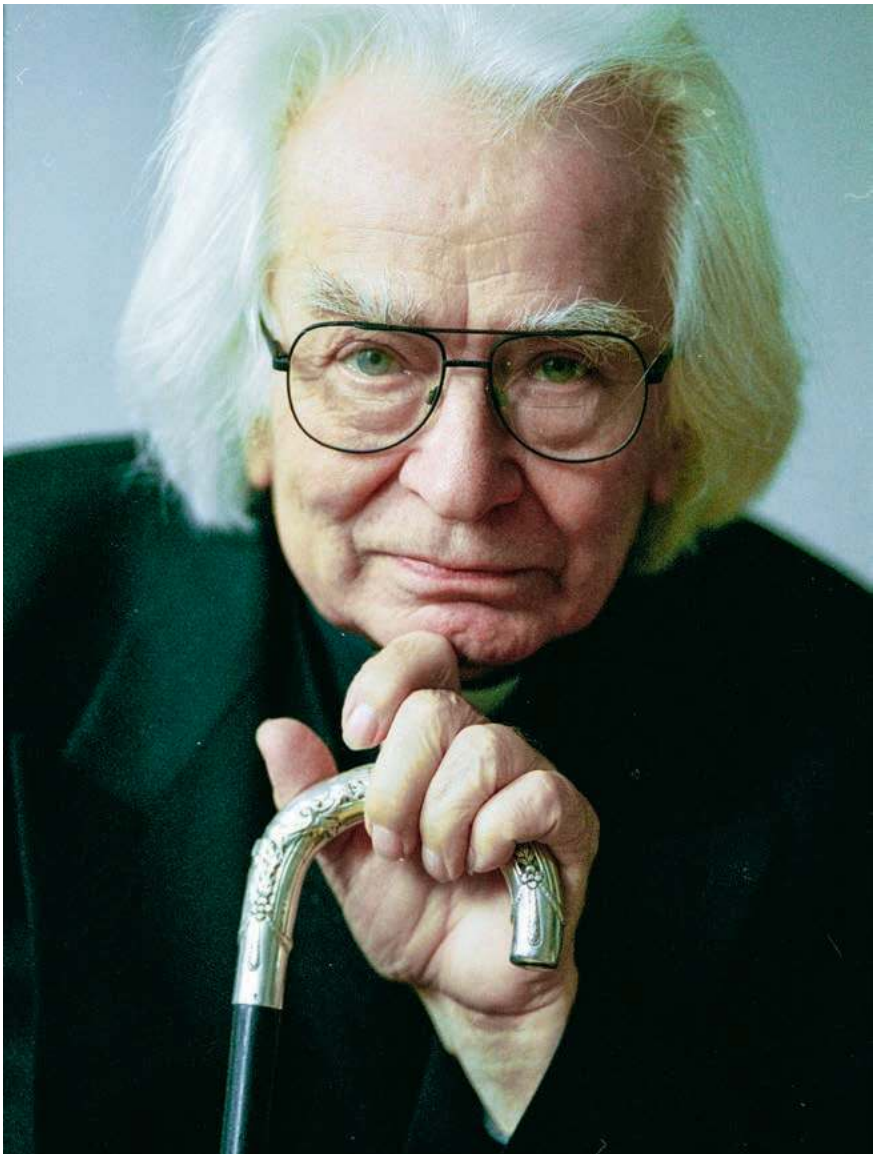

PIOTR WÓJCIK / AGENCJA GAZETA

Ks. Leon Kantorski, Podkowa Leśna, 1997 r.

Zebrani słyszą ten najbardziej znany fragment Ewangelii Łukasza, który w każdym domu rozbrzmiewa przed Wigilią. Maryja zaraz zrodzi Syna w ubogim żłobie, bo nie było dla nich miejsca w gospodzie. Lecz tym razem Narodzenia Pana nie wyśpiewa chór aniołów, a dynamiczne wejście gitary. Jest 14 stycznia 1968 r., a w kościele św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej rozpoczyna się pierwsza msza beatowa.

Nie byłoby jej bez ks. Leona Kantorskiego. Gdy pierwszy raz o nim usłyszałem, przedstawiono mi go jednym określeniem: „przedstawiciel Kościoła otwartego". Z jednej strony trochę mało jak na prężnego duszpasterza i pedagoga, aktywistę i działacza politycznego, proboszcza z zacięciem do liturgicznych reform, a raczej – nazwijmy to po imieniu – rewolucji. Z drugiej, to mówi wszystko. Bo jeśli kimś ks. Kantorski z pewnością był, to otwartym człowiekiem.

Kościół otwarty

Słyszysz „Kościół otwarty", a przed oczyma jak na zawołanie stają równo ułożone roczniki „Znaku", „Tygodnika Powszechnego" i „Więzi", czy dużego kalibru debaty inteligencji toczone w krakowskich i warszawskich salonach. Kantorskiego „mniej interesowały kwestie filozoficzne czy metafizyczne, a bardziej ludzkie" – powie o nim Henryk Wujec.

Urodził się 31 marca 1918 r. w Domaradzicach w Wielkopolsce. Święcenia kapłańskie przyjął w Paryżu dwa lata po wojnie z rąk kard. Emmanuela Suharda.

„Kiedy pierwszy raz przybył do Podkowy, przechadzając się wokół kościoła, podszedł do baraku, w którym mieściła się stara plebania, i tam usłyszał próbę chóru. »Jest wspólnota« – ucieszył się" – wspomina Władysław Gołąb. Nowy proboszcz nie zatrzymał się na zadowoleniu z zastanego stanu parafii. Jak grzyby po deszczu zaczęły pojawiać się kolejne wspólnoty. Koniec lat 60. to Agapa, będąca zaczątkiem działalności domowego kościoła, w którym zaprzyjaźnione małżeństwa dzieliły się wzajemnie Słowem Bożym, modlitwą i wolnym czasem.

Lata 70. i 80. należą do Świetlików, czyli ruchu duszpasterstwa i formacji młodzieży, który animował ks. Kantorski w Podkowie Leśnej. To była nie tylko zabawa, ale solidna praca duchowa i etyczna.

„Ksiądz mówił dobitnie i wpajał nam wartości, czasem w sposób bezwzględny. Niektórych kwestii nie można z nim było przedyskutować" – wspomni Anna Estreicher. Czy był surowym duszpasterzem? „Brat Leon niczego nie narzucał" – doda Bogdan Wróblewski, ale jeśli pogardzało się drugim człowiekiem, to potrafił nawet wyrzucić z obozu. Chodziło o przyjaźń i wzajemny szacunek. Tego ks. Kantorski chciał nauczyć młodych.

Każdy jest ważny

Każdy, kto pochodzi z małej miejscowości, wie, że zmiana proboszcza na parafii to trudny okres – nowy ksiądz zwykle spotyka się z nieufnością.

„Ksiądz Leon sprawił, że ludzie zaczęli rozmawiać, zaprzyjaźniać się z sobą i z Kościołem. Chodził po kolędzie do każdego. Jeżeli ktoś mówił, że jest niewierzący, odpowiadał: »Dobrze, ale jest pan obywatelem Podkowy. Możemy przecież poroz-

mawiać o sprawach podkowiańskich«" – przypomina Władysław Gołąb.

Kantorski chciał poznać tych, którzy go otaczają i do których został posłany. Właśnie dlatego w Świetlikach lądowały zarówno dzieci z rodzin bardzo wierzących, jak i dalekich od Kościoła. Wiara nie miała znaczenia, bo istotna była bliskość między młodymi.

W Rzymie najtęższe głowy teologii debatowały nad kształtem Kościoła na nowy wiek. Kościoła, który ma być przystanią, miejscem, w którym wszyscy mogą się odnaleźć. Który wreszcie będzie otwarty na przedstawicieli innych religii czy obrządków. W Podkowie brat Lew niemal w tym samym czasie już to robił. Marta Werner była protestantką, ale ks. Kantorskiemu jej wyznanie nie przeszkadzało. Poznała go po przeprowadzce do Podkowy w 1967 r. Mąż Marty, Stanisław, oraz ich dzieci od razu zaangażowali się w życie parafii, ale ona stała trochę na uboczu. „Ksiądz powiedział kiedyś, że chciałby poznać jeszcze mnie. Przyszłam więc się przywitać, a on spytał: »A więc to jest mama od tego towarzystwa?«. Ja odparłam, że tak, ale jestem ewangeliczką, a on na to: »Co to zmienia? Możesz tutaj być«. I tak właśnie się poczułam – mile widziana".

Podkowa była miejscem, w którym dialog ekumeniczny i wewnątrzkościelny działał w praktyce, jakby sam z siebie. Nie potrzebował odgórnego przykazu. Ks. Leon zapraszał do kościoła wszystkich. Przyjeżdżali i głosili tam pastorzy, w 1984 r. odbyła się słynna msza pojednania polsko-ukraińskiego z grekokatolikami, a w codzienne życie parafii byli wprowadzani adwentyści czy ewangelicy.

„Służył radą Żydom i protestantom, pomagał biednym i nieszczęśliwym, bronił prawdy i uczciwości, chrzcił dzieci zrodzone z uczucia; ich rodziców (...) nie pytał nigdy o świadectwa komunii świętej i bierzmowania" – mówi Ryszard Bugaj, polityk lewicy i podkowianin. Sam będąc człowiekiem świadomie lokującym się poza Kościołem, miewał trudne doświadczenia z jego instytucjonalnym wymiarem, ale z Kantorskim było inaczej. Kiedy pasierbica Bugaja, Joasia, chciała przystąpić do pierwszej komunii, proboszcz bez wahania ją ochrzcił. Wiedział, na czym polega sytuacja, i choć potrafił strofować, to tylko wtedy, gdy było to naprawdę uzasadnione.

Działanie poza powszechnymi regułami to zresztą główna cecha ks. Leona obdarzonego wyjątkowo konfrontacyjnym charakterem. Podczas wielu homilii publicznie prosił, by obecni w kościele agenci wyłączali urządzenia rejestrujące. Wspierał działaczy Solidarności, a po aresztowaniu Mirosława Chojeckiego w Podkowie zorganizował głodówkę w intencji wyzwolenia więźniów politycznych. Roztoczył nad głodującymi ogromną opiekę – zarówno fizyczną, jak i duchową. „Ja Leona szanuję. Wiem, że się różnimy w wielu sprawach, ale mu nie przeszkadzam, bo wiem, że on wszystko to robi z dobrego serca i z głębokiej wiary" – mówił prymas Wyszyński.

Przez uszy do serca

Myślę, że się nie pomylę, gdy stwierdzę, że w połowie kościołów w Polsce melodia do „Baranku Boży" jest taka sama. Nie żartuję, to jedna z tych najbardziej powszechnych i powtarzalnych. Nie byłoby jej, gdyby pewnego dnia ks. Leon nie zapukał do drzwi kompozytorki Katarzyny Gärtner z prośbą „Kasiu, napisz mi mszę". Niemal na pewno nie wiedział, że w październiku 1967 r. w niewielkim nowojorskim Public Theater miała miejsce premiera pierwszego musicalu rockowego. Wtedy zaczęła się epoka „Hair!". Już kilka miesięcy później w niewielkim kościele w Podkowie Leśnej wybrzmiewa msza beatowa „Pan przyjacielem moim", która na zawsze wpisze się w kanon światowej muzyki rozrywkowej i sakralnej obok „Mass in F Minor" The Electric Prunes oraz musicalu „Joseph and the Amazing Technicolor Dreamcoat". Te trzy dzieła są właściwie rówieśnikami, choć historia stojąca za „Pan przyjacielem moim" jest dłuższa.

Zaczęło się niewinnie. Mieszkańcy Podkowy wspominają, że do kościoła przyszedł chłopak z gitarą, który po uzyskaniu zgody księdza zaczął akompaniować nabożeństwom majowym. Zamiłowanie brata Leona do wspólnot łatwo zaowocowało powstaniem... zespołu o wdzięcznej nazwie Trapiści, który na gitarach elektrycznych podpiętych do jednego wzmacniacza wypełniał kościół niespotykanymi w tej przestrzeni dźwiękami. Reforma liturgiczna tak naprawdę jeszcze się nie zaczęła, a i dziś z obecnością gitar mówiąc skrótowo różnie bywa, lecz Podkowa stanowiła absolutnie pionierski punkt. Wielu zastanawiało się, jak na takie rewelacje zareaguje konserwatywny prymas Wyszyński, jednak ten, choć na początku nieprzekonany, po odwiedzinach Trapistów i proboszcza z Podkowy, stwierdził ponoć: „Ja tego nie rozumiem, ale grajcie".

Zespołowi zamarzyło się coś więcej. Ks. Kantorski nie miał pojęcia o muzyce, ale miał w parafii ogromnie cenioną wtedy kompozytorkę, która chętnie odpowiedziała na jego prośbę. Proboszcz wraz z Kazimierzem Grześkowiakiem ułożyli tekst psalmów tak, aby były zdatne do śpiewania w zaaranżowanej wersji, ale większość części stałych pozostała bez zmian. Dla łatwiejszego śpiewu skorzystano z kilku kolęd i pastorałek, wykonywanych zwyczajowo w tym czasie. Do projektu ściągnięto także Czerwono-Czarnych – ten zespół poprowadził wykonanie.

Całość musiała wywołać piorunujące wrażenie. Dość powiedzieć, że wiadomości o mszy beatowej dotarły do BBC i Radia Wolna Europa. Do Podkowy zjeżdżali wierni z całej Polski, a nawet przedstawiciele zagranicznych ambasad. „Z dumą obwieszczaliśmy światu, że jesteśmy z Podkowy, tej Podkowy, w której odbywają się słynne msze beatowe. Znajdowaliśmy się w samej szpicy nowoczesności i czuliśmy się ważniejsi od innych, to dawał nam ksiądz Kantorski" – powie opozycjonista Zbigniew Bujak.

Pan Jezus wybrzmiewał w głośnikach w całym kraju, bo nagrana płyta rozeszła się w nakładzie ćwierć miliona egzemplarzy. Słucha się jej świetnie do dziś. W 2018 r., w 50 lat od premiery, wznowiła ją znakomita wytwórnia GAD Records. Choć za przebój na proboszcza Kantorskiego czekały szykany i zarzuty o świętokradcze praktyki, on sam się nimi nie przejmował. Wierzył w to, co robi, bo kościół zapełniali ludzie, którzy dawno w nim nie byli i omijali go szerokim łukiem. Pojawiali się „młodzi w skórach", całe rzesze ludzi, dla których kościół był obcym miejscem. Ks. Leon znalazł sposób, żeby także do nich dotrzeć.

W uderzającej liczbie wspomnień o ks. Leonie powraca ten sam wątek – starał się w każdym bliźnim zobaczyć człowieka. Taki zwykły proboszcz. Po prostu brat. Zmarł 26 lipca 2010 r. ©

W tekście korzystałem ze zbioru wspomnień zebranych oraz wydanych przez Izabelę Górnicką-Zdziech i Grzegorza Dąbrowskiego „Brat Lew. Ksiądz Leon Kantorski we wspomnieniach".

GAMMA-RAPHO / GETTY IMAGES

Grupa trapistów z klasztoru w Tibhirine w maju 1989 r. Siedmiu z nich zostanie zamordowanych w 1996 r.

Zniknęli we mgle

STANISŁAW ZASADA

Świadom, że może paść ofiarą terrorystów, Christian de Chergé, przeor w Tibhirine, zaczyna pisać testament. Do mordercy zwraca się: „Przyjacielu mojej ostatniej minuty".

PORWALI MNICHÓW! – SŁYSZY MICHAŁ Zioło. Jedyny polski trapista przyjechał do Wrocławia po wizę – ma wyruszyć do Tibhirine. Zioło nie powie, że rozminął się ze śmiercią: – Nigdy tak nie myślałem.

GŁOWY. 30 maja 1996 r. Odcięta głowa Christiana de Chergé leży w worku niedaleko miasta Medea na północy Algierii. Razem z głowami sześciu współbraci.

Kościół w sobotę 8 grudnia ogłosi siedmiu mnichów błogosławionymi. Razem z dwunastoma zakonnicami i zakonnikami. Wszyscy to ofiary islamistów z czasów wojny domowej w latach 90. XX w.

Choć nie ma pewności, czy trapistów zamordowali „bracia z gór". Mnisi nazywali tak islamskich bojowników.

1992–2000. Czołgi na ulicach Algieru, jak dekadę wcześniej w Polsce. Władzę przejęła junta. Algierski 13 grudnia wydarzył się na początku 1992 r. To odpowiedź na zwycięstwo islamistów w wyborach. Od początków niepodległości Algierią rządziła jedna partia, panował socjalizm. Po rozpadzie bloku komunistycznego kraj szuka demokracji. Ale sytuacja wymyka się spod kontroli: gdy Islamski Front Ocalenia chce islamizować kraj, władzę przejmują generałowie.

Islamiści schodzą do podziemia, sięgają po terror. Islamska Grupa Zbrojna morduje ludzi związanych z reżimem, dziennikarzy, intelektualistów. A także prostą ludność: we wsiach Rais i Betalha nawet kobiety w ciąży. Podkładają bomby w paryskim metrze – to zemsta za wsparcie Francji dla wojskowych. Polują na cudzoziemców. Chcą ich wymienić na więzionych współtowarzyszy. Albo mordują – zabójstwa Europejczyków mocniej wstrząsają światem.

Reżimowa armia też jest brutalna. Żołnierze strzelają do każdego, na kogo padnie cień podejrzenia. Islamscy partyzanci panują w górach. Wojsko – w dolinach. Wojna domowa potrwa osiem lat. Pochłonie 200 tysięcy ofiar.

KRONIKA. Christophe Lebreton, mistrz nowicjatu w Tibhirine, spisuje w klasztornej celi kronikę terroru.

20 października 1993. „Mam 43 lata. Ile jeszcze przetrwam tutaj? Wczoraj zasztyletowano dziennikarza. Miał 31 lat".

19 sierpnia 1994. „Wczoraj rano w Medei 12 ciał porzuconych na ulicy, wystawionych na ludzkie spojrzenia: zmasakrowanych, okaleczonych. To odpowiedź sił porządku udzielona tamtym po zamachu na oficera policji, któremu poderżnięto gardło w sklepiku w pobliżu rynku".

30 stycznia 1995. „W Algierze samochód wpada w zasadzkę: 20 zabitych. Naród ukrzyżowany".

4 września 1995. „W nocy przed rozpoczęciem oficjum Christian obwieszcza nam, że dwie z naszych sióstr zostały zamordowane tej niedzieli w Belcourt, gdy wychodziły z kościoła po mszy".

4 grudnia 1995. „Rano dowiadujemy się od sąsiadów, że na brzegu szosy w Ain-el-Ares leżą dwa trupy. Są to dwie kobiety: być może matka i córka".

Brzmi jak kronika zapowiedzianej śmierci.

TESTAMENT. 1 grudnia 1993: Christian de Chergé spisuje testament.

„Gdyby pewnego dnia zdarzyło się – a mogłoby to być już dzisiaj – że padnę

ofiarą terroryzmu, który zdaje się obecnie zagrażać wszystkim cudzoziemcom mieszkającym w Algierii, pragnąłbym, aby moja wspólnota, mój Kościół, moja rodzina pamiętali, że moje życie było oddane Bogu i temu krajowi".

BÓG. „Co oni robią?" – pyta matki. Ma pięć lat, przyjechał do Algierii – jego ojciec, generał Guy de Chargé, walczy w Północnej Afryce. Mały Christian widzi mężczyzn bijących czołem o ziemię, skandują: „*Allah akbar!*". „Modlą się do Boga" – tłumaczy mu matka.

40 lat później o. Christian-Marie pisze do przyjaciela: „Od zawsze wiedziałem więc, że Bóg islamu i Bóg Jezusa Chrystusa nie są dwoma różnymi Bogami".

1954–1962. Algieria chce się wybić na niepodległość. Arabscy nacjonaliści dokonują zamachów na francuskie koszary, komisariaty, urzędy. Zabijają Algierczyków kolaborujących z kolonialną władzą. Ale Francja nie traktuje Algierii jak kolonii – tylko jako przedłużenie swojego terytorium. Co dziesiąty mieszkaniec Algierii to Francuz. Żeby zdławić powstanie, Paryż wysyła karne ekspedycje. Są masowe aresztowania, tortury, zbrodnie.

Na nic. 5 lipca 1962 r. Algieria ogłasza niepodległość. Oficjalnym językiem staje się arabski, religią – islam.

PRZYJACIEL. Zdał maturę. Śpiewa psalmy w seminaryjnej kaplicy. Chce być księdzem.

Nie tak szybko. Kleryk Christian musi zamienić sutannę na wojskowy mundur. Jako podporucznik armii francuskiej zaczyna służbę w ogarniętej wojną Algierii. Mohamed to wiejski komendant posterunku policji, ma rodzinę, gorliwy muzułmanin. Francuz i Algierczyk przyjaźnią się. Nacjonaliści chcą zabić francuskiego podporucznika. Mohamed go ostrzega. Poderżną mu gardło.

Christian po latach: „We krwi przyjaciela znalazłem zrozumienie, że moje wezwanie do pójścia za Chrystusem prędzej czy później musi być przeżywane w tym samym kraju, w którym niegdyś został mi dany dowód największej miłości".

Do Algierii wróci za kilkanaście lat. W habicie.

MNICH. Na razie leży krzyżem na posadzce kościoła Saint-Sulpice w Szóstej Dzielnicy Paryża. Za chwilę zostanie księdzem. W Watykanie trwa Sobór. Kardynałowie i biskupi stwierdzą, że „Kościół spogląda z szacunkiem również na muzułmanów". To przełom.

Christian jest kapelanem w bazylice Sacré-Coeur na Montmartrze. Wróżą mu kościelną karierę. Wybiera surowe życie trapisty. Dostaje biały habit z czarnym szkaplerzem, wstaje o trzeciej nad ranem, modli się siedem razy dziennie, nie je mięsa, zachowuje milczenie. Przyjmuje imię Christian-Marie.

Nie jest łatwy. Jako dziecko, gdy nie mógł czegoś dostać, wpadał w złość. Teraz narzuca swoją wolę. Tak jest, gdy mnisi w Tibhirine zastanawiają się pierwszy raz: zostać czy wyjechać. Decyduje za wszystkich: zostać.

Michał Zioło: – Absolutysta. Ale potem pytał każdego o zdanie.

OGRÓD. W języku berberyjskim Tibhirine znaczy „ogród". Kilka kilometrów od miasta Medea, dwie godziny samochodem od Algieru. Góry. A w nich Berberowie: pracowici, ale biedni.

Trapiści przybywają tu w 1938 r. z Prowansji. Mają prawie 400 hektarów ziemi. Po zaprowadzeniu socjalizmu i reformie rolnej zostawiono im 12 hektarów. Z muzułmańskimi sąsiadami uprawiają ziemię, dzielą się dochodami. Brat Luc leczy za darmo.

„Modlący się wśród innych modlących się" – mówią o życiu pośród wyznawców islamu. Klasztorną salę oddają im na meczet, póki muzułmanie nie wybudują nowego.

Christian de Chergé przyjeżdża tu w 1974 r. W celi wiesza portret policjanta Mohameda. A może to tylko legenda: po śmierci mnichów w celi Christiana nie znaleziono żadnego portretu.

ISLAMOFIL. Nauczył się arabskiego. Pości w czasie ramadanu, przed wejściem do kaplicy ściąga sandały.

„Naiwny islamofil" – szydzą niektórzy. Działa w międzyreligijnej grupie Ribat al-Salam (Więź Pokoju): chrześcijanie i muzułmanie dwa razy do roku razem się modlą, rozmawiają. Gdy wiele lat później islamscy fanatycy mordują chrześcijan, pisze: „Jest ogromnym uproszczeniem patrzeć na islam przez pryzmat fundamentalistycznej ideologii ekstremistów".

WIGILIA. 24 grudnia 1993. „Nie masz wyboru" – brodaty mężczyzna przyłożył mu do brzucha kałasznikowa. „Zawsze mam wybór" – z ojca Christiana wychodzi arystokrata. Postawił się, że z uzbrojonymi nie będzie rozmawiał w klasztorze. Wychodzą na zewnątrz.

Brodaty mężczyzna to Sayah Attiya, emir Islamskiej Grupy Zbrojnej. Żąda pieniędzy, lekarstw, telefonu. Chce zabrać brata Luca, żeby leczył rannych bojowników. Christian mówi, że to wykluczone: brat Luc ma astmę. „Możecie przyprowadzić swoich rannych do nas. Pomożemy im, jak wszystkim innym".

Algierskie władze, nuncjatura, generał trapistów nalegają: wyjedźcie. Ośmiu mnichów głosuje. Nie wszyscy chcą umierać. Ktoś mówi, że nie po to wstępował do zakonu, żeby popełniać zbiorowe samobójstwo. Ale większość chce zostać. Nie chcą ochrony wojska. Obiecują, że będą wcześniej zamykać bramę. Głosowania powtarzają co pół roku. Za każdym razem są podzieleni.

PTAKI. Fotografie. Jest ich pełno. Na jednej brat Luc robi zastrzyk berberyjskiemu chłopcu, na drugim – siedzi przy herbacie z miejscowymi kobietami. Na jeszcze innym Christian czyta książkę berberyjskim dzieciom.

Miejscowi mówią: Wy jesteście gałęzią, a my ptakami. Pytają: Co z nami będzie, jak odejdziecie? Odpowiadają im: Jesteście przyjaciółmi. Nie zostawimy was.

INSZALLAH. 1 stycznia 1994. Christian de Chergé kończy pisać testament:

„A także ciebie, przyjacielu mojej ostatniej minuty, który nie będziesz wiedział, co czynisz. Tak, ciebie też do mojego »dziękuję« włączam i do mojego »À Dieu – Z Bogiem«, którego widzę także w twojej twarzy. By dane nam było się spotkać, jak dobrym łotrom, w raju: bo tak spodobało się Bogu, który jest Ojcem nas obu. Amen. *Inszallah*".

MANDARYNKI. Drzewa oblepione mandarynkami, pomarańczami, grejpfrutami.

Michał Zioło odszedł z zakonu dominikanów, idzie do trapistów. W Polsce ich nie ma. Postulat odbywa w Fezie. Przełożony klasztoru wychodzi po niego na dworzec. O. Bruno Lemarchand jest w gumiakach i przybrudzonych drelichach. W ręku (tak się umówili) trzyma gazetę.

Klasztor w Fezie to filia Tibhirine. Po postulacie Michał Zioło chce pojechać tam do nowicjatu. ↦

HARAM. Bracia z gór przyjdą do nich jeszcze nieraz. Skorzystać z telefonu. Opatrzyć rannych. Zawsze jest nerwowo. Jak wtedy, gdy mieszkający u nich pustelnik zapala papierosa, a terrorysta drze się: „*Haram!*" (zakazane). Pustelnik na to: „*Haram* to zabić drugiego człowieka".

Reżimowi żołnierze też ich odwiedzają. Szorstcy, podejrzewają, że mnisi pomagają islamistom. A oni nikogo nie popierają. Wojskowych nazywają „braćmi z dolin".

LIST. „Cher frére MICHAŁ!". Zioło czyta list od przeora z Tibhirine. O. Christian pisał go 27 grudnia 1995 r., do Fezu dotarł w styczniu roku następnego. Imię napisał po polsku. Poznali się kilka miesięcy wcześniej. Rozmawiali o nowicjacie. „Dużo mówiliśmy o Tobie. Rada klasztorna woli, żebyś czas probacji zaczął po Wielkanocy. Ale żeby tak się stało, musisz naprawdę się na to zgodzić" – pisze przeor.

Fez jest w Maroku, Tibhirine w Algierii. Polak wraca do kraju po wizę.

GŁOSOWANIE. Nie wiedzą, że głosują ostatni raz. Tym razem wszyscy chcą zostać. Pierwszy raz taka jednomyślność. Na nic nalegania generała, że zakon potrzebuje mnichów, nie męczenników. Zioło: – To nie był heroizm. Nie chcieli zdradzić ślubów, w których mnich decyduje się na wierność danemu miejscu.

SER. Z plecaka wyciąga hostie, list, ser. Brat Paul Favre wrócił właśnie z opactwa trapistów w Tamié, w Sabaudii. Będą potem mówić, że zdążył na śmierć.

W Tibhirine jest też o. Bruno Lemarchand z Fezu. 31 marca ma wziąć udział w wyborach przeora – Christianowi de Chergé kończy się kadencja. Po wyborach ma wrócić do Maroka. Nie zdąży.

PORWANIE. Noc z 26 na 27 marca 1996. Myślą, że to znów „bracia z gór". Oni. Ale dziś zachowują się inaczej. Brutalni, każą wstawać, ubierać się, popychają do wyjścia. Na ikonie jeden z brodaczy rozmazuje ser, który przywiózł Bruno.

Skąd wiemy, że tak było? Brat Amédée patrzył przez dziurkę od klucza. Jean-Pierre miał dyżur przy furcie – zarzeka się, że nic nie widział. Amédée będzie potem powtarzał, że uratowała go Matka Boża. Jean-Pierre wpadnie w depresję.

W katedrze w Paryżu kard. Jean-Marie Lustiger zapala siedem świec. Będą płonęły dwa miesiące. Na znak, że mnisi się odnajdą.

Algierskie władze, nuncjatura, generał zakonu nalegają: wyjedźcie.
Mnisi nie chcą ochrony. Co pół roku głosują, czy pozostać w klasztorze.

MONTAŻ. Scena jak z Ostatniej Wieczerzy – piszą krytycy. Ich ostatni posiłek w klasztorze. Jakoś bardziej uroczyście. Jest wino. Szybkie cięcie, jak to w filmie. Uzbrojeni brodaci mężczyźni wyrywają ich z łóżek, wpychają do samochodu.

Film „Ludzie Boga" wchodzi do kin w 2010 r. W laickiej Francji obejrzy go kilka milionów widzów, dostanie Złotą Palmę w Cannes. Reżyser Xavier Beauvois pokazał życie w Tibhirine od wybuchu wojny do porwania. Ostatnia scena: brną pod górę w śniegu. Christian podtrzymuje słabnącego Luca. Giną we mgle.

GAZETA. „Algieria. 7 francuskich zakonnic uprowadzono z monasteru Tibehirine na południe od stolicy kraju Algieru. Zapewne zrobili to islamscy fundamentaliści" – czyta Zioło w „Gazecie Wyborczej".

Pomyłka: w Tibhirine nie ma zakonnic. Ale Zioło nie wierzy, że chodzi o mnichów. Przecież wkrótce ma tam jechać.

ŻYCIE. 27 kwietnia 1996. Arabska gazeta „Al-Hajat" podaje: trapistów porwała Islamska Grupa Zbrojna. Nowy emir Dżemal Zitoumi (poprzedni zginął) chce wymienić mnichów na więzionych we Francji islamistów. Kilka dni później do francuskiej ambasady w Algierze ktoś przynosi kasetę z nagraniem głosów siedmiu trapistów. Każdy po kolei się przedstawia, mówi, ile ma lat i że jest zdrowy.

Al-Hajat znaczy po arabsku: „życie".

ŚMIERĆ. 21 maja 1996. Islamska Grupa Zbrojna nadaje komunikat: „Poderżnęliśmy gardła siedmiu mnichom". Dziewięć dni później ktoś znajduje siedem głów.

Zamordowani:

O. Christian de Chergé – lat 59, przeor.

O. Christophe Lebreton – lat 46, mistrz nowicjatu, w duchowych zapiskach opisał kronikę algierskiego terroru.

O. Bruno Lemarchand – lat 66, były profesor literatury francuskiej, przełożony w Fezie. Przyjechał na chwilę.

O. Célestin Ringeard – 63 lata, prowadził śpiew liturgiczny.

Br. Luc Dochier – lat 82, w Tibhirine od 1946 r., lekarz, wielki fan rugby.

Br. Michel Fleury – lat 52, kucharz i ogrodnik.

Br. Paul Favre – lat 57, były spadochroniarz z czasów wojny o niepodległość Algierii, w klasztorze wykonywał prace naprawcze.

W katedrze Notre Dame gaszą siedem świec. Zioło: – Mój świat runął.

PYTANIA. Terroryści: bo nienawidzili chrześcijaństwa? A może junta: żeby pokazać okrucieństwo islamistów i usprawiedliwić własny terror? Do dziś nie wiadomo, kto zamordował mnichów. Kościół uznał ich za męczenników, którzy zginęli z nienawiści do wiary.

SIÓDEMKA. Już po pogrzebie. Głowy pochowano w klasztornym ogrodzie. Ojciec Zioło jedzie z kilkoma trapistami do Tibhirine. Chcą przywrócić klasztor do życia. Nie wzięli habitów. Ubierają te, które zostały po zamordowanych.

Amédée (prowadził pralnię) mówi, że Zioło założył habit Christiana. Poznał go po „siódemce" – taki numer miał na habicie przeor. Zioło znajdzie też skórzany pas z siódemką.

Trapiści nie wrócili na stałe do Tibhirine. W klasztorze mieszka dziś ekumeniczna wspólnota Chemin Neuf z Francji.

TESTAMENT. Po zamordowaniu mnichów otwarto testament Christiana. „Oczywiste jest, że moja śmierć będzie dla niektórych potwierdzeniem tego, że byłem naiwny, że byłem nadmiernym idealistą. »Oto, do czego doprowadziły go jego ideały!«. Niech jednak wiedzą te osoby, że ostatecznie ta moja inność odnalazła spełnienie i uwolnienie".

Testament spisał po francusku. Końcówkę dopisał po arabsku.

© STANISŁAW ZASADA

Korzystałem z książek: Bruno Chenu „Ludzie Boga", „Tchnienie Daru. Dziennik brata Christophe'a, mnicha z Tibhirine" i z wywiadu rzeki z Michałem Ziołą OCSO „Po co światu mnich?".

SZYMON

Hołownia:
Gdy na Bohaterów Getta wjadą buldożery

Przed wojną Żydzi stanowili ponad 40 proc. ludności mojego rodzinnego Białegostoku (jeszcze w 1913 r. wskaźnik ten wynosił prawie 70 proc. – zmienił się, gdy zmieniły się granice administracyjne miasta). Po wojnie z 42 tysięcy został ledwie tysiąc, zdecydowaną większość zagazowano, po likwidacji miejscowego getta, w Treblince. Dziś miasto, zaludnione po wojnie głównie przez ludność napływającą z okolicznych wsi i pozostałych za granicą Kresów, żyje doskonale obok tej części białostockiej historii i tożsamości. Parę osób przyznaje się do narodowości i wyznania, jest paru miłośników historii, władze miasta organizują obchody w rocznicę wybuchu powstania w getcie i w rocznicę spalenia Wielkiej Synagogi, ale Białystok również wtedy żyje swoim stałym rytmem, odcięty od historii niewidzialną ścianą. Jakby wraz z niemal totalną wymianą ludności wysterylizowano pamięć miejsca. Symbolicznym tego przejawem jest spór, relacjonowany w ostatnich dniach przez lokalne media.

Mieszkańcy jednego z bloków przy ulicy *nomen omen* Bohaterów Getta domagają się od władz rozbiórki jednego z ostatnich świadków wydarzeń, starego domu z 1924 r., który przez lata podupadał, doprowadzony na skraj ruiny przez hojnie wspierających monopol spirytusowy komunalnych lokatorów. Miasto wysiedliło lokatorów, stwierdziło, że remont to parę milionów, zapadła decyzja: rozbieramy. Zaprotestował konserwator zabytków, a ktoś zapytał Gminę Żydowską w Warszawie, czy nie byłaby zainteresowana przejęciem budynku za złotówkę i stworzeniem w niej jakiejś formy upamiętnienia. Wtedy mieszkańcy okolicznych bloków zorganizowali protest twierdząc, że budynek stwarza zagrożenie, bo blokuje dojazd karetkom oraz może – gdy będzie tam muzeum – np. nagle spłonąć, a oni woleliby w tym miejscu parking. Zebrali podpisy, poszli do magistratu, z uznaniem o ich inicjatywie wypowiada się radny z PiS.

Na takie *dictum* Gmina Żydowska wycofała się z tematu, a szczególną uwagę jej przedstawicielka zwróciła na argument „pożarniczy". Nie dziwota. Jeszcze za mojej młodości Białystok słynął z Bojar, ulokowanej w samym centrum unikatowej dzielnicy drewnianej zabudowy, lecz w miarę postępowania z każdej strony presji deweloperów kolejne piękne drewniane domy ulegały nocami „samozapłonowi". Sprawców nie wykrywano, zgliszcza sprzątano, a dziś Bojary to przedziwna kakofonia resztek starego drewna i czasem zdumiewających lokalnych wariacji na temat nowoczesnej architektury mieszkalnej. Czy inaczej było swego czasu z tajemniczymi pożarami Świdermajerów na tzw. Linii Otwockiej, w mojej obecnej okolicy? A ilu z nas zna takie przykłady ze swoich stron? Najemny podpalacz to nader skuteczne narzędzie w rękach tych Kazimierzów Wielkich na miarę naszych możliwości, którzy zastając rzeczywistość drewnianą, gorąco pragną zostawić ją wybetonowaną. Nie trzeba mieć złudzeń: gdyby doszło do dealu Gminy Żydowskiej z miastem, w zasadzie można by było od razu robić zakłady, czy chałupa spłonie po tygodniu, czy po miesiącu.

Gdy czytam o tej sytuacji w „Kurierze Porannym" (w nim kiedyś pisać zaczynałem), czuję smutek i absmak, nie odnajduję w sobie jednak świętego gniewu – mój myślowy horyzont szczelnie wypełnia fatalizm. Przecież od tysięcy lat zawsze tak było, że burzono stare, by mogło rozpanoszyć się nowe. To co, że za sto lat przeglądając archiwa młodzież będzie stukać się w głowę, myśląc o interesie zrobionym przez swoich dziadków: gdyby nie oni, miałaby dwustuletni dom, przesiąknięty (choćby z zewnątrz) historią. Ma za to ugór z polbruku, na którym co parę lat wymieniać się teraz będą mniej lub bardziej archiwalne artefakty niemieckiej motoryzacji. Bo przecież Żydzi już nie żyją, nie potrzebują parkować, a my potrzebujemy.

Mam pełną świadomość, że to nie była bóżnica, tylko zwykłe chałupiszcze, które nie wiadomo jakim cudem przeżyło setki takich jak ono, a teraz spotka je zaszczyt śmierci w czasach dobrobytu i pokoju. Co poradzę, że mam też jakiś szacunek do ścian, które były naszymi świadkami? Nie umiem spokojnie zwiedzać starych pogańskich świątyń albo naszych zburzonych czy zamienionych na pizzerie kościołów – stale tłucze mi się po głowie świadomość, ile modlitw, próśb, łez wsiąkało latami w te mury. Gdy wchodzę do starych kamienic, najpierw słucham ścian: szeptów, które oddają, jakby wreszcie chciały uwolnić się od bagażu, którym – chciały czy nie – przez dekady były obciążane.

Gdy na ulicę Bohaterów Getta wjadą buldożery i zaczną równać z ziemią stareńki dom, który tych Bohaterów pamięta, umierający budynek uwolni wszystkie te obrazy i głosy. A one polecą wprost do nieba, bo widać tylko tam jest ktoś, kto na nie czeka, kto gotów jest je przygarnąć. Czy z nami nie będzie aby identycznie? Parkingi, które po nas zostaną, tak drogie naszym sercom; parkingi, z których obrazem zasypialiśmy, znikną, gdy po raz ostatni zamkniemy oczy. Może następne pokolenie nie będzie mądrzejsze od nas, może będzie takie samo – bezceremonialnie zburzy je i postawi nowe, by też – a co? – trzymać tam jakieś przyszłe odpowiedniki bmw w dieslu i starych audi w gazie? Aniołowie uważnie słuchają naszych pragnień. Może już kręcą w niebie beton, byśmy po śmierci czuli się jak u siebie? ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

GRANICA DOBREJ NOWINY

Zabójstwo misjonarza, który chciał przekonać do chrześcijaństwa wyspiarzy z Oceanu Indyjskiego, wznowiło debatę nad prawami ludzi, którzy od tysiąca lat żyją według swoich zwyczajów.

ROMAN HUSARSKI Z PORT BLAIR (WYSPY ANDAMAŃSKIE NA OCEANIE INDYJSKIM)

W sobotę 17 listopada na Andamanach i Nikobarach w Zatoce Bengalskiej – wyspiarskim terytorium podporządkowanym Indiom – z rąk mieszkańców zginął John Allen Chau. Ten 27-letni Amerykanin z Alabamy pragnął pozyskać dla chrześcijaństwa Sentinelczyków, rdzennych mieszkańców jednej z wysp. Od lat odmawiają oni wszelkiego kontaktu ze światem zewnętrznym i konsekwentnie bronią się przed obcymi – na ciekawskich czy antropologów z reguły reagują strzałami i dzidami.

Niezrażony niebezpieczeństwami – i zakazem rządu Indii, który wyznaczył nieprzekraczalną granicę trzech mil morskich wokół brzegu Sentinelu Północnego – John wierzył, że dzięki swojej miłości oraz Jezusowi pokona wszystkie bariery.

CHRISTIAN CARON – CREATIVE COMMONS A-NC-SA

Śmierć mężczyzny wznowiła debatę nad prawami ostatnich ludów na naszej planecie, które od setek czy nawet od tysiąca lat żyją nieprzerwanie według tych samych zwyczajów.

Nigdy nie przestawaj

Profil Johna Allena Chaua w serwisie Instagram jest pełen impresji w duchu backpackingu – tej szczególnej formy wędrowania po bezdrożach świata, na własną rękę, gdy podróżnik stara się żyć w drodze tak, jak żyją ludzie, wśród których akurat się znajduje: poruszać się takim transportem jak oni, jeść to, co oni.

Znajdziemy tu zdjęcia z wycieczek w dzikie góry, ze spływów kajakowych, z nurkowania na rafach koralowych, z noclegów w namiocie „na dziko", a także wolontariatu w Republice Południowej Afryki. Mnóstwo egzotycznych zdjęć przyrody, na których dostrzeżemy też opakowanie suszonego mięsa Perky Jerky – sponsora wypadów mężczyzny.

Na jednej fotografii John leży uśmiechnięty w szpitalu. Pogryzł go grzechotnik. Na innym pokazuje zakrwawioną stopę, po ataku pijawek w dżungli. Hasło #neverstopexploring (nigdy nie przestawaj eksplorować) należało do jego stałych tagów.

John ukończył Oral Roberts University w stanie Oklahoma – chrześcijańską uczelnię, związaną z ruchem zielonoświątkowym. Powstały w USA na początku XX w. jako nurt w protestantyzmie (i obecny też w Polsce), kładzie on nacisk na znaczenie Ducha Świętego. A także na ewangelizację.

Mat Staver, założyciel Covenant Journey – protestanckiej kongregacji organizującej podróże do Izraela, z którą John był związany – mówił potem, że chłopak interesował się Sentinelczykami już od czasów liceum: marzył o ich masowej konwersji.

Wyspy Andamańskie – archipelag składający się z kilkuset wysp, w tym także z tej jednej, na której miał zginąć – John odwiedzał wcześniej kilkakrotnie. Być może przygotowywał się do swojej misji.

Wiadomo, że na izolowany Sentinel Północny przetransportowali go miejscowi rybacy, którym miał zapłacić za to 25 tys. rupii (to czterokrotna wartość miesięcznego zarobku andamańskiego rybaka; równowartość ok. 1500 zł). W późniejszych zeznaniach, złożonych przed indyjską policją, rybacy (zatrzymano siedem osób) przekonywali, że ostrzegali Amerykanina przed kontaktem z mieszkańcami. Oni sami bali się podpływać blisko wyspy. Z ich łodzi młody misjonarz dopływał na wyspę kajakiem.

„Chciał przynieść im pokój"

Zachował się notes Johna (niewielki: 13 stron zapisków), w którym spisywał swoje obserwacje. Lynda Adams-Chau, matka misjonarza, udostępniła go magazynowi „Washington Post".

Okazuje się, że John próbował nawiązać kontakt z mieszkańcami wyspy trzykrotnie, pomiędzy 15 a 17 listopada. Podczas pierwszego spotkania sentinelskie dziecko strzeliło w niego strzałą z łuku, która miała zatrzymać się na jego wodoodpornej Biblii. Jak odnotował w notesie, ↦

Z lewej: jedno z nielicznych zdjęć mieszkańców Sentinelu Północnego; fotografia niedatowana. Poniżej: archipelag Andamanów i Nikobarów na Oceanie Indyjskim.

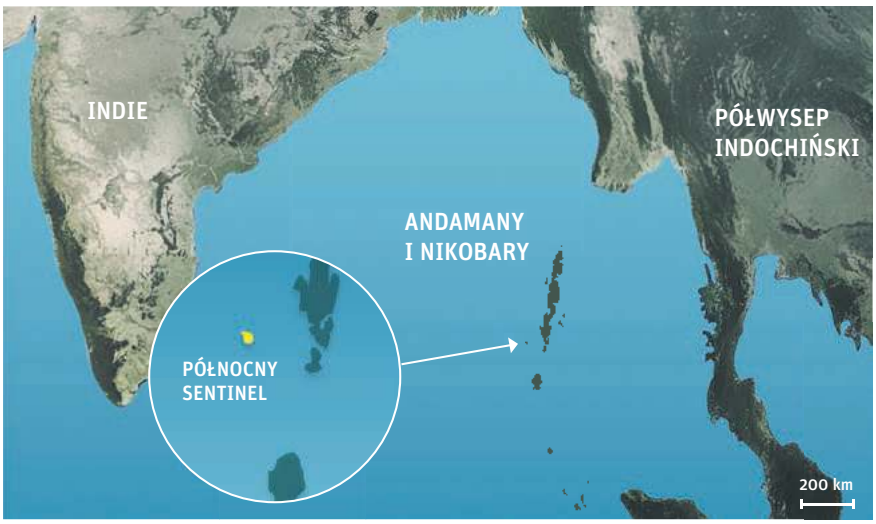

FREE VECTOR MAPS.COM / MONTAŻ TP

↦ przywitał ich deklaracją o swojej miłości i miłości Jezusa. Odniósł rany, ale zdecydował się wrócić na wyspę. Następnego dnia spotkanie ponownie zakończyło się przemocą ze strony mieszkańców wyspy. Jego kajak został zniszczony, a na rybacką łódź dotarł z powrotem wpław. Rybacy namawiali go, aby zrezygnował. Ale John był uparty i postanowił spróbować kolejny raz. Feralnego 17 listopada rybacka załoga dostrzegła Sentinelczyków, jak grzebią jego ciało na plaży.

Zapiski ujawniają też misjonarskie marzenia Amerykanina. „Panie, czy to jest ta ostatnia warownia szatana, gdzie nikt nie słyszał ani nawet nie miał okazji usłyszeć twojego imienia?" – pisał. W innym wyrażał nadzieję na ustanowienie Królestwa Bożego na wyspie.

Dziennik Johna stał się tematem licznych komentarzy. Dla jednych ujawnione zapiski mają obnażać jego niezrównoważenie. Dla innych są dowodem jego bohaterstwa. Wiele Kościołów ogłosiło go już męczennikiem za wiarę. „John chciał tylko przynieść im pokój" – podkreślał Mat Staver z kongregacji, z którą John czasem podróżował.

Pojawiają się też głosy, aby rząd Indii ukarał morderców, a przynajmniej sprowadził ciało mężczyzny. Zadanie z pozoru łatwe, może okazać się jednak niewykonalne – do połowy minionego tygodnia próby odzyskania zwłok nie powiodły się. Łódź z indyjskimi policjantami, która usiłowała dobić do wyspy w takim celu, musiała zawrócić z obawy przed zbrojną konfrontacją z wyspiarzami.

ROMAN HUSARSKI

Twórcy muzeum krajoznawczego w Port Blair (głównym mieście archipelagu Andamanów) tak przedstawili mieszkańców wyspy Sentinel Północny.

Tajemnicze plemię pośrodku oceanu

Kim są ludzie, którzy przybyszów – także tych niemających wrogich zamiarów – witają strzałami z łuków?

O mieszkańcach wyspy Sentinel Północny wiemy bardzo mało. Choć coś jednak wiadomo – większość plemion zaliczanych do tzw. izolowanych, w rzeczywistości ma pewien kontakt z zewnętrznym światem, za pośrednictwem innych grup etnicznych.

Na podstawie nielicznych spotkań z Sentinelczykami ustalono więc, że język ich ludu znacznie różni się od języków Jawara czy Onge – plemion zamieszkujących najbliższe wyspy archipelagu Andamanów. Najprawdopodobniej należą oni do ludu Negrytów. Mają bardzo ciemną skórę i niski wzrost, przeciętnie ok. 160 cm.

Antropologowie podejrzewają, że na Sentinel Północny dotarli już 55 tys. lat temu z Afryki i od tamtego czasu nie opuścili swojego niewielkiego (72 km^2 powierzchni) kawałka ziemi.

Nie wiemy nawet, ilu jest dokładnie Sentinelczyków. Antropologiczne muzeum w Port Blair mówi o zaledwie piętnastu, ale to z pewnością zaniżona liczba. Inne dane mówią o 200, 300, a nawet 500 mieszkańcach. Jednym słowem – loteria. Bez możliwości badań w terenie pozostają nam jedynie spekulacje.

W czasach kolonialnych Brytyjczycy stosowali różne metody „radzenia" sobie z takimi izolowanymi plemionami. Najprostszym sposobem było porwanie miejscowego dziecka, nauczenie go języka angielskiego i odesłanie do domu w roli tłumacza i „wtyczki", z pokaźnym zapasem prezentów i obietnicą poprawy bytu.

Metoda ta, zazwyczaj skuteczna, w przypadku Sentinelczyków poniosła porażkę. Być może ze względu na jej wyjątkowo brutalny przebieg. W 1880 r. zbrojna ekspedycja, dowodzona przez zaledwie 20-let-

niego (sic!) Maurice'a Vidala Portmana – brytyjskiego kolonialnego administratora – wylądowała na wyspie. Zabawa w kotka i myszkę, podczas której rdzenni mieszkańcy chowali się w buszu przed intruzami, trwała kilka dni.

W końcu Brytyjczykom udało się złapać parę staruszków i czworo dzieci. Dorośli zmarli niedługo po przybyciu do Port Blair, stolicy archipelagu Andamanów – prawdopodobnie zabiły ich zarazki, na które nie byli odporni. Dzieci odesłano na wyspę z paczką prezentów w nadziei, że przekonają starszyznę do współpracy. Ale słuch po nich zaginął.

Obszar „no go"

Rząd Indii, które po uzyskaniu niepodległości od Wielkiej Brytanii przejęły zwierzchność nad archipelagiem, stosował mniej brutalne metody.

Ale także ekspedycje prowadzone przez antropologów od lat 60. XX w. nie przyniosły efektów. Zwykle rdzenni mieszkańcy odrzucali proponowane im prezenty i atakowali przybyszów. Gdy w 1974 r. ekipa National Geographic zostawiła im na brzegu świnię (zwierzę zwykle cenione przez miejscowych wyspiarzy), Sentinelczycy wzgardzili podarunkiem – zadźgali ją dzidami i pogrzebali. Antropolodzy tłumaczyli się potem, że trudno stworzyć czytelne komunikaty: być może Sentinelczycy pierwszy raz widzieli takie zwierzę i nie wiedzieli, jak interpretować jej obecność.

Pierwszy przyjazny kontakt odnotowano dopiero w 1991 r. Aborygeni przyjęli kokosy – owoc najprawdopodobniej dla nich cenny. Nie występuje on na ich wyspie, ale czasem dociera do jej brzegów, niesiony przez morze. W kolejnych latach ponownie próbowali odganiać docierających do ich brzegu obcych, choć już nie tak agresywnie – i jak odnotowano, tym razem używali strzał bez ostrych grotów.

Mimo pojedynczego sukcesu, dowodzący zespołem indyjskich antropologów T.N. Pandit wycofał się z projektu, wskazując, że mieszkańcy wyraźnie dają do zrozumienia, że nie pragną kontaktu z zewnętrznym światem. Rząd Indii zaakceptował opinię eksperta, uznając wyspę za tzw. obszar *no go* – z zakazem wstępu.

W kolejnych latach zdarzały się incydenty, czasem tragiczne. W 2006 r. zamordowano dwóch rybaków, którzy nielegalnie dokonywali połowów przy ich wyspie.

Poparcie dla prawa wyspiarzy do życia w izolacji wzrosło w 2012 r. z powodu

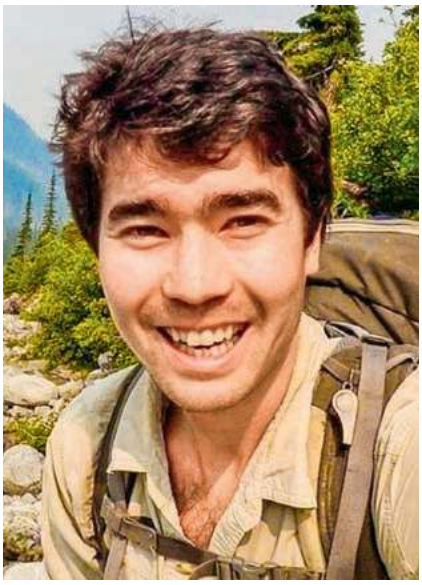

INSTAGRAM JOHNA ALLENA CHAUA

John Allen Chau, amerykański podróżnik i misjonarz chrześcijański

skandalu, który dotyczył turystów nagrywających taniec półnagich kobiet z andamańskiego plemienia Jarawa w zamian za jedzenie. Na filmie słychać ponaglający głos towarzyszącego turystom policjanta: „Tańczcie! Tańczcie!".

Spór o misję Johna

Zanim podjął swoją ostatnią próbę, John Allen Chau odnotował: „Byłem dla nich taki miły, dlaczego są tak wściekli i agresywni?". Amerykanin zupełnie nie rozumiał, jak bardzo odmiennie lokalny lud może odczytywać wysyłane mu znaki.

W dyskusji, która teraz się toczy, indyjski antropolog P.C. Joshi z uniwersytetu w Delhi powiedział, że misjonarz „prosił się o agresję". Po raz kolejny mogliśmy mieć do czynienia z chaosem symbolicznym. Śpiewane przez Johna pieśni religijne mogły zostać odczytane w kluczu magicznym. Tym bardziej próby oferowania nożyczek i agrafek. Nawet przygotowane w prezencie ryby nie mogły kojarzyć się z podarunkiem, skoro – przy bogatej w faunę morską rafie koralowej – mieszkańcy wyspy mają ich pod dostatkiem.

Sentinelczycy mogą mieć też inne powody do unikania kontaktu z obcymi. Tak długa izolacja mogła sprawić, że ich system immunologiczny jest niezwykle słaby.

Przestrogą może być tu los samych Andamańczyków: najliczniejsze wcześniej plemię z archipelagu, w okresie rządów kolonialnych zostało tak zdziesiątkowane przez grypę, ospę, syfilis i alkoholizm, że w 1971 r. zostało zaledwie 19 jego przedstawicieli. Dziś jest ich nieco więcej – kilkanaście rodzin zamieszkuje Strait Island, wyspę-rezerwat.

Gdy pytam o całą sprawę w Indiach, słyszę głosy dezaprobaty. Pojawiają się oskarżenia wymierzone we wciąż żywe, zdaniem moich rozmówców, imperialne myślenie. – Ameryka daje tym misjonarzom duże pieniądze, by mieszać ludziom w głowie – mówi mi Sidharth, lekarz z Chennai, który podobnie jak wielu innych podejrzewa, że za całą sprawą stoi rząd USA.

Próbując polepszyć atmosferę rozmowy, wskazuję, że nie wszyscy misjonarze mówią w ten sam sposób. Podaję przykład plemion z Papui-Nowej Gwinei, w których po nawróceniu na chrześcijaństwo znacząco spadła przemoc. Jednak temat misji i misjonarzy ma w Indiach bardzo negatywne konotacje i kojarzy się z kolonializmem. Niektórzy obawiają się, że cała ta sprawa może jeszcze bardziej pogorszyć i tak niełatwą sytuację chrześcijan w Indiach.

Ale są też opinie, że „dzikich" powinno się ucywilizować. W końcu dlaczego niektórzy obywatele mieliby pozostać bezkarni w obliczu popełnionej zbrodni?

Spotykam się też z bardziej filozoficzną refleksją. Pewien starszy człowiek przekonywał mnie, że z perspektywy hinduistycznej misjonarstwo nie ma sensu. – Skoro Bóg jest jeden, to po co mieszać w jego planach? – argumentował.

Ciąg dalszy nastąpi?

Dotąd nie udało się odzyskać ciała Johna, a dalsze postępowanie w tej sprawie stoi pod znakiem zapytania. Mimo zewnętrznych nacisków, rząd Indii nie spieszy się z kolejnymi ingerencjami w życie wyspy.

Być może Sentinelczycy mają szczęście. Indie w swoim prawodawstwie są dość wyjątkowe. Liczne plemiona, które wcześniej też żyły swoim życiem – w Chinach, Birmie czy Tajlandii – skończyły jako atrakcja turystyczna, z reguły ubezwłasnowolnione. Ci „ostatni", z Andamanów, mają szansę uniknąć losu „ludzkiego zoo".

Jeśli wcześniej nie wyniszczą ich choroby. Lekarz Sidharth obawia się, że tak bliski kontakt Sentinelczyków z Johnem może mieć dla nich jeszcze opłakane konsekwencje.

© ROMAN HUSARSKI

Autor jest kulturoznawcą i religioznawcą, specjalizuje się w tematyce Azji Południowo-Wschodniej i Korei. Stale współpracuje z „TP". Obecnie podróżuje po Indiach, na Facebooku prowadzi bloga „Włóczykij – Roman Husarski".

MONIKA ANDRUSZEWSKA

Weteran wojny w Donbasie Aleksander Pecznikow przykleja baner upamiętniający jego przyjaciela Witalija Oleszkę. Berdiańsk, wrzesień 2018 r.

Kto dał zlecenie na Katję Handziuk

MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA I BERDIAŃSKA

Krym, Donbas i Morze Azowskie to nie jedyne fronty, na których trwa walka o przyszłość Ukrainy. Istnieje też front „wewnętrzny": układy korupcyjno-polityczne, które trzymają się mocno. I zabijają.

Pięć lat temu Ukraińcy wyszli na plac Niepodległości w Kijowie. Początkowo żądali od prezydenta Wiktora Janukowycza, by podpisał umowę stowarzyszeniową z UE. Gdy polała się krew, protesty przekształciły się w rewolucję. Majdan wygrał, choć okupił triumf śmiercią ponad setki protestujących. Oraz rosyjską odpowiedzią: agresją na Donbas i Krym.

Ukraińcy wybrali Europę, odrzucając sowiecką spuściznę i emancypując się od Rosji. Zaczęto masowo usuwać komunistyczne jeszcze symbole i pomniki, zmieniać nazwy ulic. Ale w wielu miejscach zmiany okazały się powierzchowne. Lista tych, którzy stracili życie za ideały Majdanu, nie kończy się na nazwiskach poległych w Kijowie i potem w donieckich okopach.

Także stary układ wciąż zabija – ukraińskich aktywistów.

Litr kwasu w butelce

Kateryna Handziuk, 33-letnia pulchna blondynka o sympatycznym uśmiechu, jest doradczynią burmistrza miasta Chersoń, na południowym wschodzie kraju. Ale jej plany sięgają dalej: marzy o politycznej karierze w jej wymarzonym kraju, silnym i zarazem europejskim.

Katja uważa, że reformy powinny się zacząć od transformacji organów ścigania. Gdy w 2015 r. milicja zmienia się w policję, Katja bierze udział w reformie. Z zapałem prowadzi szkolenia dla nowej służby.

Ale z czasem zauważa, że otacza ją iluzja. Co z tego, że są nowi policjanci, skoro ich dowódcy to ci sami ludzie, co sprzed rewolucji? Jak państwo może normalnie funkcjonować, skoro majątki lokalnych komendantów sięgają milionów dolarów?

Katja zaczyna pisać na Facebooku o korupcji w regionalnej delegaturze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, demaskuje kilka afer w chersońskiej policji, krytykuje miejscowych polityków za kontakty z Partią Regionów (dawną formacją Janukowycza) i Rosją. Nie waha się stwierdzić, że lokalnej władzy bliżej do rosyjskiego okupanta niż do idei niepodległej Ukrainy.

Pisze też, że zamiast czystki wśród skorumpowanych urzędników, na południu Ukrainy odbywa się czystka wśród proukraińskich aktywistów – kilku jej

znajomych działaczy zostało pobitych przez nieznanych sprawców. Handziuk uważa, że politycy starają się uciszyć niewygodne osoby przed kampanią wyborczą (w marcu 2019 r. na Ukrainie odbędą się wybory prezydenckie, a jesienią parlamentarne).

Podejrzewa, że może być następna. Czuje, że jest śledzona. Jej znajomi wspominają, że za Katją faktycznie stale ktoś chodził, nagrywał ją telefonem na ulicy, podsłuchiwał rozmowy. Tak często, że zdążyła się przyzwyczaić. Dlatego gdy w ostatnich dniach lipca wśród podążających za nią pojawiają się nowe twarze, nawet nie zwraca na to uwagi.

Kiedy rankiem 31 lipca wychodzi do pracy, z krzaków przed jej domem wyskakuje mężczyzna z butelką w ręce. Wylewa na kobietę jej zawartość. „Poczułam coś ciepłego. Potem nagle zrozumiałam, że ubranie się na mnie topi" – wspominała później Handziuk. Był to stężony kwas siarkowy (jak potem stwierdzono, cały litr). Ciężko poparzył 40 proc. jej ciała.

Majdan żyje w nich

Tego samego dnia, czterysta kilometrów na wschód od Chersonia, w mieście Berdiańsk nad Morzem Azowskim (tym samym, o którym usłyszeliśmy pod koniec listopada), grupa weteranów z ochotniczego batalionu Donbas nagrywa komórkami nielegalne wysypisko śmieci. Choć miasto podpisało absurdalnie drogie umowy z firmą mającą utylizować odpadki, wyrzucane są po prostu na przedmieściach.

Do linii frontu z Berdiańska jest niedaleko, niecałe sto kilometrów. Dzielone z Rosją Morze Azowskie już od miesięcy spędza sen z powiek ekspertom od obrony Ukrainy. Sytuacja eskaluje od chwili zbudowania mostu, łączącego anektowany Krym z Rosją. Morze Azowskie może być nowym frontem wojny z Rosją (i tak się też wkrótce stanie).

Ale konflikt o strefy wpływów trwa w Berdiańsku nie tylko na wodzie.

Aktywiści obywatelscy – weterani Donbasu (jednego z najsłynniejszych oddziałów ochotniczych; dziś jest włączony do Gwardii Narodowej) – są wściekli, bo choć od rewolucji minęło prawie pięć lat, w ich mieście nic się nie zmieniło.

No, może poza tym, że popiersie Feliksa Dzierżyńskiego przed miejskim więzieniem ucharakteryzowano na Maksyma Krzywonosa, przywódcę kozackich powstań w XVII w. W ramach dekomunizacji Dzierżyńskiemu po prostu spiłowano wąsy, domalowano ornamenty ukraińskiej ludowej koszuli i zmieniono tabliczkę z nazwiskiem.

– Nasi lokalni politycy to ci sami ludzie co za Janukowycza, tylko dla niepoznaki pozamieniali georgijewskie wstążeczki [symbol rosyjskich separatystów i w ogóle idei „ruskiego miru" – red.] na ukraińskie wyszywanki – oburzają się weterani. Są zgodni: nie po to ryzykowali życiem dla kraju, by pozwolić na odrodzenie Partii Regionów w swoim mieście.

ZBIORY AUTORKI

Plakat „Kto dał zlecenie na Katję Handziuk?"

Dwa strzały w plecy

Jeden z nich – Witalij Oleszko, znany też pod pseudonimem „Sarmat" (używał go na wojnie) – zbiera wokół siebie grupę byłych wojskowych, którzy jak on chcą zmian. Są zdania, że w Berdiańsku rewolucja jeszcze się nie skończyła.

– To dlatego, że najbardziej aktywni obywatele pojechali bronić wschodu. Ale teraz rozumiemy, że poza walką na froncie jest jeszcze inna, ważniejsza wojna, którą Ukraina musi wygrać: z rosyjskimi wpływami, które toczą struktury administracyjne w regionach pozornie wolnych od rosyjskiej agresji. Nasza walka wciąż trwa – „Sarmat" powtarza to jak mantrę.

Byli żołnierze przychodzą na obrady rady miasta. Włączają transmisję wideo na Facebooka i zadają politykom pytania: o rozbieżności między ich majątkiem faktycznym i deklarowanym (deklaracje majątkowe polityków są dziś jawne), o związki z Rosją, o miejskie przetargi. Ich działalność coraz bardziej przeszkadza.

Tego dnia, po nagraniu nielegalnego wysypiska, znów wybierają się do rady miasta. Ale najpierw jadą do domu „Sarmata", na herbatę. Gdy mężczyźni są tuż przy wejściu, ze stojącego nieopodal auta wybiega mężczyzna i oddaje dwa strzały w plecy „Sarmata". Weteran umiera na miejscu, zabójca znika w tłumie turystów zmierzających na plażę. Potem okaże się, że auto, którym odjedzie, jest zarejestrowane jako własność władz obwodowych.

Internet obiega nagranie, na którym żona „Sarmata" pochyla się nad jego zakrwawionym ciałem. „Czemu?..." – zawodzi. „Czemu?" – pytają siebie mieszkańcy Berdiańska. Czemu ten, który przeżył bitwę pod Iłowajskiem w 2014 r. i niewolę, zginął na nadmorskim deptaku?

Codzienność obywateli

Ataki na Katerynę i Witalija wywołują w kraju ogromne poruszenie.

Na pogrzebie Oleszki są setki ludzi ubranych w koszulki „We mnie żyje Sarmat". Baner upamiętniający „Sarmata", który jego przyjaciele wieszają naprzeciwko rady miasta, zostaje zniszczony (dziwnym trafem kamery monitoringu miejskiego wtedy nie działają). Przetrwa dopiero drugi baner.

Znajomi Handziuk zakładają stronę „Kto dał zlecenie na Katję", poprzez którą organizują protesty przeciw brakom postępów w śledztwie. Spędzają noc pod Administracją Prezydenta w Kijowie.

Policja, początkowo kwalifikująca wylanie na młodą kobietę litra kwasu siarkowego jako chuligaństwo, pod presją opinii publicznej zmienia status przestępstwa na próbę zabójstwa.

Służbom udaje się aresztować człowieka, który w czasie ataku wypoczywał nad morzem sto kilometrów dalej. W jego obronie stają plażowicze, którzy mieszkali z nim na kempingu. Aktywiści ogłaszają, że funkcjonariusze celowo sabotują dochodzenie, bo sami są powiązani ze skorumpowanymi władzami lokalnymi. W efekcie policja aresztuje jeszcze pięciu podejrzanych o napad, jednak wciąż nie ustalono, kto był jego zleceniodawcą.

Tymczasem tylko w ciągu ostatnich dwóch lat wydarzyło się ponad sto takich napadów.

Codziennością ukraińskich aktywistów są pobicia, porwania, niszczenie ich własności – jak palenie aut lub wrzucanie granatów do biur. Ofiarami najczęściej są ludzie, którzy zajmują się walką z korupcją na poziomie lokalnym, ale również ↦

MONIKA ANDRUSZEWSKA

Tamara Tarnawska z psem „Cyborgiem", którego dostała od żołnierzy rannych na donieckim lotnisku. Schronisko dla bezdomnych psów i kotów w Pirogowie koło Kijowa, listopad 2018 r.

↦ obrońcy praw człowieka, praw zwierząt, ekolodzy walczący z nielegalnymi wycinkami parków czy nielegalną zabudową na terenach chronionych, obrońcy LGBT i praw kobiet.

Katja, Mykoła, Serhij...

„Wiem, że wyglądam teraz okropnie, ale na szczęście leczą mnie bardzo dobrzy ukraińscy lekarze. I tak wyglądam lepiej niż sprawiedliwość i praworządność w Ukrainie, dlatego że ich nie leczy dziś nikt" – mówi Katja w październikowym wideo, nagranym na szpitalnym łóżku.

Jej ciało jest obwiązane bandażami, twarz zdeformowana. Z trudem wyczytuje nazwiska aktywistów, którzy też byli ofiarami ataków. Lista jest długa.

Aktywista spod Charkowa, Mykoła Byczko, walczył z przedsiębiorstwem oczyszczania odpadów, które zanieczyszczało okolicę. 4 czerwca pojechał nabrać wody z rzeki, by skontrolować, czy przedsiębiorstwo nie wylewa ścieków. Następnego dnia znaleziono go powieszonego w niedalekim lasku. Pomimo śladów pobicia i wiązania na rękach, policja zakwalifikowała sprawę jako samobójstwo. Dowody rzeczowe znalezione przy ciele zaginęły, podobno przypadkowo.

Na Serhija Sternenka z Odessy napadano już cztery razy. 24 maja został zaatakowany przez dwóch mężczyzn. W obronie własnej zabił jednego z napastników, a sam wylądował na miesiąc w szpitalu. Gdy wyszedł, okazało się, że drugi z napastników nie tylko wciąż jest na wolności, ale uzyskał status ofiary i dostał ochronę policji, której Sternence kilkukrotnie odmawiano.

Z kolei po pobiciu chersońskiego dziennikarza, Serhija Nikitenki, policja przez ponad miesiąc zajmowała się tylko ustalaniem, czy pobity faktycznie jest dziennikarzem. W międzyczasie sprawcy zatarli ślady.

„Czemu zachęcamy ludzi do aktywności obywatelskiej, ale nie umiemy zapewnić im bezpieczeństwa? – pyta Katja ze szpitalnego łóżka. – Kto zlecił morderstwa tych wszystkich ludzi? Kto chroni ich zleceniodawców?".

Czekając na reformy

Lekarze, choćby najlepsi, niewiele mogli jej pomóc: Kateryna Handziuk umiera w szpitalu 4 listopada. Organizm przegrał kilkumiesięczną walkę ze skutkami poparzenia.

Zabójstwo Katji sprawia, że dyskusja o kondycji policji i wymiaru sprawiedliwości nie cichnie. Aktywiści powtarzają, że dopóki Ukraina nie przeprowadzi tu reform, zleceniodawcy takich napaści pozostaną bezkarni. O pomoc dla aktywistów apelują zachodnie ambasady. Ponad 70 ukraińskich organizacji pozarządowych domaga się ustąpienia ministra spraw wewnętrznych i prokuratora generalnego. Ten drugi, Jurij Łucenko, podaje się do dymisji, jednak prezydent Petro Poroszenko jej nie przyjmuje.

– Przed pierwszym wyjazdem mojego batalionu na wojnę, do naszej bazy przyjechał Jurij Łucenko – wspomina Aleksander Pecznikow, przyjaciel „Sarmata". Opowiada, że podczas tego spotkania Łucenko mówił im: „Chłopaki, walczcie, a my obiecujemy zrobić porządek z separatystami i Partią Regionów na tyłach frontu".

Wzięli sobie obietnicę do serca, walczyli o każdy skrawek donieckiej ziemi. A gdy wrócili do domów, zamiast obiecanego porządku zastali, jak to teraz określa Aleksander: „układy mafijne jak z filmu »Ojciec chrzestny«".

– „Sarmat" został zabity na moich oczach w biały dzień – mówi Aleksander. – W ten sposób zabija mafia, a ta mafia jest legitymowana przez lokalne władze. To nie było po prostu morderstwo, lecz kaźń, egzekucja. Chodzi o to, żebyśmy zaprzestali naszej działalności.

– Ale nie zrobimy tego, nie poddamy się – zapewnia weteran. – W zasadzie można by więc zacząć się zastanawiać, kto zginie następny. Ja? Któryś z moich kolegów? A może znajomy dziennikarz, opisujący nielegalne biznesy miejscowych oligarchów? Dopóki nie zostanie przeprowadzona prawdziwa reforma, żaden aktywista nie może spać spokojnie.

Pierwsze schronisko

To było 20 lat temu. Tamara Tarnawska, korespondentka Radia Wolna Europa, odkryła, że w Kijowie znajduje się rzeźnia dla psów i kotów. I to rzeźnia działająca zupełnie otwarcie, pod nazwą „Zakładu utylizacji bezdomnych zwierząt".

– Sprzedawali tłuszcz i kości do Czech, Chin i więzień w krajach byłego Związku Sowieckiego. Tutaj panuje mit, że nacieranie się tłuszczem zwierzęcym leczy gruźlicę. Rodziny więźniów były gotowe wydawać szalone pieniądze za słoik tłuszczu z psa. Wspaniały biznes! – opowiada dziś energiczna 50-latka. Mówi po polsku. Choć ma obywatelstwo Norwegii, jej ojciec był Polakiem.

Tamara nie mogła pozostać obojętna wobec katów zwierząt. Groziła władzom Ukrainy międzynarodowym skandalem, wykorzystywała wszystkie swoje zdobyte wcześniej kontakty w europejskiej dyplomacji. Aż zmusiła miasto Kijów do zamknięcia rzeźni. Teren, na którym się ona znajdowała, miasto przekazało Tamarze w dzierżawę na 49 lat.

Dzięki temu w Pirogowie pod Kijowem aktywistka zakłada pierwsze na Ukrainie schronisko dla zwierząt. Mieszka tam dziś tysiąc psów i 328 kotów.

Ale dwa hektary ziemi w pięknej okolicy okazują się łakomym kąskiem.

Początkowo Tamara walczy z politykami prorosyjskiej Partii Regionów. Sam syn ówczesnego prezydenta Janukowycza, który w ciągu kilku lat stał się wtedy

milionerem, stara się zabrać jej teren schroniska. Proponuje, że zapłaci Tamarze za odejście, a „psy wypuści do lasu". Nasyła do schroniska swoje zbrojne bandy (tzw. tituszki), które podpalają dwa budynki. Tuż po spotkaniu z synem prezydenta Tamara zostaje pobita, nieznany sprawca wybija jej dwa zęby. Ktoś podpala jej samochód.

Potem rewolucja na Majdanie sprawia, że przez jakiś czas schronisko jest bezpieczne. – Mieliśmy chwilę oddechu – mówi teraz Tamara.

Gdy już po Majdanie likwidowano obóz namiotowy, w którym mieszkali protestujący, Tamara zabrała z placu Niepodległości 56 szczeniaków, które towarzyszyły protestującym.

Kasia, Rudy, Pałkan...

Później zaczęła się wojna.

Tamara pokazuje wielkiego brązowego psa, którego przywieźli jej ranni żołnierze z donieckiego lotniska. – Nazywa się „Cyborg", bo tak nazywano obrońców lotniska. Przez pierwsze trzy miesiące nie dawał się nikomu dotknąć – wspomina. – Potrzebował czasu, zanim zaczął mnie do siebie dopuszczać. Ten pies nie ma szans na adopcję. Bardzo mi go żal, bo widział w życiu tylko wojnę i to schronisko.

„Cyborg" na wojnie nauczył się, że szczekanie może sprowadzić niebezpieczeństwo, więc w ogóle nie szczeka. Gdy się przestraszy, kładzie się na ziemię, jakby chciał się schronić przed ostrzałem.

– Rozumiem go, bo ja też tu żyję jak na wojnie. Walczą ze mną wszystkimi możliwymi metodami – wzdycha Tamara.

W 2016 r. znowu zaczynają się telefony w środku nocy, nocne wizyty bandytów, wrzucających trutkę dla psów za ogrodzenie schroniska. Rozrzucają kości dookoła schroniska, opłacają dziennikarzy, żeby kompromitowali schronisko.

Okazuje się, że politycy nowej władzy też są łasi na ziemię, tak jak poprzedni.

W sierpniu tego roku bandyci zaczynają przyjeżdżać nocami i strzelać do psów.

– Kasia, Rudy, Pałkan... Zabili ich ponad dwadzieścia! – Tamara wymienia imiona zwierząt drżącym głosem.

Przed bramą instaluje kamerę. Udaje się nagrać auta, którymi przyjeżdżają przestępcy. Okazuje się, że nękają ją, kolejno: osobisty ochroniarz Jurija Kosiuka (oligarchy), następnie ochroniarze deputowanego Ołeha Liaszka (szefa nacjonalistycznej Radykalnej Partii), potem przedstawiciele partii Ukrop (założonej przez uczestników rewolucji). Gdy Tamara zwraca się do pracodawców ochroniarzy, ci twierdzą, że nic nie wiedzą o działalności podwładnych. Ataki nie ustają.

Nic dla zwierząt, nic dla ludzi

Tamara rozumie już, że niezależnie od tego, kto jest u władzy, dla wszystkich szansa na zbudowanie apartamentowca w miejscu schroniska będzie ważniejsza od psów i kotów.

Zapewnia, że będzie walczyć do końca.

– Władza w tym kraju podchodzi do żywych zwierząt jak do śmieci. Bezdomne psy i koty są po prostu trute i odstrzeliwane. Myślałam o wyjeździe do Europy. Ale jeśli wyjadę, zabiją je wszystkie – mówi dzisiaj. – Przeszłam dwie rewolucje. Wierzyłam w nie. Ale nie widzę zmian, na które tak naiwnie czekaliśmy. Dzięki wsparciu prezydenta Juszczenki, po pomarańczowej rewolucji, udało się stworzyć ustawę o ochronie zwierząt. Ale co z tego, skoro leży w szufladzie i nikt się do niej nie stosuje?

Mimo to Tamara nadal ma nadzieję: – Wciąż istnieje aktywna część ukraińskiego społeczeństwa obywatelskiego.

Jakiś czas temu nieznajomy mężczyzna czekał na nią wieczorem koło domu. „Oddaj ziemię, suko, inaczej odstrzelimy ci głowę" – miał powiedzieć. Natychmiast pobiegła na policję. Opisała, jak wyglądał i gdzie go spotkała. I nic.

Tamara pokazuje zdjęcia z politykami. Z Brigitte Bardot, z którą wielokrotnie się spotykała (dawna aktorka jest dziś zaangażowana w pomoc dla zwierząt). Pokazuje listy intencyjne od międzynarodowych organizacji czy polskiej ambasady w Kijowie, nagrodę od Billa Clintona.

Tylko co to wszystko jest warte? Do kogo się zwracać, skoro tu na miejscu nawet policja nie może pomóc?

– To wspaniale, że po morderstwie Kateryny Handziuk udało się nagłośnić problemy aktywistów. Ale czy naprawdę ludzie muszą umierać, żeby coś się ruszyło? Co ma się jeszcze wydarzyć, żeby mi ktoś pomógł? Mam czekać, aż wystrzelają mi wszystkie psy? Albo aż sama zostanę zamordowana? – pyta Tamara.

Dodaje: – Gdy mówię o moich problemach ukraińskim politykom, słyszę w odpowiedzi: „Pani Tamaro, na Ukrainie nie da się zrobić nic dla zwierząt. Tu nic się nie da zrobić nawet dla ludzi".

© MONIKA ANDRUSZEWSKA

Czytelnicy, którzy chcieliby pomóc Tamarze Tarnawskiej i jej schronisku dla bezdomnych zwierząt, mogą kontaktować się z nią poprzez jej mail: **tamarat@voliacable.com**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy na „Lekcje czytania"

O HERBERCIE W CHOJNICACH

W piątek 7 grudnia ANDRZEJ FRANASZEK w II LO im. gen. Władysława Andersa w Chojnicach porozmawia z uczniami o twórczości Zbigniewa Herberta.

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania" – napisz: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na / LekcjeCzytania

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego po raz kolejny odmówiło nam finansowego wsparcia „Lekcji czytania". Osoby, które chciałyby wesprzeć naszą akcję społeczną, zapraszamy do kontaktu z Fundacją: fundacja@tygodnik.com.pl

MATT CARDY / GETTY IMAGES

Granica między Hiszpanią a brytyjskim Gibraltarem, w tle słynna skała, wrzesień 2018 r.

Brexit: chaosu ciąg dalszy

PATRYCJA BUKALSKA

Do wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii zostały tylko cztery miesiące. Choć Londyn i Bruksela zawarły ugodę, szanse na jej przyjęcie przez brytyjski parlament są nikłe.

Przez chwilę wydawało się, że są powody do optymizmu. Ale tylko przez chwilę.

Na unijnym szczycie w ostatnią niedzielę listopada premier Theresa May podpisała porozumienie w sprawie warunków wyjścia jej kraju z Unii i polityczną deklarację, dotyczącą przyszłych relacji. W Brukseli wszystko poszło szybko i sprawnie. Za to w Londynie premier May jest dosłownie rozrywana na strzępy i krytykowana – w zasadzie przez wszystkich.

Okazuje się, że porozumienie nie odpowiada niemal nikomu: ani zwolennikom brexitu, ani tym, którzy woleliby zostać w Unii. Theresa May broni się, że to wstępne porozumienie, które muszą jeszcze zaakceptować parlament brytyjski i Parlament Europejski. Tymczasem jest bardzo prawdopodobne, że posłowie w Londynie je odrzucą.

Po północnej stronie Kanału La Manche (lub Kanału Angielskiego, jak jest tam nazywany) trwają gorączkowe dyskusje i polityczne targi. Analizowane są scenariusze oraz wyliczenia strat i zysków (przeważają straty). A prasa, jak to prasa: podgrzewa temperaturę doradzając czytelnikom, jak mogą przygotować się do brexitu, np. robiąc zapasy żywności i leków.

Co to będzie

Brytyjska Izba Gmin ma głosować nad porozumieniem 11 grudnia. Rząd nie ma w niej własnej większości – polega na poparciu małej partii unionistów z Irlandii Północnej (DUP), której umowa brexitowa się nie podoba. Co więcej, głosować przeciw ma zamiar też część posłów z rządzącej Partii Konserwatywnej.

Pani premier nie składa jednak broni i wydaje się nie przyjmować do wiadomości tej niekorzystnej dla siebie parlamentarnej arytmetyki. Po tym, jak podczas niedawnej debaty w Izbie Gmin broniła swej propozycji jak lwica, Theresa May zaczęła ofensywę w mediach, apelując do zwykłych Brytyjczyków o poparcie. Wybrała się nawet do Szkocji, choć wcześniej traktowała Szkotów obcesowo, ignorując ich postulaty.

Większość Brytyjczyków wydaje się już zmęczona brexitową operą mydlaną. A także wciąż podzielona. W jednym z sondaży 52 proc. pytanych uznało porozumienie pani May za najlepszą z dostępnych opcji. Ale zarazem tylko 41 proc. uważa, że Izba Gmin powinna je przyjąć, a niemal tyle samo (38 proc.), że powinna je odrzucić. Z kolei aż 47 proc. stwierdziło, że rezygnacja z brexitu zaszkodziłaby pozycji Wielkiej Brytanii...

Co dalej więc? Theresa May liczy, że jeśli przekona opinię publiczną, to jej partyjnym kolegom trudniej będzie głosować przeciwko niej. Mogą jej też pomóc dwie ostatnie analizy (rządowa i Banku Anglii) dotyczące finansowych skutków brexitu, w tym wariantu, że Londyn opuszcza Unię bez porozumienia. Obie wskazują, że skutki mogą być gorsze niż po kryzysie finansowym z 2008 r., a straty Wielka Brytania może nadrabiać przez 15 lat. W każdym z możliwych scenariuszy (nawet z ratyfikowaną umową) PKB zmaleje – różnica jest tylko w tym, jak bardzo.

Parlamentarne warianty

Jeśli w grudniu porozumienie przejdzie przez Izbę Gmin, zajmie się nim strona unijna – tu ratyfikacja powinna potoczyć się gładko. Gorzej, jeśli umowa utknie w Westminsterze. Co wtedy? Jasności nie ma. Możliwe, że premier spróbuje z drugim głosowaniem. Część posłów zapowiada, że chce renegocjacji – ale Unia wyklucza taki wariant.

Możliwe też, że po przegranym głosowaniu premier May straci stanowiska szefowej rządu i liderki Partii Konserwatywnej. Może też upaść rząd, a to oznaczałoby wcześniejsze wybory.

– Wtedy nowy rząd z nowym społecznym mandatem mógłby znów zapytać obywateli o zdanie, czyli rozpisać drugie referendum – mówi „Tygodnikowi" prof. Christopher Lord z Centrum Studiów Europejskich w Oslo. Ale czy wniosek o nowe referendum zostałby przyjęty przez parlament? Nie wiadomo – tym bardziej że także opozycyjna Partia Pracy jest

podzielona i w sprawie brexitu, i drugiego referendum.

Na liście scenariuszy jest też „no deal brexit" – wyjście bez porozumienia. Zdaniem sporej części analityków, byłaby to katastrofa. Także dla Unii byłaby to fatalna opcja.

– Trudno o jakąś prognozę, ale myślę, że wyjścia bez umowy raczej nie będzie – prof. Lord jest tu optymistą.

Być może część posłów, dziś krytykujących premier May, zmieni zdanie z obawy, że odrzucenie porozumienia może prowadzić do „no deal brexit" lub nawet „no brexit": wstrzymania procedury wyjścia z Unii. Bo teoretycznie i to jest możliwe.

Irlandia, ryby i Skała

– Najbliższe dni to czas niepewności. Pojawi się też nowa jakość: o ile dotąd po stronie unijnej brexit był problemem biurokratycznym, to teraz stanie się politycznym. Ujawnią się odmienne interesy państw członkowskich – uważa dr Przemysław Biskup z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. – Przedsmak już mieliśmy, gdy Hiszpanie postawili sprawę Gibraltaru tuż przed unijnym szczytem, a Francuzi zaczęli mówić o łowiskach. Odezwą się też rybacy holenderscy i duńscy. Dołączą Niemcy, troszcząc się o przemysł samochodowy. Wielka Brytania po brexicie będzie przecież dla Unii największym rynkiem eksportowym na świecie, większym niż USA.

Dotąd w negocjacjach jednym z głównych problemów była sprawa granicy między Irlandią Północną (wchodzącą w skład Wielkiej Brytanii) a Republiką Irlandii. Dalej zresztą jest, bo przywrócenia „twardej" granicy po brexicie nikt nie chce, ale nikt też nie znalazł rozwiązania, które zadowalałoby wszystkich.

Z kolei Gibraltar – brytyjska enklawa, czuwająca nad przejściem z Atlantyku na Morze Śródziemne – ma korzystny system podatkowy i granicę z Hiszpanią przekraczaną każdego dnia nie tylko przez turystów, ale też pracowników. Spór brytyjsko-hiszpański o Skałę (jak się nazywa ten skrawek ziemi) ciągnie się od chwili, gdy Londyn zajął ją w 1713 r.

Hiszpanie zażądali gwarancji, by w przyszłych negocjacjach sprawy Gibraltaru były debatowane osobno i z prawem weta dla Madrytu. Dla Brytyjczyków Skała to kwestia także emocjonalna: w jednym z sondaży zwolennicy brexitu przyznali, że gdyby ceną opuszczenia Unii była utrata Belfastu lub Szkocji, to łatwiej byłoby im to zaakceptować niż stratę Gibraltaru.

– Podniesienie sprawy Gibraltaru i łowisk uwidoczniło Brytyjczykom, że „łatwiej już było", a teraz zaczną się naprawdę twarde negocjacje. Porozumienie o wyjściu z Unii musi być przyjęte przez Radę Europejską większością kwalifikowaną głosów i następnie przez Parlament Europejski, gdzie wystarczy większość zwykła. Na tym etapie żadne państwo nie będzie dysponowało więc wetem. Ale traktat o docelowych relacjach musi być przyjęty przez Radę jednomyślnie i następnie ratyfikowany przez parlamenty wszystkich państw członkowskich. Państwa te mogą wysuwać roszczenia wobec Brytyjczyków – uważa analityk PISM. – To, co dla Londynu stanowiło dotąd maksimum ustępstw, dla Unii będzie punktem wyjściowym.

Ostatni bastion

Jednak również Wielka Brytania może użyć mocnych argumentów. – Proszę sobie wyobrazić, co by się stało w przypadku ↦

REKLAMA

Jan Kallwejt „Gospodarstwo"

MUZEUM PANA TADEUSZA OSSOLINEUM

Wielka wyprawa do źródeł wolności

Wystawa międzynarodowa

Litwo, ojczyzno moja. Adam Mickiewicz i jego poemat *Pan Tadeusz*

Zamek Wielkich Książąt Litewskich
Wilno, Litwa 27.11.2018–24.02.2019

Organizatorzy:

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI
INSTYTUT ADAMA MICKIEWICZA
INSTYTUT POLSKI WILNO
OSSOLINEUM Zakład Narodowy im. Ossolińskich
VALDOVŲ RŪMŲ MUZIEJUS
ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

Honorowy patronat Prezesa Rady Ministrów Mateusza Morawieckiego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Honorowy Patronat Wiceprezesa Rady Ministrów, Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego prof. dr. hab. Piotra Glińskiego

Patronat honorowy Premiera Rządu Republiki Litewskiej Sauliusa Skvernelisa

Patronat Minister Kultury Republiki Litewskiej Liany Ruokyte-Jonsson

Projekt jest częścią koordynowanego przez Instytut Adama Mickiewicza międzynarodowego programu kulturalnego POLSKA 100, realizowanego w ramach Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017–2022. Dofinansowano ze środków MKiDN w ramach Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017–2022.

„twardego” brexitu. Co to oznaczałoby dla producentów dóbr łatwo zastępowalnych z Unii, np. wina, aut, pomarańczy? Przecież pomarańcze rosną nie tylko w Hiszpanii, a samochody produkuje się nie tylko w Niemczech! – zwraca uwagę dr Biskup. – Tę kwestię Brytyjczycy mogą wygrywać.

Na razie Unia może chwalić się „dyplomatycznym dziełem sztuki”, jak ugodę z Londynem nazwała kanclerz Angela Merkel. Ale tak naprawdę nikt się chyba nie cieszy. Opuszczenie Wspólnoty przez Brytyjczyków to dla niej cios. Dotąd Unia się rozszerzała, teraz po raz pierwszy ktoś ją opuszcza.

– Skoro proces wyjścia z Unii okazuje się skomplikowany, to tyle w tym dobrego, że pozostałe państwa członkowskie skupią się teraz na tym, by Unię usprawnić, zamiast też rozważać jej ewentualne opuszczenie – uważa prof. Lord. – Istotne będzie zwłaszcza zrekompensowanie nieobecności Wielkiej Brytanii we współpracy dotyczącej bezpieczeństwa, bo tu odgrywała istotną rolę.

W brexitowym chaosie ginie też podstawowe pytanie: jakim wyłomem w europejskim projekcie jest brexit?

Bo choć Unia powstała najpierw jako organizacja handlowa, to obecnie jest wspólnotą także polityczną. Jak pisał brytyjski „The Observer”: Unia to „pierwszy i ostatni bastion” demokratycznych rządów, a Wielka Brytania właśnie wyłamała się z szeregu. I to w chwili, gdy Europa ma tyle problemów wewnętrznych i zewnętrznych.

W 2016 r., zaraz po referendum, amerykański historyk Timothy Snyder tak mówił w wywiadzie dla „Ukraińskiej Prawdy” o brexicie: „Nie myślę, że doprowadzi to do końca Unii. Ale myślę, że doprowadzi to do innego rodzaju Europy”. Za chwilę zobaczymy, jakiego.

Jak zjednoczyć Królestwo

Gdy brexit już nastąpi – z porozumieniem lub bez – Unia zewrze szeregi i będzie starała się leczyć rany. Wielka Brytania będzie musiała zrobić to samo. Tym bardziej że brexit to nie tylko zmiany polityczne i gospodarcze, ale też społeczne.

Referendum i późniejsza dyskusja przypomniała o starych podziałach i stworzyła nowe. W Szkocji, która chciała zostać w Unii, radykalizują się nastroje i choć do kolejnego referendum niepodległościowego raczej szybko nie dojdzie, kwestia niepodległości nie zniknie. Znak zapytania dotyczy też przyszłości Irlandii Północnej. Dalej: dwie największe partie, torysi i laburzyści, są głęboko podzielone (mówi się, że może powinno powstać nowe centrowe ugrupowanie). Różnice zdań na temat brexitu dają się odczuć wśród przyjaciół i w rodzinach. Polityczne rozedrganie i agresywny ton debaty publicznej również zostawiają ślad.

Jak uspokoić nastroje?

– To będzie długa podróż. Potrzebny jest czas, bo różnic jest wiele i są głębokie – mówi prof. Lord. – A przecież jest też tyle innych pilnych spraw, którymi powinien zająć się rząd. Brexit sprawił, że odłożono je na później. Tymczasem system pomocy społecznej czy opieka zdrowotna wymagają uwagi już teraz.

Na razie Królestwo szykuje się na Boże Narodzenie, dyskutuje o świątecznych reklamach domów handlowych i martwi zapowiedziami srogiej zimy. Oraz robi zapasy – na wszelki wypadek.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

REKLAMA

Prestige MJM
REGENT WARSAW HOTEL
wprost
Do Rzeczy
Gazeta Bankowa
Gitarzysta
WP
cgm.pl
video
Multikino
Press Service
pap
STRÖER
VIXON

WOJCIECH

Bonowicz:
Edukacja

Dzieci powinny wychowywać się na wsi. Najlepiej na takiej, jaką pamiętam z dzieciństwa, czyli wsi lata i wczesnej jesieni. Małe dziecko powinno wchodzić w sad, wdychać zapach krów i rozcierać w palcach kwiaty dziurawca. Powinno chodzić boso po trawie i obrośniętych kamieniach w strumieniu. Nieco większe powinno wspinać się na drzewa, chodzić po gorący chleb do piekarni i kręcić kołem przy siekaniu pokrzyw dla świń. Kto nauczy się wtedy czułości do zwierząt, nigdy nie będzie okrutny.

Dobrze by było, żeby dzieci, zanim pójdą do szkół, najadły się zielonych porzeczek i śliwek-robaczywek. Powinny jeść jak najwięcej owoców prosto z drzew lub z ziemi pod drzewami. Niech piją wodę z aluminiowego wiadra obok studni i sikają, gdzie chcą. Powinny pomagać rodzicom, ilekroć tego zażądają, ale też starać się spędzać dzień poza zasięgiem ich głosów. Dzieci należy uczyć modlitwy pod krzyżem w polu, a historii w miejscu, gdzie pospiesznie zakopano poległych, by po wojnie wykopać ich i przenieść na nieznany cmentarz.

Wskazane jest, żeby dziecko spało w łóżku z dziadkami, nawet jeżeli chrapią. Niech ma okazję głaskać ich po pomarszczonych twarzach i drażnić uszy słomkami wydłubanymi z siennika. Jeżeli dziadek lubi opowiadać, dziecko powinno zasypiać przytulone do niego jak do gniazda. Wszystko, co babcia poda do jedzenia, jest zdrowe, nawet gdyby lekarze twierdzili inaczej. Chleb przeżegnany będzie smakował nawet niewierzącemu. Kto w dzieciństwie włożył z ciekawości głowę do niewystygłego pieca, będzie zawsze z szacunkiem patrzył na hałdę węgla.

Mały człowiek powinien przynajmniej kilka letnich dni spędzić w stodole pełnej siana. Wieczorami należy wracać do domu z twarzą przypominającą ziemniak wygrzebany z ogniska. Dziecko polewane wodą w miednicy jest symbolem szczęścia. Myć się po kimś w tej samej wodzie nie jest zabronione. Dobrze, jeżeli w izbie jest zegar, który budzi w nocy.

Mrówki wygania się jedynie z kuchni. Zabijać wolno stonki i osy, ale te drugie tylko gdy są napastliwe. Kleiste lepy pod sufitem uczą dziecko godzić się z nieuniknionym. Na więcej grozy musi poczekać, aż dorośnie. Dziecko nie podniesie wiadra z wodą ani borni pełnej mleka. Może jednak podczas miodobrania nosić z pasieki do domu plastry napełnione miodem. Poza przypadkami uczuleń i wścieklizny wszystkie użądlenia i ugryzienia są zdrowe.

Jabłko jest najpiękniejszym owocem, mleko najlepszym tłuszczem, a pościel suszona na słońcu najpiękniejszą bielą. Posiłki należy spożywać na drewnianym stole. Wszyscy ludzie, których spotykasz w dzieciństwie, nawet głupi i brutalni, mają wokół głowy niewielką poświatę. ©

REKLAMA

JOSH GROBAN

18 GRUDNIA 2018
TAURON Arena
Kraków

NOWY ALBUM BRIDGES W SPRZEDAŻY OD 21.09

BILETY: PRESTIGEMJM.COM

JOSHGROBAN.COM

Prestige MJM 10 lat melo radio Gazeta Bankowa T3 WP cgm.pl jazz soul.pl Multikino empik STRÖER VIXON pap PRESS SERVICE

HISTORIA

SPÓR O PIŁSUDSKIEGO

Po 1918 roku Marszałek próbował ukształtować nową mapę Europy, z Polską jako ważnym podmiotem. Udało się czy nie?

DYSKUTUJĄ: ŁUKASZ JASINA, TOMASZ NAŁĘCZ, PRZEMYSŁAW ŻURAWSKI VEL GRAJEWSKI I MIKOŁAJ MIROWSKI

MIKOŁAJ MIROWSKI: Jakie były dominujące elementy w polityce zagranicznej Piłsudskiego? Czy ówczesną sytuację Polski można określić mianem dramatu peryferii, które nie mogły dobrze rozegrać swojej partii, bo brakowało im atutów?

TOMASZ NAŁĘCZ: Gdyby Polska leżała na peryferiach kontynentu, jak Szwecja czy Portugalia, byłoby to dla niej dobrodziejstwem. Leżymy jednak w centrum Europy, będąc przedmiotem zainteresowań najważniejszych graczy. W latach 1918-21 Piłsudski próbuje ukształtować nową mapę kontynentu, z Polską jako ważnym podmiotem. Potem pozostaje mu już tylko reagowanie na złe scenariusze.

Polityczna wizja Piłsudskiego okazała się bardzo przenikliwa. Historycy spierają się, kto pierwszy postawił na podmiotowość narodów: Lenin i bolszewicy, Niemcy z koncepcją Mitteleuropy? Tymczasem według mnie było to środowisko niepodległościowego socjalizmu i Piłsudski. On pierwszy pojął, że świat XX wieku ukształtują narody, skutecznie domagające się własnych państw.

Wykładowcy często szukają źródła, które prezentowałoby studentom tę koncepcję w skondensowanej formie. Wskazałbym tu na memoriał Piłsudskiego, złożony w japońskim ministerstwie spraw zagranicznych w 1904 r., w reakcji na wojnę japońsko-rosyjską. Potem w przebudowie kontynentu miała dopomóc wojna 1920 r. Nie można było zamienić rozległych prowincji imperium carów w suwerenne państwa bez odepchnięcia Rosji daleko na wschód. Sojusz suwerennych państw blokowałby ewentualne rosyjskie rewindykacje. O to toczyła się wojna w latach 1919-20. Ale ten cel nie został zrealizowany.

W Europie ukształtowanej na nowo Polska była państwem znaczącym, rozległym i ludnym. Dzięki nabytkom poczynionym kosztem Niemiec, zwłaszcza na Górnym Śląsku, miała też szansę na rozwój ekonomiczny. Ale nie na odgrywanie pierwszoplanowej roli.

Piłsudski postawił na sojusz z Francją, mimo że Francję na sztandarze miał wypisany jego śmiertelny wróg – endecja. Licząc na Francję, Marszałek czuł jednak, że Francuzi nie byli gotowi ginąć za Polskę. Głównym zaś wrogiem Polski według Piłsudskiego zawsze była Rosja, obojętne: carska, biała czy czerwona. Stąd nie miał oporów przed traktatem z państwami centralnymi, z Niemcami także, choć większość Polaków uważała je za śmiertelnego wroga. Piłsudski bał się współpracy rosyjsko-niemieckiej, która mimo całej przepaści ideowej i politycznej trwała od układu w Rapallo z 1922 r. Jak mógł sobie z tym poradzić? Trudno o inny manewr niż związanie się z Francją. Ale Francja traktowała nas arogancko, trochę jak w czasach napoleońskich: ich ambasador ma być w Warszawie najważniejszy, a jak się Polakom nie podoba, to i tak mają z nim współpracować.

Po 1933 r. sytuacja uległa zmianie, a Piłsudski szybko i umiejętnie się do niej dostosował. Od początku nie miał złudzeń w stosunku do Hitlera...

TN: Po dojściu Hitlera do władzy Niemcy straciły życzliwość, którą w Europie Zachodniej miała Republika Weimarska. Piłsudski dyskretnie, kanałem prywatnej dyplomacji poza MSZ, złożył Francuzom ofertę wspólnego zaprowadzenia porządku w Niemczech. Sprawdził w ten

HISTORY AND ART COLLECTION / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

Józef Piłsudski z oficerami polskimi oraz ukraińskimi ze sprzymierzonej z Polską armii Ukraińskiej Republiki Ludowej. Z prawej strony Marszałka Symon Petlura, naczelny dowódca wojsk URL. Rok 1920.

sposób, na ile Francja jest gotowa wypełnić rolę strażniczki traktatu wersalskiego. Chciał mieć czyste sumienie, zanim zaproponuje Hitlerowi pakt o nieagresji.

Ten układ został podpisany w 1934 r. Wcześniej, w 1932 r., analogiczny układ zawarto w Moskwie. Piłsudski chciał, by Moskwa i Berlin miały gwarancję, że przez terytorium Polski nie przejdzie agresja któregokolwiek z tych państw. Starał się, by napięcie międzynarodowe wyładowało się gdzie indziej.

Pakty o nieagresji to przejaw polityki równowagi – Piłsudski uważał, że sojusz z Berlinem lub Moskwą uzależniłby Polskę od którejś z tych potęg. Po podpisaniu traktatu z Niemcami powiedział: „Podpisałem to na 5 lat, za 5 lat sytuacja będzie zupełnie inna, mnie już wtedy nie będzie, a wy sobie z tym nie poradzicie". Czyli doraźnie w znakomity sposób ułożył klocki, ale nie zdołał przebudować całego pola. Nie zostawił też testamentu politycznego, choć spodziewał się śmierci i nawet przebieg swego pogrzebu zadysponował w najdrobniejszych szczegółach. Dlaczego? Bo nie miał pewności, jak się rozwiną wydarzenia, i sam nie wiedział, jaką decyzję podjąłby w reakcji na nie.

O swej wizji modelowania wschodu Europy Piłsudski tak pisał w liście z kwietnia 1919 r. do Leona Wasilewskiego: „W najbliższych czasach będę mógł otworzyć trochę drzwi do polityki związanej z Litwą i Białorusią. (...) nie chcę być ani imperialistą, ani federalistą, dopóki nie mam możności mówienia w tych sprawach z jaką taką powagą – no i rewolwerem w kieszeni. Wobec tego, że na bożym świecie zaczyna zdaje się zwyciężać gadanina o braterstwie ludzi i narodów i doktrynki amerykańskie, przechylam się z miłą chęcią na stronę federalistów". Czemu to się nie udało? Czy wiara w to, że inne narody pójdą z Polską, była naiwnością?

PRZEMYSŁAW ŻURAWSKI VEL GRAJEWSKI: Piłsudski wywodził się z rodzinnej, sentymentalnej tradycji powstania styczniowego. Litwę rozumiał jako Wielkie Księstwo Litewskie. A w momencie rozpadu Imperium Rosyjskiego i odradzania się Polski mieliśmy do czynienia z trzema Litwami: Kowieńską, Środkową i Białorusią – historyczna Litwa zaczęła się dzielić na rozmaite składniki etniczne. W chwili wkroczenia wojsk polskich [w 1919 r. – red.] Piłsudski wydał odezwę do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego, a nie do Litwinów, Białorusinów czy Polaków. Tymczasem polityczny naród Rzeczypospolitej rozpadł się po 1865 r. Polacy w 1914 r. dopiero zaczynali przyjmować do wiadomości odrębność ↦

↦ narodów dawnej Rzeczypospolitej. Piłsudski z początku badał, czy to pęknięcie jest głębokie, czy może jednak realne byłoby odtworzenie jakiejś wspólnej konstrukcji państwowej.

Niezwykle istotny jest tu czynnik francuski. Od klęski w wojnie prusko-francuskiej w 1870 r. Francja porzuciła sprawę polską. A w latach 90. XIX w. zakochała się w Rosji. Bolszewicy nie byli dla Paryża wrogiem klasowym, tylko czynnikiem, który sprawił, że kilkadziesiąt dywizji niemieckich, zwolnionych z frontu wschodniego, ruszyło na Paryż w czerwcu 1918 r. Francja poparła więc siłę, która obiecywała utrzymać Rosję w stanie wojny przeciw Niemcom, czyli białych Rosjan. Dopiero po klęsce Denikina Polska stała się aliantem zastępczym.

Trwałość naszego sojuszu z Francją wynikła z braku alternatywy?

PŻVG: Piłsudski musiał orientować się, kto z kim gra. W memorandum napisanym w 1904 r. dla władz Japonii przekonywał, że Imperium Rosyjskie należy rozpruć po szwach narodowościowych, a reszta jest instrumentem wykonania tego zadania. W odróżnieniu od Romana Dmowskiego, był praktykiem. W 1908 r., gdy Piłsudski założył Związek Walki Czynnej, Dmowski napisał książkę „Niemcy, Rosja i kwestia polska". Marszałek nie pozostawił prac teoretycznych, ale możemy domniemywać następujący tok rozumowania: Polska znajduje się między dwoma kamieniami młyńskimi – Imperium Rosyjskim i zjednoczoną Rzeszą Niemiecką. Żadnym wysiłkiem nie jest w stanie doprowadzić do państwowego rozbicia Niemiec. Polska posiada granicę etniczną z Niemcami, będzie więc miała też granicę polityczną, a przesunięcie jej nawet o kilkadziesiąt kilometrów nie zmieni natury różnic potencjału między Polską a Niemcami. Natomiast Polska nie ma granicy etnicznej z Rosją, więc nie musi mieć z nią granicy politycznej. Warunkiem wyskoczenia z pułapki jest rozbicie kamienia rosyjskiego, a tu rozstrzygający jest czynnik ukraiński, z uwagi na jego potencjał demograficzny i terytorialny.

W 1920 r. Polska spróbowała opanować prawobrzeżną Ukrainę i wytrzymać kilka miesięcy, dając administracji powstającego państwa ukraińskiego czas na stworzenie armii, która mogłaby utrzymać front południowy. Wtedy Polacy przerzuciliby się na Białoruś i utrzymali front północny. Jednak Ukraińcy zbierali się za wolno, a Polacy wytrzymali za krótko. W tej sytuacji gra, która miała zmienić geopolitykę europejską, mimo zwycięstwa militarnego nad Wisłą i Niemnem w 1920 r., zakończyła się fiaskiem. Zapewne ten projekt jako jedyny mógł – choć nie musiał – ocalić istnienie Polski i innych państw w regionie.

Wolty Piłsudskiego zdumiewająco dobrze odpowiadały duchowi czasu. Stworzył Legiony, pierwsze regularne polskie wojsko w kraju od 1831 r., po czym w wyniku kalkulacji politycznej rozkazał żołnierzom iść do obozów internowania. Jaką trzeba mieć siłę charakteru, by zniszczyć własne dzieło! A okazało się to jedynym rozsądnym wyjściem. Bo co by się stało, gdyby Polska skończyła I wojnę światową w obozie państw centralnych? Francja odmówiła wiz na konferencję w Paryżu wszystkim członkom delegacji ukraińskiej uczestniczącym wcześniej w podpisywaniu pokoju brzeskiego, uznając ich za kolaborantów niemieckich.

Spójrzmy na rok 1939 i politykę ministra spraw zagranicznych Józefa Becka. Jestem krytykiem publicystyki Rafała Ziemkiewicza i koncepcji Piotra Zychowicza zawartych w książce „Pakt Ribbentrop–Beck". Ale weźmy pod uwagę taki cytat z Piłsudskiego: „Mając te dwa pakty, siedzimy na dwóch stołkach. To nie może trwać długo. Musimy wiedzieć, z którego spadniemy najpierw i kiedy". Czy sojusz z Hitlerem nie mieści się w wizji polityki równowagi, prowadzonej przez Marszałka?

ŁUKASZ JASINA: Jestem daleki od obwiniania Becka za całe zło. W jakiejś mierze był on nieodrodnym uczniem realistycznej polityki Piłsudskiego. Próbował siadać na różnych stołkach, spadał z nich, przerzucał zainteresowania, starał się podejmować decyzje zależnie od bieżących okoliczności. Prowadził ryzykowną grę – nie mógł prowadzić innej – i w tym sensie robił to, co Piłsudski. Nie miał szczęścia, nie miał w swoim życiorysie roku 1918 i tego wszystkiego, co zmazało wiele oskarżeń formułowanych wobec Marszałka.

Nigdy się nie dowiemy, co w 1939 r. zrobiłby Piłsudski. Dla niego podstawowym celem było istnienie niepodległego państwa polskiego, ocalenie go, parafrazując Miłosza: zatrzymanie koła historii jak najdłużej się da. W grę wchodziły różne ewentualności, w tym jakaś forma porozumienia z Hitlerem, choć nie taka prosta i bezrefleksyjna jak w książce Zychowicza.

Piłsudski był jednak człowiekiem swojego pokolenia. W latach 30. zaczynał już popełniać błędy w ocenie sytuacji. Koła historii stawały się od niego silniejsze, a on coraz mniej je rozumiał. Stalin reprezentował zupełnie inny geopolityczny sposób myślenia niż znana Piłsudskiemu carska Rosja, która nigdy nie dążyła do dominacji nad całym światem.

Dzisiejsi polscy przywódcy powinni nauczyć się od Piłsudskiego, że najważniejszym celem jest zapewnienie państwu dobrego trwania w ścierających się systemach i blokach politycznych, czemu powinna służyć umiejętność nawiązania każdego sojuszu, który jest dla państwa wartościowy. Oszukuj, wypieraj się, zmieniaj sojusze, ale rób wszystko dla Polski.

Testamentem Piłsudskiego jest właśnie jego realizm. Choć nigdy nie miał czasu na porządne studia uniwersyteckie, to był niezwykle oczytany, świetnie wychwytywał aktualne prądy ideologiczne i potrafił się nimi posługiwać, przybierając kiedy trzeba maskę czerwoną, a kiedy indziej białą. Piłsudski jest nam potrzebny nie jako uroczy Dziadek z córkami, tylko jako człowiek, który wnosi coś do dyskusji o współczesnej polskiej polityce.

Być może ostatnim momentem na weryfikację sojuszy – i dogadanie się z Czechosłowacją – była konferencja monachijska w 1938 r. Jednak politycy sanacyjni nie byli do tego zdolni.

ŁJ: Czechosłowacja też nie uczyniła nic w tym kierunku. Oba kraje nie myślały o sobie jako o potencjalnych sojusznikach.

TN: Nie podzielam tej opinii. W maju 1938 r. elity czechosłowackie chciały się bronić. Ale następcy Piłsudskiego podporządkowali rację stanu polityce wewnętrznej. Zajęcie Zaolzia było jednym z motorów kampanii wyborczej Obozu Zjednoczenia Narodowego. Podobało się to narodowi, organizowano wycieczki do kawałka Polski wyrwanego spod przemocy czechosłowackiej. Następcy Piłsudskiego nie dorastali Marszałkowi do pięt.

Zastanawiając się, co by zrobił Piłsudski w 1939 r., musimy pamiętać, że w latach 30. toczył on już bój z chorobą. Być może w 1939 r. przypominałby Breżniewa z ostatnich lat rządów. Każda głupota zrobiona przez ekipę rządzącą szłaby

na konto Piłsudskiego, którego stan utrzymywano by w tajemnicy. To zaważyłoby na ocenie jego życia. Zakładając jednak, że Marszałek byłby w pełni sił, sądzę, że dostrzegłby w 1938 r. ostatnią szansę na powstrzymanie Hitlera.

PŻVG: Czesi niestety zapewne zażądaliby przyłączenia do sojuszu Sowietów, czyli otwarcia terytorium Polski na przemarsz Armii Czerwonej. A to było nie do przyjęcia.

Spójrzmy na sytuację oczyma ówczesnych ludzi. Polska miała sojusz z Francją, będącą wówczas imperium, które rozciągało się na połowę Afryki i Indochiny. Od sierpnia 1939 r. mieliśmy też gwarancje brytyjskie i sojusz z Imperium Brytyjskim, sięgającym od Kanady po Nową Zelandię. Kto mógł przewidzieć, że Francja popełni samobójstwo i nie wykona sojuszniczych zobowiązań, za co w 1940 r. zostanie ukarana utratą niepodległości na cztery lata? Nikt nie wyobrażał sobie, że armia niemiecka jest tak potężna. Zresztą z pracy Mariana Zgórniaka „Europa w przededniu wojny" wynika, że potencjał wojskowy koalicji polsko-francusko-brytyjskiej wystarczyłby do zmiażdżenia III Rzeszy. Dziś porozumienie niemiecko-sowieckie [zawarte 23 sierpnia 1939 r. – red.] wydaje się czymś naturalnym, ale wiosną 1939 r. oni jeszcze do siebie strzelali w Hiszpanii. Z kolei scenariusz sojuszu z Czechosłowacją wymagałby pewności, że na wypadek wojny nie zostaniemy sami – porównywalnej do współczesnego założenia, że NATO nas zostawi. Ochotnicze przystąpienie do wojny z Niemcami wiązałoby się z ogromnym wysiłkiem politycznym – w dodatku w imię obrony nielubianej Czechosłowacji. To wygląda łatwo tylko przy kawiarnianym stoliku.

Jaki jest więc bilans polityki zagranicznej Piłsudskiego?

TN: Najkrócej mówiąc, dodatni. Z tym zastrzeżeniem, że nawet dobra polityka Polski nie była w stanie zmienić wielkiej gry europejskiej i światowej, w której nasz kraj nie odgrywał istotnej roli.

PŻVG: Jest to bilans zdecydowanie pozytywny. Składają się nań: po pierwsze, szkoła realizmu politycznego. Pozbawiona doktrynerstwa zdolność do manewrowania zgodnie z dynamicznie zmieniającą się sytuacją i zachowanie szacunku dla partnerów prowadzonej gry, choćby byli słabi – jak Ukraińcy czy potem gruzińscy emigranci.

Najważniejszym dziedzictwem Piłsudskiego jest idea takiego zorganizowania Europy Środkowo-Wschodniej, aby **uniemożliwić odrodzenie Imperium Rosyjskiego.**

Po drugie rozmach, gdy trzeba – czyli próba rozbicia Imperium Rosyjskiego „po szwach narodowościowych". I umiar, gdy trzeba – czyli brak ambicji imperialnych. Polska mogła pokonać i anektować Litwę kowieńską czy łotewską Łatgalię z liczną mniejszością polską. Tylko po co – aby mnożyć wrogów i ogniska irredenty wewnątrz państwa?

Po trzecie, brak klientelizmu, który groził Polsce w relacjach z Francją. W polityce Piłsudskiego liczył się przede wszystkim interes Rzeczypospolitej i żadne obce autorytety nie miały tu nic do powiedzenia. Wódz naczelny wojsk alianckich w Europie, marszałek Ferdynand Foch, wzywał Piłsudskiego do koordynacji uderzenia na bolszewików z akcją „białych" Rosjan Denikina latem-jesienią 1919 r. Gdyby Naczelnik go posłuchał i gdyby to „biała" armia rok później szła na *istinno russkij gorod* Warszawę, nie dostalibyśmy z Francji pary dziurawych butów dla Wojska Polskiego. Chłodny realizm Piłsudskiego, jego pewność siebie i swych polskich racji – przyjęcie zasady, że nie ma powodu, by z nich ustępować wobec racji cudzych – to kolejna cecha jego polityki, ujęta w słynnym „Głowę należy nosić wysoko".

Po czwarte, rola wojska jako gwaranta istnienia państwa – świadomość, że w polityce liczy się „siła i to, co siłę stanowić może" (to cytat z Maurycego Mochnackiego, ale dobrze oddaje naturę polityki Naczelnika). Świadomość wagi faktów dokonanych, nieczekanie na pozwolenie i autoryzację z zewnątrz, przy wspomnianym już umiarze i realizmie – np. braku otwartego angażowania się w powstanie wielkopolskie czy w powstania śląskie.

Jednak najważniejszym dziedzictwem Piłsudskiego jest idea takiego zorganizowania Europy Środkowo-Wschodniej, by uniemożliwić odrodzenie się Imperium Rosyjskiego. Tak jak naczelnik Kościuszko pozostawił Polakom ideę włączenia chłopów do polskiego narodu politycznego, który to program został zrealizowany i zaowocował niepodległością, tak naczelnik Piłsudski pozostawił nam ideę Międzymorza, w swym celu jasną i wciąż aktualną: ideę współpracy narodów położonych między Rosją a Niemcami, o sukcesie której rozstrzygają dwa największe z nich – Polacy i Ukraińcy.

ŁJ: Piłsudski był twórcą nowoczesnego polskiego patriotyzmu politycznego i chyba najlepszym ministrem spraw zagranicznych w historii Polski, choć tego stanowiska nigdy nie zajmował. Złożyło się na to wiele przyczyn – charakter i talent samego Marszałka, jego ukształtowanie przez kulturę polityczną dawnej Rzeczypospolitej, która dała mu oddech mocarstwowy i geopolityczny.

Nie licząc okresu schyłkowego, Piłsudski był mistrzem działań sytuacyjnych i zmian sojuszy, a także decydowania o sprawie, która jest odwieczną zmorą państw słabszych: czasem trzeba mierzyć „siły na zamiary", a czasem „zamiar podług sił". Piłsudski miał w tej sprawie szczęście. Polityka zagraniczna to naprzemiennie podejmowanie ryzyka i niepodejmowanie go. Nie każdy musi mieć szczęście Marszałka. Ale można go naśladować w niepopadaniu w intelektualną stagnację.

© Rozmawiał MIKOŁAJ MIROWSKI

Dyskusja jest fragmentem książki „Piłsudski (nie)znany. Historia i popkultura", składającej się z szeregu debat prowadzonych przez Mikołaja Mirowskiego i ukazującej się właśnie nakładem Muzeum Historii Polski.

DR ŁUKASZ JASINA – *historyk i filmoznawca, analityk Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych.*

PROF. TOMASZ NAŁĘCZ – *historyk, w latach 2010-15 doradca prezydenta RP Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego.*

PROF. PRZEMYSŁAW ŻURAWSKI VEL GRAJEWSKI – *politolog, członek Narodowej Rady Rozwoju przy prezydencie RP i gabinetu politycznego ministra spraw zagranicznych Jacka Czaputowicza.*

DR MIKOŁAJ MIROWSKI – *historyk, pracuje w Muzeum Historii Polski, w Muzeum Powstania Warszawskiego prowadzi cykl „Warszawa dwóch Powstań".*

UKŁAD OSOBLIWOŚCI

Mgławice księżycowe, rodziny asteroid, naturalne satelity o wyglądzie „Gwiazdy Śmierci". W Układzie Słonecznym nie brakuje interesujących obiektów – a ciągle odkrywamy nowe.

PIOTR STANKIEWICZ

Zaobserwowana w 2017 r. ʻOumuamua, pierwsza znana asteroida pochodząca z przestrzeni międzygwiazdowej, pojawiła się ponownie w obiegu medialnym. W listopadzie dwóch naukowców z Uniwersytetu Harvarda, Shmuel Bialy i Abraham Loeb, opublikowało bowiem artykuł, w którym analizują, czy nie jest ona sondą kosmiczną wysłaną przez obcą cywilizację. Prawdopodobnie nie jest... ale spieszę z pocieszeniem: kosmos i tak jest pełen osobliwości. Nie trzeba czekać na gwiezdnych posłańców, bo w starym i wciąż nie tak dobrze znanym Układzie Słonecznym jest mnóstwo bardzo ciekawych rzeczy. I ciągle odkrywamy nowe.

Haumea

Zacznijmy od najdalszych rejonów Układu – tego, co znajduje się poza orbitą Neptuna. Krąży tam m.in. Haumea, planeta karłowata.

Krąży naprawdę daleko. Orbita Haumea rozciąga się od 5 do 7 mld km od Słońca. Gdy znajduje się najdalej, światło Słońca – pokonując milion kilometrów w każde trzy sekundy – potrzebuje... siedmiu godzin, by do niej dotrzeć. A nawet w najbliższym punkcie orbity jest wciąż tak daleko, że ludzkie oko widziałoby Słońce nie jako znaną nam z ziemskiego nieba tarczę, ale jako punkt, jedną z gwiazd, tyle że wielkiej jasności. Obieg Haumei wokół Słońca trwa 284 lata. Odkryto ją na początku XXI w., więc pierwsze pełne okrążenie od tego czasu ukończy dopiero pod koniec XXIII stulecia.

Te liczby nie są jednak osobliwe. Haumea dzieli je z całymi stadami obiektów transneptunowych, z których część krąży jeszcze dalej. Dla przykładu: odkryta w 2003 r. Sedna oddala się od Słońca niemal 1000 razy dalej niż Ziemia, a jeden obieg zajmuje jej 11 400 lat ziemskich. Tym, co czyni Haumeę naprawdę wyjątkową, są jej cechy fizyczne. Ma dość nieziemski kształt – najprawdopodobniej jest elipsoidą trójosiową.

Wyjaśnijmy to. Globus szkolny to zwykle kula. Ziemia w rzeczywistości jest spłaszczona na biegunach – jest więc elipsoidą obrotową (tak jak większość dużych ciał niebieskich). Ma dwie osie: promień biegunowy i promień równikowy różnią się od siebie. Stojąc na biegunie, jesteśmy trochę bliżej do środka Ziemi, niż gdy stoimy na równiku. Jednak długość geograficzna nie ma już znaczenia, możemy przespacerować się dookoła planety po równiku (lub jakimkolwiek innym równoleżniku) i nasza odległość od środka pozostanie stała. Na Haumei będzie się to zmieniać: stojąc na równiku na południku 80 W będziemy w zupełnie innej odległości od środka niż na równiku na południku 150 E. Na tym właśnie polega trójosiowość: promień zmienia się nie tylko z szerokością, ale też z długością geograficzną (czy haumeagraficzną w tym wypadku).

Jest to niespotykane wśród ciał niebieskich tej wielkości. Co więcej, Haumea wiruje bardzo szybko – obrót wokół osi zajmuje jej zaledwie cztery godziny. Choć na obecne stulecie nie jest planowana żadna wyprawa na Haumeę, to wszyscy przyszli astronauci będą musieli uważać: inaczej niż na Ziemi, gdzie wszędzie się waży mniej więcej tyle samo, na powierzchni Haumei przyspieszenie grawitacyjne zależy od tego, gdzie się wyląduje.

Do tego wszystkiego należy dodać dwa księżyce (Namakę i Hiʻiakę) i pierścienie – rzadkość w świecie planet karłowatych. Skład chemiczny księżyców sugeruje, że nie są one jakimiś przypadkowymi obiektami, które Haumea przechwyciła na swojej drodze przez kosmos, ale przeciwnie – że powstały z niej. Są prawdopodobnie produktem dawnego zderzenia, które powyrywało z pra-Haumei fragmenty, które stały się jej księżycami.

To dawne zderzenie stworzyło również kilkanaście innych asteroid – o romantycznych nazwach, takich jak (55636) 2002 TX300 czy (19308) 1996 TO66 – które okrążają Słońce po orbitach bardzo podobnych do orbity Haumei. Wspólnie tworzą tzw. rodzinę asteroid, czyli grupę obiektów o podobnym składzie chemicznym i zbliżonych orbitach, powstałych w wyniku kolizji „obiektu-matecznika" z innym ciałem niebieskim w odległej przeszłości. Rodzina Haumei jest jedyną taką rodziną poza orbitą Neptuna.

Stąd do Gibraltaru

Zróbmy teraz duży skok w stronę Słońca, do układu Saturna. Ma on kilkadziesiąt naturalnych satelitów, w tym aż 24 „normalne" księżyce, czyli takie, które

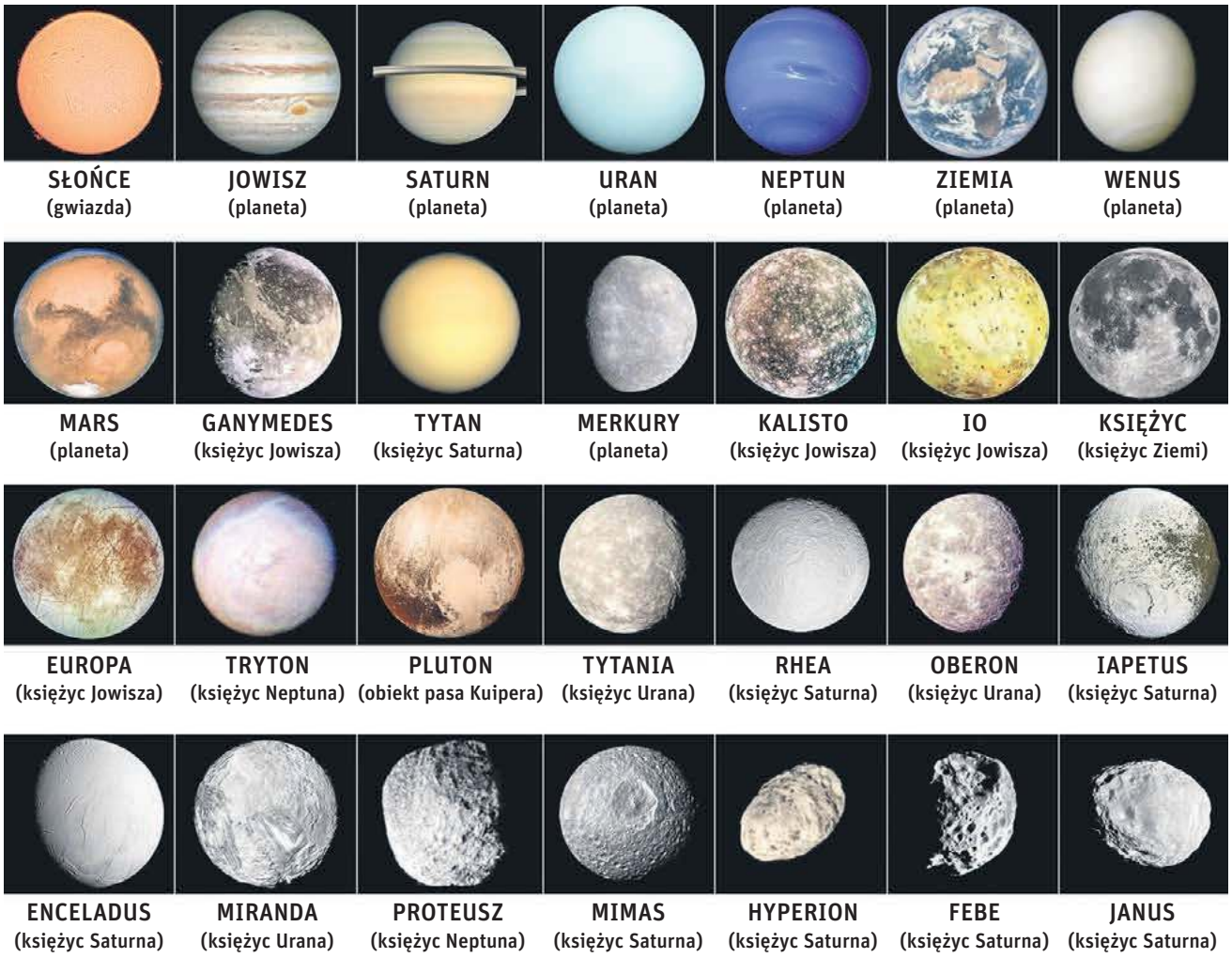

WIKIPEDIA

Niektóre ciała niebieskie Układu Słonecznego

krążą zgodnie z obrotem samej planety i w płaszczyźnie zbliżonej do jej równika. Siedem z nich to „klasyczne", względnie duże księżyce, odkryte jeszcze przed rewolucją francuską. Najmniejszy z tej siódemki nazywa się Mimas. Imię pochodzi od jednego z gigantów w greckiej mitologii, a z wyglądu przypomina... Gwiazdę Śmierci z „Gwiezdnych wojen".

Najbardziej wyrazistym tworem na powierzchni Mimasa jest gigantyczny krater Herschela.

Ma 140 km średnicy, co nie lokuje go bynajmniej na podium największych kraterów w Układzie Słonecznym, ani nawet w pierwszej czy drugiej dziesiątce (by nie szukać daleko: Morze Deszczów na naszym Księżycu jest przeszło dziewięciokrotnie większe). Tak się jednak składa, że cały Mimas ma ledwie 400 km średnicy. Krater jest więc wielkości jednej trzeciej całego księżyca i można przypuszczać, że uderzenie, które stworzyło Herschela, było niewiele słabsze niż takie, które rozbiłoby już księżyc na kawałki (jak Haumeę).

Gdyby przenieść krater Herschela na Ziemię, to przy zachowaniu proporcji byłby głęboki na, bagatela, 350 km, a ściany wznosiłyby się na wysokość 160 km. Trudno sobie w ogóle coś takiego wyobrazić. Jeśli środek krateru wypadłby w Krakowie, to jego brzegi sięgnęłyby Gibraltaru z jednej strony, Islandii z drugiej, a turkmeńskich wybrzeży Morza Kaspijskiego z trzeciej strony.

To niejedyna osobliwość Mimasa: jest on zarazem najmniejszym obiektem Układu Słonecznego, który własna grawitacja zamknęła w kształt kulisty. Asteroidy i inne małe ciała mogą oczywiście przyjmować wszystkie kształty wszechświata, ale od pewnej wielkości własne przyciąganie grawitacyjne „zaokrągla" ciała niebieskie, sprawiając, że przybierają dobrze nam znany kształt kulisty. 400 km średnicy Mimasa to właśnie okolice tej granicy. Istotnym czynnikiem jest też jego niska gęstość, wynosząca zaledwie 1,15 gęstości wody (dla porównania: średnia gęstość Ziemi to 5,5), która każe przypuszczać, że Mimas składa się w znacznej mierze z lodu, z niewielką tylko domieszką skał.

Zagubione w przestrzeniach

Niewielki obiekt o wdzięcznej nazwie J002E3 został odkryty przez astronoma-amatora Williama Yeunga we wrześniu 2002 r. Z początku wydawało się, że jest asteroidą, jakich wiele (wiele w ogóle i wiele dla samego Yeunga: w chwili obecnej ma na koncie ponad 2 tysiące odkrytych asteroid). Szybko się jednak okazało, że coś nie gra: J002E3 nie był na orbicie heliocentrycznej, ale na dalekiej, niestabilnej orbicie związanej raczej z Ziemią. Wsteczne obliczenia wykazały, że pojawił się w okolicy naszej planety jakieś 30 lat wcześniej, a analiza spektrograficzna przyniosła zaskakujący rezultat. Powierzchni J002E3 nie pokrywa bynajmniej skała, pył czy lód, ale... farba i aluminium. Statek obcych? Bynajmniej. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa J002E3 to trzeci stopień rakiety Saturn V, która w listopadzie 1969 r. zaniosła na Księżyc załogę „Apollo 12". ↦

↦ Trzeci stopień rakiety rozpędzał statek „Apollo” z pierwszej do drugiej prędkości kosmicznej, czyli z niskiej orbity ziemskiej przenosił go na trajektorię w stronę Księżyca. Po spełnieniu tej roli odłączał się i nie był więcej potrzeby. Początkowo w ramach programu „Apollo” zużyte trzecie stopnie rakiet po prostu ginęły w przestrzeni na orbitach heliocentrycznych. Dopiero od „Apolla 13” trzecim stopniem sterowano tak, by trafił w Księżyc i rozbił się o niego wytwarzając wstrząs, który rejestrowały sejsmografy zostawione na powierzchni przez poprzednie misje.

Jeszcze ciekawiej było z obiektem 2007 VN84. W listopadzie 2007 r. program Catalina Sky Survey z amerykańskiej Arizony – poszukujący drobnych ciał niebieskich bliskich Ziemi – odkrył nową asteroidę, a przynajmniej tak się z początku wydawało. Obliczenia orbity wskazywały, że minie ona Ziemię w niepokojąco bliskiej odległości. Rosyjski astronom Denis Denisenko zauważył jednak, że „asteroida” nie jest bynajmniej skalnym głazem lecącym sobie po absurdalnie losowej trajektorii... ale obiektem o najwyższym stopniu skomplikowania technicznego, a mianowicie sondą „Rosetta”, która – w pełni planowo – mijała właśnie Ziemię w drodze na spotkanie z kometą Czuriumow-Gierasimienko. Chciałoby się powiedzieć, że Układ Słoneczny nie tylko jest pełen zagadek sam z siebie, ale czasem ludzkość stawia je też samej sobie.

Wątki polskie

Żaden gabinet osobliwości nie byłby kompletny bez motywu polskiego. Warto więc pamiętać, że w latach 60. XX w. Polak, Kazimierz Kordylewski, wysunął koncepcję, że Ziemia może mieć... więcej księżyców niż ten jeden, który „po raz pierwszy pokazała nam matka” w wierszu Gałczyńskiego. To nie żart ani pomyłka. Tzw. pyłowe księżyce Kordylewskiego (chciał je ponoć nazwać „księżycami polskimi”, co się nie przyjęło) to koncentracje pyłu w czwartym i piątym punkcie Lagrange’a układu Ziemia-Księżyc.

Punkty Lagrange’a to nic innego jak wierzchołki trójkątów równobocznych, których podstawę stanowi odcinek Ziemia-Księżyc. Mówiąc jeszcze prościej: są to miejsca na orbicie Księżyca o 60 stopni „za” i 60 stopni „przed” nim. Z fizyki wynika – szczegóły muszę pominąć – że obiekty umieszczone w tych punktach będą wysoko stabilne, to znaczy będą miały tendencję, by raz tam umieszczone, w tych właśnie punktach pozostawać.

Kazimierz Kordylewski wyciągnął stąd wniosek, że w punktach Lagrange’a będzie gromadził się pył (bo jeśli dostanie się tam w ten czy inny sposób, to już raczej tam zostanie). Kordylewski zapostulował istnienie tych „pyłowych księżyców” w latach 60., a wiosną roku 1961 zaobserwował je z Kasprowego Wierchu i obserwacje te opisał (po niemiecku) w „Acta astronomica”. Problem jest jednak taki, że obserwacje te są ekstremalnie trudne: pyłu w punktach L4 i L5 jest w praktyce niewiele więcej niż w przestrzeni międzyplanetarnej jako takiej, a próba wychwycenia słabej poświaty pochodzącej od nich jest bardzo trudna. Dopiero w październiku 2018 r. ich istnienie potwierdzono ponownie i chyba już ostatecznie.

Poznać siebie samego

Największą osobliwością Układu Słonecznego nie są jednak ani mgławicowe księżyce, ani kratery, ani wypalone pudła rakiet. Jest bowiem w naszym Układzie planeta, która jako jedyna nie została nazwana od imienia greckiego czy rzymskiego boga.

Jest ona najgęstszym obiektem w Układzie Słonecznym, jedynym, na którego powierzchni znajdują się otwarte i stabilne zbiorniki wody w stanie ciekłym. Jest to największa z planet skalistych, jedyna, której atmosfera obfituje w tlen, jedyna na której występuje życie, a także – co może nawet istotniejsze – jedyna zdolna do podtrzymywania życia w postaci, którą znamy. Obraca się wokół osi raz na każde 23 godziny, 56 minut i 4 sekundy, a nazywa się oczywiście Ziemia, choć powinna się raczej nazywać Woda. Średnia temperatura jej powierzchni to – na razie! – przyjemne 15 stopni Celsjusza. Dwa bieguny, jeden duży naturalny satelita, tysiące sztucznych i mnóstwo śmieci na niskich orbitach.

Nie wiemy, jak bardzo jest wyjątkowa w skali całego wszechświata, ponieważ nie mamy egzemplarza porównawczego, jakiejś Ziemi B. Warto więc zadbać, by nie zniszczyć oryginału. Puenta niby oczywista, ale jakoś ciągle nie przekłada nam się na działanie. © PIOTR STANKIEWICZ

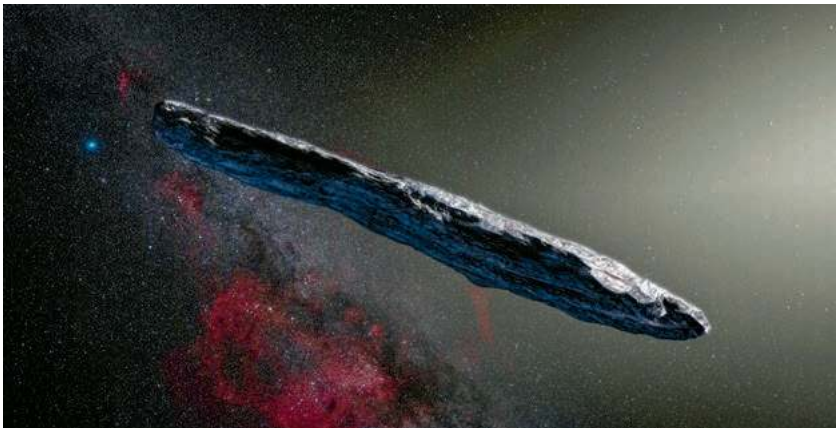

EUROPEJSKA AGENCJA KOSMICZNA

Nieoczekiwany przybysz

‘OUMUAMUA TO ASTEROIDA, pierwszy w historii obiekt pochodzący z przestrzeni międzygwiezdnej odkryty (w 2017 r.) w chwili, gdy przechodził przez Układ Słoneczny. Wiąże się z nią niejedna zagadka, w tym ta, że jej trajektoria odchyla się od klasycznej orbity keplerowskiej. Odchylenie odpowiada temu, czego oczekiwalibyśmy w przypadku komet, na których orbitę wpływa stała emisja gazów z powierzchni, ale ‘Oumuamua kometą nie jest – nie zaobserwowano wokół niej żadnego obłoku gazu. Jedna z hipotez mówi, że przyczyną jest ciśnienie promieniowania słonecznego. Jest ono jednak bardzo słabe – liczby zgadzają się tylko, jeśli przyjąć, że ‘Oumuamua jest cienka jak kawałek blachy. W tym też kontekście pojawiła się spekulacja, że jest ona pochodzenia sztucznego. Rzecz jasna, większość naukowców podchodzi do tego sceptycznie, niemniej pytanie o to, co odchyla ‘Oumuamuę z jej toru, pozostaje otwarte. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MAGAZYN POWRACA

dzięki darowiznom
od Czytelników
na rzecz naszej Fundacji
oraz Wydawcom
i instytucjom kultury.

Zapraszamy do kontaktu:
reklama@tygodnik.com.pl
tel. 602 590 414.

Następne wydanie
już 12 grudnia!

„Książki w Tygodniku" pozbawione dotacji MKiDN

NAJPIERW SĄ POMRUKI

TOMASZ RÓŻYCKI:

Poezja jest związana z chodzeniem. Bez spacerowania, czyli poznawania świata, nie ma wierszy. W najgorszym razie chodzę dookoła kuchni.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Pamiętasz każdy wiersz ze swoich siedmiu tomików?

TOMASZ RÓŻYCKI: Na pamięć nie, ale pamiętam o wszystkich. Ja nawet pamiętam, w jakich sytuacjach powstawały.

Naprawdę? To w jakiej sytuacji powstał ,,To mój pokój"?

Pisałem go w hotelu na Manhattanie, na dwudziestym którymś piętrze albo i wyżej, w czasie mojego pierwszego pobytu w Nowym Jorku i w ogóle w Ameryce. Kiedy windą wjechałem tam w nocy, to miałem wrażenie, że jeszcze nie wylądowałem i nadal jestem w samolocie. Bardzo mi się to podobało, że trochę przebywam w chmurach. Naprzeciwko drugi wieżowiec i ludzie w biurach, pracujący nawet w nocy. Nie tylko pracujący zresztą, bo było tam widać dużo różnych sytuacji prywatnych – po prostu mężczyźni i kobiety o drugiej w nocy w pomieszczeniach biurowych, z jakiegoś powodu spędzający tam noc. Na dole, bardzo daleko, była ulica i przechodzili malutcy ludzie, bardzo malutcy. Przeważnie podchodzili do sklepiku z neonem „Liquors & Wines". W pokoju burczała klimatyzacja. Bez niej ciężko było zasnąć, z nią zresztą też.

Od razu ten wiersz napisałeś?

W przeciągu tygodnia, jak na mnie błyskawicznie. Bo zwykle długo szukam formy, początkowo jestem zachwycony lub przerażony, zmęczony, obojętnie odrętwiały, oszołomiony czy zdziwiony, ale z tych emocji rzadko kiedy powstają wiersze. Potrzebuję dystansu.

I co dalej?

Zaczyna się od zdania, które chodzi mi po głowie i staram się je zapamiętać. Potem drugie, trzecie. Powtarzam sobie te zwrotki, zazwyczaj zapamiętuję wszystko. Mruczę do siebie. Potem zapisuję je w notatniku, który mam zawsze przy sobie. Zaczynam wiersz, piszę do miejsca, po którym nie wiem, co dalej, potem robię kreskę i zaczynam go od nowa, w międzyczasie może przyjdzie kolejna linijka, zdanie, potem znowu kreska i jeszcze raz. W ten sposób robię od kilku do kilkunastu razy. Pokażę ci ten notatnik.

Zeszyt w czarnej okładce, gęsto zapisany, nic tu się nie da odczytać.

Bywa, że sam siebie nie mogę odczytać.

Czasem przed zaśnięciem wyświetla mi się świetny wers, szukam wtedy kartki przy łóżku i zapisuję po ciemku. Gdy czytam po przebudzeniu, nie mam pojęcia, o czym to jest. To jak w tym dowcipie, że męczy cię coś i przewracasz się na łóżku, aż wreszcie w środku nocy wyświetla ci się w malignie sennej rozwiązanie zagadki wszechświata, siłą woli zwlekasz się z łóżka i zmuszasz, by poszukać kartki i czegoś do pisania, gorączkowo notujesz, nareszcie zasypiasz z poczuciem kosmicznej ulgi. Rano szybko biegniesz do kartki, a tam jest napisane: „Kowalski to dupa".

Euforia jest zwodnicza?

Bardzo. Dlatego tak istotny jest ten dystans. Możesz próbować odtwarzać emocje, ale do tego ich nie potrzebujesz, tylko zimnych słów. Odpowiednich słów, niekoniecznie pierwszych, które przychodzą. Niekoniecznie też ostatnich.

A euforia czytelnika? Jako chłopiec czytałeś wiersz, który cię olśnił?

Ojciec z pamięci mówił „Ballady" Mickiewicza i to robiło na mnie ogromne wrażenie. Słuchałem ileś tam razy, potem go prosiłem, by jeszcze raz powtórzył, szczególnie lubiłem „Panią Twardowską", „Trzech Budrysów", „Powrót taty", „Czaty", „Ucieczkę". W jego wykonaniu robiło to ogromne wrażenie, natychmiast wyobrażałem sobie cały ten świat. I doświadczałem niesamowitości, że wiersze są o dziwnych rzeczach, trochę strasznych, a trochę śmiesznych, i za pomocą kilku wyrazów można stworzyć atmosferę.

Ojciec, człowiek ze Lwowa, miał dużo zabawnych powiedzonek, czasem – kiedy spotkał kogoś znajomego – potrafił mówić bałakiem. To też robiło na mnie wrażenie.

Co szczególnie?

Sama melodia takich zdań. Albo na przykład takie „nasermater". Przekleństwo, ale jakie piękne. Wystarczyło też, że przyszła sąsiadka i powiedziała coś takiego: „Galirety narubiła... Pińć dni stała, nikt do ust nie wziął – taka była piszna! Aż wczora mój Franyk pijany z pracy wrócił i wszystku zeżar". Każdy ma doświadczenia z jakimiś powiedzonkami, czy z taką lub inną gwarą, staje się to czasem częścią mitologii dzieciństwa, jakimś sentymentalnym rupieciem na strychu albo w piwnicy.

↦

Tomasz Różycki, Kalifornia, 2011 r.

SLAV ZATOKA

↦ **A co jeszcze z olśnieniami czytelniczymi?**

W podstawówce nie zapowiadałem się na pisarza, polonistki chyba się niczego po mnie nie spodziewały. Do klasy humanistycznej zdałem wyłącznie ze względu na historię, którą interesowałem się od zawsze.

W liceum ogromne wrażenie zrobili na mnie Schulz i Gombrowicz. To były nasze lektury w szkole i zachwyciły mnie, zresztą chyba jedyne lektury, jakie wtedy przeczytałem. Schulz był olśniewający, Gombrowicz wyzwalający, ale chyba wspólne było to, że i „Sklepy cynamonowe", i „Ferdydurke" były próbą znalezienia tego „prawdziwego życia" czy „życia, które jest gdzie indziej". U Schulza przecież mamy małe miasteczko, nudne i brzydkie na co dzień, które staje się fantastycznym tłem dla cudownych wydarzeń, choć są to najzwyklejsze wydarzenia. Cofnięcie w dzieciństwo, gdzie małe gesty mają kosmiczny wymiar, bo budują świat, a u Gombrowicza 30-letni bohater śni sen, że wraca do szkoły i rekonstruuje świat. No więc trochę tak to zobaczyłem.

Zobaczyłeś swoje „prawdziwe życie"?

O ogródku mojej babci można przecież opowiedzieć tak samo jak o ogródku w Drohobyczu, a Gombrowicz demaskował nasze uwikłanie w codzienne rytuały. To wszystko sprzyjało oczywiście wyobcowaniu, ale chyba o to trochę chodzi – żeby poczuć się innym. Nie to, że odrzucasz wspólnotę – ale szukasz innej, zbudowanej na innych zasadach.

Co się wydarzyło, że zacząłeś pisać?

Nie mam pojęcia, nie ma na takie rzeczy wyjaśnienia. Jeśli ktoś wierzy w przeznaczenie, to ma wyjaśnienie. Wszystko może być powodem i to samo mogło być przeszkodą na zawsze. W liceum chodziłem do klasy z rozszerzonym francuskim, spotkałem tam Marcina Kurka. Okazało się, że kręcą nas podobne rzeczy. Nie wiem, czego chcieliśmy, ale na pewno było w nas pragnienie wyrażenia się jakoś, pragnienie innego, nieco szalonego i ciekawego życia.

Naiwne i dziecinne, jak u Rimbauda. Tu szara komuna, a ty marzysz o podróżach do ciepłych krajów. Kiedy czytasz wtedy zdanie Rimbauda: „Prawdziwe życie jest nieobecne. Nie jesteśmy na tym świecie" czy inaczej tłumaczone: „Prawdziwe życie jest gdzie indziej, nie jesteśmy z tego świata", to masz wrażenie, że też tak czujesz, też jesteś poetą. To był czas, kiedy wyszła antologia tekstów „kaskaderów literatury", przeczytaliśmy wtedy całego Stachurę i Bursę. A na punkcie Wojaczka to ogarnęła nas mania, pielgrzymowaliśmy jego śladami, byliśmy na jego grobie we Wrocławiu.

Dlaczego właśnie Wojaczek?

Spośród kaskaderów pisał wiersze najwyraźniej chyba osadzone w romantycznej tradycji. I co chwila ma jakąś sprawę z Mickiewiczem czy Słowackim. Jego wiersze były najmocniejsze, a do tego był w życiu ekstremalny. To robiło wrażenie. No i był świetnym odbiciem dla romantyków. Bo przecież wtedy, w liceum, uważałem, że Mickiewicz i Słowacki to giganci, a romantyzm jest wspaniały.

Jakiej muzyki słuchałeś?

U2, a Marcin też zaraził mnie Bruce'em Springsteenem. Odkrywaliśmy, jak ważny jest tekst w piosence, w drugiej klasie chcieliśmy założyć własny zespół. Marcin grał na gitarze, ja na niczym nie grałem, zresztą do dziś nie umiem na niczym grać, niestety. Staraliśmy się pisać jakieś teksty piosenek, z tego właśnie były potem moje pierwsze wiersze.

I jakie były te wiersze?

Okropne. Wtedy akurat wszedłem w fazę religijną i napisałem wiersz o Matce Teresie z Kalkuty. W 1987 r. wysłałem go z innymi na konkurs, który został ogłoszony w radiowej Czwórce. Wiersz o Matce Teresie został wyróżniony, zaproszono mnie do finału, nagrodą była jego publikacja. Byłem przekonany, że jej miejscem będzie „Odra", bo konkurs odbywał się we Wrocławiu, gdzie ma ona siedzibę. Tymczasem został opublikowany w organie Polskiego Górnictwa Miedziowego o nazwie „Polska Miedź". Trafił między ciekawostki, kronikę policyjną a horoskop. Taki był mój debiut prasowy. Miałem 17 lat.

I?

I obciach. Miałem już wtedy ambicje. To czas, kiedy wydaje się człowiekowi na swój temat nie wiadomo co... Jeśli dostał wyróżnienie, to jest drugim Rimbaudem. Ego puchnie do strasznych rozmiarów.

Poza tym w międzyczasie już się trochę tego wierszyka o Matce Teresie zacząłem wstydzić. Wiadomo, ile trwa cała ta historia: od napisania do wydrukowania. Tymczasem mija cała epoka i jesteś gdzieś indziej. Mniej więcej wtedy właśnie rozpaliliśmy z Marcinem wielkie ognisko nad Kamionką na osiedlu Chabry w Opolu. Spaliliśmy mnóstwo zeszytów z pierwszymi naszymi wierszami, jak u typowego grafomana moja dzienna produkcja była wzmożona. W liceum przecież nawet na dyżurach w szatni graliśmy w ping ponga z innymi dyżurnymi, a w przerwach pisałem jeden wiersz za drugim. To ognisko było takim zamknięciem pierwszego etapu. Po maturze pojechałem do Krakowa studiować romanistykę. I na długo zamilkłem.

Bo?

To był przełom – 1988/1989 rok, przy Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich powstało Koło Młodych. Na spotkanie założycielskie przyszli różni młodzi poeci, wielu z nich już coś publikowało, na przykład w „bruLionie". Ktoś rzucił, że jak się już zebraliśmy, to przeczytajmy swoje wiersze. Ja wtedy pisałem wiersze o Chagallu i pomyślałem, że jestem z innej planety i moje pisanie nijak się ma do tego, co słyszałem u koleżanek i kolegów, a co, swoją drogą, czasem bardzo mi się podobało. Przestraszyłem się, zresztą nie lubię tej cechy u siebie. Uciekłem z tego spotkania, nic swojego nie przeczytałem. To był kryzys – uznałem, że moje pisanie było pomyłką, że to, co się teraz dzieje w poezji, jest czymś, do czego ja nigdy nie dojdę.

Na długo przestałeś pisać?

Siedem lat, do 1996 r. Chociaż nie... Tak naprawdę nie przestałem pisać, ale trochę przestałem wierzyć, że to ma sens, i nie podejmowałem żadnych prób ujawnienia się z tym. Napisałem w tym czasie może kilka wierszy – wszystkie wylądowały w szufladzie.

A potem prosta historia – trafiłem do szpitala z nowotworem, nie wiedziałem, czym to się skończy. W szpitalnym kiosku kupiłem „Tygodnik Powszechny", gdzie był ogłoszony konkurs poetycki przez Stowarzyszenie im. Baczyńskiego w Łodzi. Pomyślałem, dość sentymentalnie: teraz albo być może już nigdy. Wysłałem wiersze, wygrałem, nagrodą był druk tomiku. „Vaterland", 1997 r. To był mój debiut książkowy. Miałem 27 lat.

Nabrałeś odwagi?

Większej. No tak. Ta cecha, której u siebie nie lubię, nadal się niestety pojawia.

Za „Dwanaście stacji" w 2004 r. otrzymałeś Nagrodę Kościelskich. Ważna nagroda i tom, którym zachwycili się wszyscy. Opisujesz tam z humorem, ale i nie bez złośliwości, członków swojej rodziny.

To było napisane na granicy wygłupu, z którego, sądziłem, dopiero można by zrobić literaturę. I wydawało mi się to zbyt intymne, znów – traktowałem to bardziej jako terapię. To znowu był trudny czas, zajmowałem się moimi rodzicami, którzy w tym czasie odchodzili, umierali, najpierw jedno, potem drugie. Nie mogłem się skupić na czytaniu, w ogóle na niczym nie mogłem się skupić, więc pisałem to z przeciwnym wektorem emocjonalnym do tego, co często się działo za ścianą. Chciałem, by humor był przesadzony, w ogóle wszystko było przesadzone, żeby jakoś sobie radzić z sytuacją. W ten sposób na moment chciałem wydostać się z rzeczywistości, w której tkwiłem. Widzisz, znowu jakaś sentymentalna historia; to wszystko są bardzo sentymentalne historie.

Więc „Dwanaście stacji" miało być dla żartu. Dopiero moja żona Dorota i przyjaciel Jacek Podsiadło przekonali mnie, że warto to drukować.

A jak rodzice zapatrywali się na to, że ich syn jest poetą?

Z dystansem, szczególnie ojciec. Miał powiedzenie: „Poeta, tylko głowa nie ta". Przełomowy moment nastąpił, kiedy cztery moje wiersze zostały wydrukowane w „TP". Przychodzę do rodziców w odwiedziny i patrzę, że strona z wierszami jest wycięta z „Tygodnika" i w ochronnej folii leży koło telewizora, czyli w miejscu wyjątkowym. Wyglądało, jakby ojciec pokazywał to gościom. Nie przyznał mi się, ale tak to wyglądało. Podejrzewam, że było to dla nich trudne. Jednak jakiś rodzaj przekroczenia granicy intymności. Pewnych rzeczy się nie komentuje. Można zaśpiewać na imieninach czy na spotkaniu z przyjaciółmi piosenkę, ale nie trzeba koniecznie potem jej komentować.

A czy z Twoim przyjacielem, Jackiem Podsiadłą, rozmawiacie o poezji?

Ostatnio chyba nawet częściej niż kiedyś, ale nie na tym polega nasza przyjaźń. Jacek był dla nas zawsze wtedy, kiedy bardzo potrzebowaliśmy pomocy albo po prostu obecności. Był zupełnie bezinteresownie. Kiedy trafiły się w życiu trudne chwile, mogliśmy jakoś sobie wzajemnie pomóc. Nauczył mnie odwagi w wielu sytuacjach, tak jak to się zdarzyło z „Dwunastoma stacjami". Mieszkamy w Opolu, ale czasami nawet rok się nie widzimy. Bardzo dużo nas różni, wydawałoby się może, że te różnice są nie do pogodzenia, ale potrafiliśmy spędzać czas wspólnie z naszymi dzieciakami, razem podróżować albo słuchać bez końca muzyki. I rozmawiać o wszystkim, ale niekoniecznie o poezji.

TOMASZ RÓŻYCKI:

Są okresy, kiedy staję się niepiśmienny, jakbym zgłupiał. Strach mnie wtedy ogarnia, czy pisanie kiedykolwiek wróci. Nie potrafię sklecić zdania i mam kłopot z wysławianiem się.

A Adam Zagajewski? Wiem, że sporo rozmawiacie.

Kiedy przyjechałem na studia do Krakowa, jego wiersze z tomu „Jechać do Lwowa" zdobyłem jeszcze w bibule. I to było olśnienie, że można pisać tak euforycznie. Po ponurej dość poezji kaskaderów, na tle polskiej poezji lat 80. i 90. wiersz Zagajewskiego był wyjściem z ciemności – jakby ktoś otworzył okno na świat. Na mnie to zrobiło ogromne wrażenie i za każdym razem, kiedy z nim rozmawiam, to trochę tego światła od Adama dostaję. Uwielbiam jego poczucie humoru i nasze spotkania, chociaż są rzadkie.

Rozmawiacie też o Lwowie, skąd pochodziła rodzina Twoja i Zagajewskiego?

I chyba zamieszkiwali te same okolice we Lwowie, bo mój ojciec się urodził na ulicy Leśnej, niedaleko Kajzerwaldu i kościoła św. Antoniego. Potem się dowiedziałem, że w bramie obok mieszkała Debora Vogel, która została zamordowana z mężem i synkiem w 1942 r. we lwowskim getcie, że Ficowski poszukiwał w tym mieszkaniu na Leśnej szulzowskiego „Mesjasza". Jest taka możliwość, że Schulz posłał na przechowanie rękopis „Mesjasza" Deborze do Lwowa, przyjaźnili się przecież bardzo, ona miała wiele jego listów. Kiedy Schulz przyjeżdżał do Lwowa, bywał na Leśnej. Ficowski pisał, że kiedy tam dotarł pod koniec lat 60., nowi lokatorzy spalili rok wcześniej stare szpargały z piwnicy i on żałował, że wśród nich mogły być pisma po Deborze, mogły być listy Schulza, mógł wreszcie być „Mesjasz". A te kamienice mają wspólne podwórko. Byłem tam i to widziałem. Kiedy o tym myślałem, to mnie dreszcz przechodził.

W mieszkaniu, w którym urodził się i spędził pierwsze sześć lat życia mój ojciec, mieszkał w 2001 r. słynny ukraiński piłkarz Andrij Bal – ten sam, który w składzie drużyny Sowieckiego Sojuza w 1982 r. na mundialu w Hiszpanii strzelił gola Brazylijczykom – wszyscy go we Lwowie znali. A z balkonu można było rwać czereśnie, bo od strony ulicy rosła czereśnia.

Adam Zagajewski jest wielkim miłośnikiem kotów, Ty jesteś właścicielem psa.

Ozzy, jamnikowaty kundelek wzięty z ulicy, to nasz pies, ale może bardziej pies mojej żony, on ją kocha bezwarunkowo. Gdy siedzi pod kocykiem u Doroty na kolanach, warczy na każdego, kto się tylko zbliży. Więc mam trudne z nim relacje, wybaczam mu, ale nie zawsze. Czasem nie dziwię się, że ktoś go wyrzucił na ulicę.

Spacery z psem nie pomagają w pisaniu wierszy?

To nawet nie jest sprawa spacerów z psem, to chodzenie i spacery po prostu. Chodzę, tak żyję chodząc, pisanie, a może lepiej – poezja dla mnie jest nieodmiennie związana z chodzeniem właśnie. Muszę wychodzić wiersz. Bez spacerowania, poznawania świata nie ma wierszy. W najgorszym razie chodzisz dookoła kuchni. Albo z psem. Gdy pies jest na smyczy, to zatrzymuje się co metr, coś sobie wącha i wybija mnie z rytmu. Jest idealnie, kiedy mogę spuścić go ze smyczy, on biega, a ja mogę mruczeć.

O co chodzi z tym mruczeniem?

Większość moich wierszy ma model rytmiczny, są sylabotoniczne albo sylabiczne. By ta melodia zagrała w kolejnych wersach, pomagam sobie mruczeniem. I czasami muszę naraz zapamiętać 8, 10 czy 16 linijek całego wiersza, to wymaga skupienia. Kiedy mnie coś rozproszy, to nagle mi ↦

↦ się wtedy wszystko obsuwa i mam kłopot, by zrekonstruować. Asonanse, rymy pomagają. Dlatego sobie mruczę.

„Litery" napisałem w ciągu trzech miesięcy po sześciu latach przerwy. W moim życiu są okresy, kiedy staję się niepiśmienny, jakbym zgłupiał, dopada mnie analfabetyzm. Czasami strach mnie ogarnia, czy pisanie kiedykolwiek wróci. Nie potrafię sklecić zdania, mam kłopot z wysławianiem się. Wtedy szukam tego jednego zdania, ratunkowej formuły, która wszystko otworzy, odczaruje; i gdy ją znalazłem, w kwartał napisałem 90 wierszy.

Ogrom!

Z jednej strony grozi to grafomanią, bo to niemal wiersz dziennie. Z drugiej, jest rodzajem szwungu, haju, przez trzy miesiące byłem w transie. Nawet kiedy rozmawiałem z kimś, to cały czas starałem się zapamiętać nowy wers dołożony do wiersza. Przychodziłem do Biedronki i stojąc w kolejce coś tam sobie mamrotałem pod nosem. Panie w kasie przyzwyczajone są do takich świrów, więc nie było problemu. To była zima, czas, kiedy, cytuję: „stronnictwo bredni stanęło w Warszawie", dobra zmiana i same złe wiadomości, ogarnęło mnie przygnębienie. Robiłem trasę dookoła wyspy Bolko, zaczyna się od bulwaru, potem jest już dziko, często nikogo się nie spotyka. Szedłem tam sam lub z psem, jedno kółko to 10 kilometrów, układał mi się w tym czasie wiersz, po powrocie do domu mogłem zapisać go w kajeciku.

Jak brzmiało to zdanie, które przyszło Ci do głowy po sześciu latach niepisania?

Przyszło do mnie, kiedy słuchałem Pink Floyd: „Wish you were here". I chociaż nie przepadam za Pink Floyd, za każdym razem mnie jakoś to wzrusza w sytuacji, kiedy kogoś przy mnie nie ma, a chciałbym mu coś ważnego powiedzieć.

Stanisław Barańczak napisał piękny wiersz „Szkoda, że cię tu nie ma". W tym samym mniej więcej czasie Josif Brodski napisał jeden z nielicznych swoich utworów po angielsku „I wish You were here", a Barańczak to tłumaczył. Czyżby oni słuchali Pink Floydów? To by się w czasie nawet zgadzało. Właśnie to zdanie mnie odblokowało, posypała się cała masa różnych skojarzeń. Te sześć lat kumulowało się na otwarcie.

Tom „Księga obrotów" wziął się z kolei ze zdania „Facet, który kupił świat". Za Davidem Bowiem też nie przepadam, ale spodobał mi się jego wers: „*the man who sold the world*" . I pomyślałem: a jakby tak zrobić bohaterem faceta, który kupił świat. Co to by mogło znaczyć? I w jakim sensie „kupił": dosłownie czy w przenośni? I kiedy jest gorzej: dosłownie czy w przenośni?

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

TOMASZ RÓŻYCKI *(ur. 1970) jest poetą, eseistą, tłumaczem z języka francuskiego. Absolwent romanistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, mieszka w Opolu. Prowadzi zajęcia z literatury francuskiej – w Nauczycielskim Kolegium Języków Obcych w Opolu i na Uniwersytecie Opolskim – oraz warsztaty creative writing. Właśnie nakładem wydawnictwa a5 ukazały się „Wiersze wybrane", autorski wybór wierszy pochodzących z wszystkich jego tomów.*

REKLAMA

Rówieśnicy Niepodległej. Świadkowie naszej historii

Cała Polska na różne sposoby świętowała uroczystą rocznicę stu lat odzyskania przez Polskę niepodległości. Wyjątkowe działania realizuje z tej okazji również wrocławski Ośrodek „Pamięć i Przyszłość", któremu Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego powierzyło kilka ogólnopolskich projektów w ramach Wieloletniego Programu Rządowego „Niepodległa".

Każdy z projektów realizowanych przez Ośrodek „Pamięć i Przyszłość" w tym roku i w ciągu kolejnych lat skierowany jest do innych grup odbiorców. Każdy też eksponuje nieco inne wartości i wątki, składające się na bogatą przeszłość Polski i Polaków w ostatnim wieku.

Szczególnymi działaniami objęto najstarszych Polaków. Bohaterami projektu **„100 100-latków na 100-lecie"** są mieszkańcy Polski w jej dzisiejszych granicach, urodzeni cały wiek temu. Ich osobiste wspomnienia nagrywa kilka instytucji w Polsce. Do tej pory udało się dotrzeć do ponad czterdziestu „Rówieśników Niepodległej", którzy podzielili się historiami swojego życia, a także zdjęciami, pamiątkami i dokumentami. Od 10 listopada można je zobaczyć na wystawie w Centrum Historii Zajezdnia we Wrocławiu, a w 2019 roku także w wielu innych polskich miastach, gdzie wystawa ma stać się pretekstem do kontynuacji świętowania niepodległości.

Stulatkowie to wyjątkowi ludzie. W swoich relacjach, których fragmenty prezentowane są na wystawie „Rówieśnicy Niepodległej", dzielą się radosnymi na ogół wspomnieniami dzieciństwa i dorastania w patriotycznej atmosferze II Rzeczypospolitej, grozą wojny i trudami okresu komunizmu, kiedy oprócz podstawowych dóbr brakowało im często zwykłego zaufania do drugiego człowieka i po prostu wolności. Wyjaśniają też, czym jest dla nich niepodległość i co z perspektywy stu lat ma w życiu prawdziwą wartość.

WŚRÓD BOHATERÓW PROJEKTU JEST M.IN. O. JERZY TOMZIŃSKI, PAULIN Z JASNEJ GÓRY, BLISKI WSPÓŁPRACOWNIK PRYMASA STEFANA WYSZYŃSKIEGO I OSTATNI ŻYJĄCY POLSKI UCZESTNIK SOBORU WATYKAŃSKIEGO II, KTÓRY SWOJE STO LAT SKOŃCZYŁ W LISTOPADZIE TEGO ROKU, A KTÓRY ZA NAJWAŻNIEJSZE WYDARZENIE MIJAJĄCEGO WIEKU BEZ WAHANIA UZNAŁ WYBÓR KAROLA WOJTYŁY NA PAPIEŻA.

Osoby chcące podzielić się z nami swoimi historiami zapraszamy do kontaktu:

tel. (71) 715 96 22
swiadekhistorii@zajezdnia.org

Zerwania i zaślubiny

PIOTR KOSIEWSKI

Oto polski XX wiek, zobaczony poprzez relacje awangardowych artystów i państwa. Imponująca wystawa, która dotyka kluczowych problemów politycznych i społecznych ostatniego stulecia.

MUZEUM SZTUKI W ŁODZI / MAT. PRASOWE

Karol Hiller, Na krze, ok. 1938-1939 r.

Pomysł może zaskakiwać, bowiem, jak podkreśla kuratorka wystawy w łódzkim Muzeum Sztuki Dorota Monkiewicz, awangarda dla polskiego państwa nie była istotnym punktem odniesienia. Co więcej, dzieła tworzone przez związanych z nią artystów „rzadko ujawniają stosunek ich autorów do kwestii politycznych.

Wyłomy w tej praktyce pojawiają się pod naporem silnie angażujących wydarzeń zewnętrznych, takich jak obie wojny światowe czy gwałtowne nasilenie konfliktów społecznych i narodowościowych w kryzysowych latach trzydziestych". Bardziej wymowne są historyczne konteksty aniżeli bezpośrednia treść zawarta w dziełach. Mimo tych wszystkich zastrzeżeń, udało się stworzyć wystawę nieoczywistą, o historii, ale wpisującą się w aktualne spory, dotyczące m.in. relacji artysta–państwo, zaangażowania społecznego i politycznego twórców czy autonomii sztuki.

Wystawa porusza też kluczowy w 1918 r. problem – dziś ponownie istotny – czyli pytanie o model polskiej nowoczesności. Czy niezbywalną częścią naszej modernizacji jest emancypacyjny i równościowy projekt – jak głosiło wielu przedstawicieli, także naszej awangardy? Czy też nowoczesność ma być jedynie kostiumem, w który ma się ubrać dotychczasowy, tradycjonalistyczny model społeczeństwa? Czyli – odwołując się do aktualnych pomysłów – „czy Podkarpacie ma stać się polską Bawarią"? I jaką rolę w modernizacji może odegrać sztuka, zwłaszcza w jej radykalnym, awangardowym wydaniu? Czy nowoczesność musi być krytyczna wobec idei kultury narodowej? A może – jak przekonuje Andrzej Szczerski – „nie ma sprzeczności między sztuką współczesną a tradycją narodową, co więcej, tradycja, aby trwać i inspirować kolejne pokolenia, powinna nie tyle zwracać się w stronę stylów historycznych, ile wyrażać się w nowoczesnej formie"? Pozostaje wreszcie kwestia, co z awangardowej tradycji jest ważne dla współczesnych twórców.

Datą końcową wystawy jest kres PRL-u. Nieprzypadkowo, bo wtedy dochodzi nie tylko do zmiany ustroju i pojawiają się inne pytania dotyczące relacji artystów z państwem, ale też następuje ostateczne wyczerpanie neoawangardy.

Odrodzone państwo

Na trzech piętrach gmachu ms[1] zebrano ponad 600 dzieł prezentujących ruch awangardowy w Polsce oraz w naszym regionie – od ekspresjonizmu i formizmu po neoawangardę oraz „postawangardę" lat 70. i 80. Jednak to nie praca artysty, lecz wielka mapa autorstwa Lucjusza Dury otwiera łódzką ekspozycję. Przedstawia osiedlenia ludności polskiej (na podstawie spisów władz okupacyjnych w 1916 r.). Na terenach Wielkopolski, Małopolski czy Mazowsza dominuje głęboka czerwień – tym kolorem oznaczano osoby deklarujące polską narodowość. Im bardziej patrzymy na wschód, tym staje się bledsza. Skupiska polskości coraz mocniej mieszają się z ludnością ukraińską, ↦

↦ białoruską, litewską. Mapa ta może być kluczem do opowieści o Polsce w minionym stuleciu, w której to nasze losy muszą się przecinać z historią innych narodów zamieszkujących tę część Europy.

Jednak sama wystawa opowiada nie o jednym, lecz o dwóch państwach, funkcjonujących w całkiem odmiennych realiach, o różnym zasięgu terytorialnym, ustroju i składzie narodowościowym. Każda z tych polskich państwowości musiała się mierzyć z odmiennymi problemami. Podobnie jak przed różnymi wyborami stawali sami artyści, nie tylko w naszym kraju. Spornym problemem było już samo istnienie państwa. W 1918 r. silnie zderzały się przecież sprzeczne tendencje: idei państw narodowych z ponadnarodowym projektem komunistycznego państwa robotników. Chociaż Polakom, Czechom i Słowakom oraz mieszkańcom krajów nadbałtyckich udało się stworzyć własną państwowość (Ukraińcom już nie), to przez cały czas musieli funkcjonować w cieniu bolszewickiego imperium. Później zaś przez dekady przyszło im żyć we wspólnym, komunistycznym bloku.

Wystawa pokazuje początki polskiej awangardy, zarysowując trochę nieoczywistą mapę, na której istotnymi punktami są nie tylko Kraków i Warszawa, ale też Berlin, Kijów czy Wilno. Bo to ze środowiskiem berlińskim silne związki mieli członkowie (powstałej jeszcze przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości) poznańskiej grupy Bunt: Stanisław i Margarete Kubiccy, Władysław Skotarek, Stefan Szmaj czy Jan Wroniecki. Sam Kubicki – w Polsce wciąż słabo znany – na wystawie zajmuje szczególne miejsce. Jego dzieła, ale też losy są swoistym komentarzem do dziejów polskiej sztuki I połowy XX w. Związany z Polską, ale osiada w Berlinie. Tworzy radykalne, abstrakcyjne obrazy, odmienne od tego, co powstawało w kraju. Jego dom, zaprojektowany przez Brunona Tauta, jest ważnym punktem artystycznym stolicy Republiki Weimarskiej. Po dojściu do władzy nazistów Stanisław Kubicki musi opuścić Niemcy. Przenosi się do Warszawy. Podczas okupacji – używając swojego przedwojennego paszportu III Rzeszy – zostaje kurierem państwa podziemnego. Przewozi dokumenty do Berlina. Aresztowany w 1941 r. zostaje – zapewne 8 czerwca 1942 r. – zamordowany w więzieniu na Pawiaku.

Do Wilna, po wyjeździe ze Smoleńska, trafiają Władysław Strzemiński i Katarzyna Kobro. Tam współpracują m.in. z wybitnym litewskim awangardzistą Witoldem Kajruksztisem. Trzecim miastem jest Kijów. W tamtejszej Szkole Artystycznej studiowali m.in. Aleksander Archipenko, Ołeksandr Bohomazow i Aleksandra Ekster. Nad Dniepr trafił też Karol Hiller. Ten przyszły współpracownik Strzemińskiego nie wiąże się z tamtejszą awangardą, lecz zaczyna naukę u Mychajła Bojczuka, malarza, który próbował odrodzić i dostosować do współczesności tradycję dawnego malarstwa ikonowego. Łódzka wystawa daje wyjątkową możliwość zobaczenia w Polsce ukraińskiej, litewskiej (ale też rosyjskiej) awangardy. Pozwala to skonfrontować polskie doświadczenia z sytuacją w innych częściach środkowej Europy.

MUZEUM SZTUKI W ŁODZI / MAT. PRASOWE

Leszek Przyjemski, Mój ulubiony krajobraz, 1971 r.

W opowieści o II RP na wystawie przewija się kilka wątków. Dwa z nich szczególnie się wybijają: stosunek do tradycji i państwa.

Postawę awangardową najczęściej – zasadnie – utożsamia się z zerwaniem. Jednak zaskakująco wiele jest w polskiej sztuce odniesień do religii i chrześcijańskiej ikonografii – wizerunki Madonny tworzą m.in. Tytus Czyżewski i Zygmunt Waliszewski. Podobnie jak nawiązań do polskiego romantyzmu – Zbigniew Pronaszko nie tylko pracował nad scenografią do „Dziadów" Adama Mickiewicza, ale też zaprojektował monumentalny pomnik poety w Wilnie. Niestety, w 1924 r. ustawiono jedynie jego drewnianą makietę, która podczas powodzi w 1938 r. uległa zniszczeniu. Wszystko to były próby stworzenia polskiej sztuki odpowiadającej nowym czasom. Bowiem, jak przekonywał Tytus Czyżewski: „Naród polski nie może już żyć próchnami królów i dziadów. Naród polski nie może umorfinować się koszmarami z »Wesela«, ale musi poczuć w sobie sztukę i poezję odrodzenia współczesnego".

Najbardziej jednak przykuwa na wystawie inny wątek: stosunku awangardzistów do polskiego państwa oraz ich uwikłań w komunizm. Opowiedziany odważnie, bez stosowania taryfy ulgowej, ale też bez łatwych – zwłaszcza z dzisiejszej perspektywy – ocen. Podobnie jak późniejsze związki artystów z PRL-owskimi władzami. Ciekawa zresztą byłaby wystawa pokazująca związki artystów bardziej tradycjonalistycznych, wręcz wrogich awangardzie, z rządzącymi w dwudziestoleciu, ich wybory ideologiczne, łącznie z ciągotkami nacjonalistycznymi i faszystowskimi oraz „zblatowanie" ich z komunistyczną władzą po 1945 r. To wciąż nieopowiedziana historia.

Wątpliwościom co do lojalności części awangardzistów wobec polskiego państwa trudno się dziwić. Przecież np. Władysław Strzemiński zaprojektował plakaty dla dowództwa Frontu Zachodniego Armii Czerwonej w Smoleńsku niedługo przed jej atakiem na Polskę. Niektórzy z twórców wiążą się z Komunistyczną Partią Polski – działało w niej wielu uczestników lewicy niepodległościowej, którzy zradykalizowali się dopiero w wolnym państwie. Skomplikowanie ówczesnej sytuacji dobrze pokazują plakaty zaprojektowane przez Mieczysława Szczukę na potrzeby akcji amnestyjnej w 1926 r. (komuniści poparli zresztą zamach majowy). Na jednym z nich, zatytułowanym „Żołnierze nowej Polski", wzywającym do uwolnienia z więzienia trójki komunistów, przy-

ANNA ZAGRODZKA / MUZEUM SZTUKI W ŁODZI / MAT. PRASOWE

W głębi: Jerzy „Jurry" Zieliński, Helsinki, 1979-1980 r.

woływana jest ich... legionowa przeszłość. Zresztą sam Strzemiński w latach 30. projektuje „konstruktywistyczny" pomnik Orła Białego dla Koluszek, a Stanisław Kubicki pomnik „Ku wiecznej pamięci Józefa Piłsudskiego i legionistów-powstańców wielkopolskich" w należącym do rodziny Mycielskich majątku Kobylepole koło Poznania.

Państwo ludowe

W 1945 r. artyści awangardowi znaleźli się w całkowicie nowej sytuacji. Wielu z nich – nie tylko Stanisław Kubicki – nie doczekało tego czasu, padając ofiarą totalitaryzmów: nazistowskiego albo sowieckiego. Ich lista jest bardzo długa. W 1937 r. zostaje rozstrzelany Mychajło Bojczuk oraz jego żona, także artystka, Zofia Nalepińska. Podczas bombardowania Warszawy ginie członek Grupy Krakowskiej Stanisław Ososłowicz, Niemcy zaś po zajęciu Łodzi mordują Karola Hillera. Icchok Brauner, członek grupy Jung Idysz, ginie w 1944 r. w Auschwitz...

Koniec wojny to także początek odbudowy kraju (i jego budowy w nowych granicach). To wyzwanie łączące różne środowiska. Jednak przez całą opowieść o PRL-u przeplatają się dwa wątki: współpracy z komunistycznymi władzami, wiary w nowe socjalistyczne państwo oraz sprzeciwu, a przynajmniej dystansu do polityki rządzących. Na wystawie są przypomniane utopijne projekty sojuszu artystów i robotników, m.in. sympozja i plenery organizowane na terenach fabryki turbin Zamech w Elblągu czy zakładów chemicznych w Puławach, ale też – dzisiaj mocno zapomniane – działania z lat 70. Pawła Kwieka i Zofii Kulik, proponujących odnowę socjalizmu, oraz propartyjne pomysły Galerii Sztuki Najnowszej z 1977 r., organizującej m.in. protest przeciwko imperialistycznej bombie neutronowej.

Jednocześnie wystawa przypomina o narzuconej w 1949 r. doktrynie realizmu socjalistycznego oraz o tym, że przedwojenni członkowie partii komunistycznej pozostali wierni awangardzie i wielu z nich nie tworzyło socrealistycznych dzieł. Ale też przypomina o swoistym pakcie zawartym w czasach odwilży: ceną za tworzenie i wystawianie dzieł abstrakcyjnych było nieangażowanie się sztuki w politykę. Okazał się on zresztą zaskakująco trwały.

8 marca 1968 r. trwa wiec na Uniwersytecie Warszawskim. W tym samym czasie w Galerii Foksal ma miejsce wernisaż wystawy Edwarda Krasińskiego. W jego trakcie „ktoś przybiegł i powiedział, że biją studentów – wspominała wybitna krytyczka Anka Ptaszkowska w rozmowie z Dorotą Jarecką. – Pamiętam Artura Sandauera, rozpadła mu się twarz. Przesiedział w ukryciu w szafie całą okupację i miał doświadczenie strachu. Nie byliśmy w wieży z kości słoniowej. Wiedzieliśmy o aresztowaniach, choć nikt z naszych przyjaciół nie był aresztowany (...) Nieraz się zastanawiałam, dlaczego nie zaangażowaliśmy się w opozycję polityczną. Nie znalazłam jednoznacznej odpowiedzi". Być może – dodaje – powodem było, że „Kantor, jak i Henryk Stażewski, z którymi byliśmy związani, przeżyli socrealizm i mieli zbyt świeżą pamięć upolitycznienia sztuki przez reżim, by uwierzyć w możliwość sztuki zaangażowanej i samemu się angażować".

Byli jednak twórcy, którzy nie przestrzegali tego „paktu". Na wystawie przypomniano działania m.in. Jarosława Kozłowskiego i innych konceptualistów (dzięki którym w Polsce były możliwe wystawy i akcje niezależnych artystów z Czechosłowacji i Węgier). W 1976 r. Akademia Ruchu przygotowuje uliczne inscenizacje poematu Anatola Sterna „Europa", o wymowie jawnie krytycznej wobec ówczesnych władz. Jerzy „Jurry" Zieliński w latach 1979-80 maluje cykl „Helsinki", przedstawiający uczestników Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, w założeniach mającej wymusić przestrzeganie praw obywatelskich w krajach komunistycznych, co okazało się jedynie złudzeniem (chociaż do zawartych wówczas porozumień odwoływał się też ruch dysydencki w ZSRR).

Sytuację radykalnie zmienia powstanie Solidarności, a potem stan wojenny. W Łodzi nie pokazano jednak ani proreżimowej twórczości z lat 80., ani artystów skupionych w ruchu przykościelnym, tylko odwołującą się do tradycji awangardowej – a jednocześnie często okrutnie z niej kpiącą – Kulturę Zrzuty, artystów spotykających się na łódzkim Strychu, pismo „Tango", nihilistyczne działania Łodzi Kaliskiej, prześmiewczo parodiujące napuszenie naszej neoawangardy. Była to opcja „ani, ani". „Ani Wschód, ani Zachód" – głosił Jacek Kryszkowski. Jednak w 1989 r. dokonano innego, oczywistego zresztą wyboru.

© PIOTR KOSIEWSKI

AWANGARDA I PAŃSTWO, *Muzeum Sztuki w Łodzi/ms[1], wystawa czynna do 21 stycznia 2019 r., kuratorka Dorota Monkiewicz.*

GRAŻYNA MAKARA

Próba medialna „Roku z życia codziennego w Europie Środkowo-Wschodniej", Scena Kameralna Starego Teatru, Kraków, 28 listopada 2018 r.

Teatr markowy

DARIUSZ KOSIŃSKI

O, śmiechu zadowolony z siebie! O, teatrze śmieszny jak kabaret w Polsacie, ale przecie nie tak obciachowy, bo to scena narodowa, duet twórców radykalny, a dramaturg inwersję nagminnie stosuje!

W połowie przedstawienia „Rok z życia codziennego w Europie Środkowo-Wschodniej" Pawła Demirskiego, wystawionego właśnie w reżyserii Moniki Strzępki w Narodowym Starym Teatrze w Krakowie, padają słowa: „Ile musiał pan pominąć, żeby zobaczyć we mnie to, co pan chciał!". A powinny paść na początku lub na końcu. Jako motto i memento dla jego twórców.

Duet reżysersko-dramatopisarski, który od wielu lat cieszy się marką „radykalnego", ma wyjątkowe szczęście do przygotowywania na scenie Starego Teatru przedstawień, które ze względu na okoliczności pozaartystyczne budzą szczególne oczekiwania. Wyspecjalizował się też w rozczarowywaniu tych, którzy oczekują jakiegoś komentarza do owych okoliczności. I tak jak wystawiając własną wersję „Nie-Boskiej komedii", nie zająknęli się nawet o Oliverze Frljiciu, tak teraz ani słowem nie skomentowali dwuznacznej sytuacji powrotu do pracy z zespołem, któremu narzucono niechcianego dyrektora, przeciwko czemu sami ostro protestowali. Wyrzekając na kolejne sfery polskiego życia, rozdając ciosy na prawo i lewo, siebie i Stary Teatr pod dyrekcją Marka Mikosa skrupulatnie ominęli i oszczędzili.

Kazik na żywo

Pomysł jest banalny, choć usiłuje to maskować niemal manierycznie poplątaną dramaturgią: umierający przedwcześnie na raka płuc bohater (Szymon Czacki) przeżywa w rwanych koszmarach rok z własnego życia: od wakacji, przez powrót do szkoły i Święto Zmarłych (w części pierwszej) po Wigilię i ledwo wspomnianą wiosnę – aż do kolejnych wakacji.

Zgodnie z zapowiedzią na końcu umiera, najwyraźniej wyczerpany wyrzekaniami na życie codzienne w Polsce, nie wiadomo dlaczego występującej w tytule pod kryptonimem „Europa Środkowo-Wschodnia", choć to, o czym tyle mówi się na scenie, jako żywo ani z Bułgarią, ani z Ukrainą, ani nawet ze Słowacją nie ma nic wspólnego. To tylko Polska, i to taka Polska, o jakiej wiele lat temu śpiewał Kazik Staszewski. I w tamtej piosence, i w tym przedstawieniu w centrum jest rzyg. Tyle że Kazik o chodnikach zarzyganych śpiewał dynamicznie i z energią przez jakieś trzy i pół minuty, a Demirski wymiotuje przez trzy i pół godziny.

Mniej więcej po jednej trzeciej tego czasu zaczynamy (ja i córka, która towa-

rzyszyła mi na premierze) zdawać sobie niejasno sprawę, że nic tu się więcej nie zdarzy. Wprawdzie wciąż tli się nadzieja na jakieś przełamanie (tli się we mnie, bo córka w przerwie wychodzi), ale jak wiadomo, nadzieja jest matką głupich i nieprawda, że o swoje dzieci dba.

Swe nudności Demirski wylewa na Scenę Kameralną Starego Teatru posługując się zaskakująco banalnymi stereotypami, uproszczeniami i fałszami, do których sprowadza kolejne dostrzeżone w jakimś naskórkowym ślizgu przejawy „życia codziennego". Co pewien czas wezbrany wymiot eksploduje w monologu zaczynającym się nieodmiennie od wykrzyknika „O!": „O, wakacje polskie!", „O, mężczyźni polscy!", „O, kulturo wysoka!" i tak dalej. Wygłaszający je aktorzy przybierają miny i pozy bardzo kaznodziejskie, po czym z wysokości sceny i poczucia misji pouczają publiczność popisami społecznej homiletyki. I tak prawie przez całe pierwsze dwie godziny.

O, męko pierwszej części! Męko nowomieszczańskiego teatru, który udaje, że mieszczański nie jest, ale jedyne, co produkuje, to stereotypy i zadowolony śmiech publiczności ucieszonej, że te wszystkie niemiłe rzeczy nie o nich, tylko o tych innych, co ich tu z nami przecież nie ma. O, śmiechu zadowolony z siebie! O, teatrze śmieszny jak kabaret w Polsacie, ale przecie nie tak obciachowy, bo scena narodowa, duet radykalny, a dramaturg inwersję nagminnie stosuje. „O, bogowie, bogowie moi, trucizny!".

Wigilijne apologie

Skoro rok polski, to trzeba zasiąść do wigilii („O, wigilie polskie!"), która polskiemu artyście krytycznemu („O, artyści krytyczni polscy!") kojarzy się oczywiście jak najgorzej. Choć druga część jest dramaturgicznie lepsza, to niestety nie udaje się ocalić „Roku..." przed osuwaniem się w powtarzalne schematy i stereotypy na pograniczu autorskiej i reżyserskiej autoparodii. Oczywiście Demirski jest na tyle brechtowsko inteligentny, by swoje homilie brać w autoironiczny nawias, ale nawias sam siebie nawiasuje i pozostają erupcje osobistych idiosynkrazji.

Oglądając „Rok..." nie mogłem pozbyć się poczucia, że ktoś usiłuje mi mówić o sprawach, zjawiskach i ludziach, o których wie niewiele i głównie z drugiej ręki, więc nadrabia groźną miną i wymachiwaniem palcem wskazującym w oskarżycielskim geście.

Efekt tego jest taki, że z każdą minutą miałem coraz większą ochotę bronić tych ludzi opluwanych w swoich małostkach, przywarach, kompleksach, głupocie i podłości. Choć i we mnie czasem wkurzony rzyg wzbiera, to jednak nie, nie zgadzam się na takie ustawianie produkowanego artystycznie przeciwnika i robienie sobie i swoim widzom lepiej, ale jego kosztem. Bronić nawet chciałbym ośmieszanej w sposób brutalny Wandy, prawej ręki wicepremiera, co to „niby nie wiemy, kim jest i nie o konkretną osobę chodzi". Popieram walkę o obronę polskiej kultury od pseudoprawicowego odwojowywania na ślepo, ale może jednak chwilę pomyśleć, czy walcząc o lepsze miejsce w środowiskowej piaskownicy, trzeba rzucać w przeciwnika psią kupą?

Andrzejkowe wróżby

„Rok..." otwierać ma nowy etap w burzliwych dziejach Narodowego Starego Teatru. Po serii kompromitacji rozpoczętej wyborem Marka Mikosa na miejsce Jana Klaty, co doprowadziło do gwałtownej zapaści stojącej u progu wielkości sceny, po głośnych odejściach i żałosnych pielgrzymkach proszalnych, po roku chaosu i żenujących komentarzy opartych na wypieraniu tego, co mówiło się i pisało wcześniej (O, amnezjo ministerialna polska!), nastąpić miało oto nowe otwarcie. Mikos zgodził się na przekazanie kierownictwa artystycznego Radzie powołanej przez zespół. Ta zaś zobowiązała się zapewnić powrót znanych nazwisk reżyserskich i powstanie premier mogących skutecznie zastąpić przedstawienia z lat dyrekcji Klaty, którymi nadal stoi repertuar.

Potwierdzeniem tego zobowiązania był powrót do Krakowa Strzępki i Demirskiego, którzy regularnie i z wielkimi sukcesami reżyserowali tu za poprzedniego kierownictwa. Na sugestie, że to nie *fair* i jest w sprzeczności z wcześniejszą krytyką dyrekcji Mikosa, odpowiadano nieodmiennie, że to nie czas na wielkie i „puste" gesty, że dla dobra świetnego zespołu nie ma się co obrażać i jak jest jakieś pole kompromisu – trzeba korzystać.

Efektem miała być wielka zmiana i – jak to pięknie napisała lokalna dziennikarka – „powrót Starego Teatru do gry". Nie wiem, jaką grę miała na myśli, ale to, co zobaczyłem teraz przy Starowiślnej, nie jest powrotem, lecz kontynuacją gry, która toczy się od półtora roku. Nie wydaje mi się, by „Rok..." przyniósł jakąś realną zmianę w obecnym stylu Starego Teatru, który Michał Olszewski po tutejszej premierze „Masary" nazwał „teatrem Klaty, tylko bez Klaty" (w znaczeniu i osoby, i tworzonej przez nią jakości). Nie sądzę też, żeby „Masara" (w końcu jedyna serio premiera całego ubiegłego sezonu) była teatralnie znacznie słabsza od „Roku...", zwłaszcza jeśli pamiętać, że była realizowana w fatalnej atmosferze, grana z mniejszym zaangażowaniem, a oglądana w jednoznacznie bojkotowym nastroju. Jedyna zmiana, jaka się tu dokonała, to zmiana marki – z nieznanej lokalnie litewsko-ukraińskiej na lokalnie cenioną polską. To ona spowodowała, że wszyscy wydają się zadowoleni: dyrektorska figura z uśmiechem wita premierowych gości, aktorzy najwyraźniej świetnie się czują, grając to, co już znają i umieją, a publiczność bije brawo. I wszyscy odetchnęli z ulgą, że teraz już będzie naprawdę fajnie.

Wróżąc z wosku wylanego na Starowiślnej dzień po andrzejkach, trudno mieć wątpliwości: fajnie będzie i miło. Czeka Stary Teatr spokojna praca bez perturbacji. Wrócą znani reżyserzy i reżyserki odpowiednio szanujący wybitny zespół. Na pewno od czasu do czasu powstanie tu jakiś wyróżniający się spektakl, który odnotują recenzenci i kroniki. Krytycznie też będzie, ale ze względu na szacunek i pozycję oraz figurę stojącą na czele, ministerstwo i jego ulubieni krytycy nie zauważą Wam tego, co gdzie indziej do trzewi ich rozjusza. W pobliżu teatru pojawią się nowe eleganckie restauracje, żeby widzowie mieli gdzie kontynuować kulturalnie spędzony wieczór. Miło będzie i fajnie. W końcu i Kraków ma prawo mieć normalny teatr narodowy. ©

Paweł Demirski **ROK Z ŻYCIA CODZIENNEGO W EUROPIE ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ** *– reż. Monika Strzępka, Narodowy Stary Teatr, premiera 30 listopada 2018 r.*

RADIO KRAKÓW **Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika".**
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM **www.radiokrakow.pl**

Szekspir też by nie dał rady

JAKUB MAJMUREK

„House of Cards" jest pierwszym serialem, który został przelicytowany przez polityczną rzeczywistość. Miał ją bezwzględnie zdiagnozować, ale musiał polec.

Trudno znaleźć widza, któremu naprawdę podobałby się ostatni sezon „House of Cards". Nic dziwnego: jest fatalnie napisany, pełen nieprawdopodobieństw i fatalnie umotywowanych zwrotów akcji w złym guście. Nie jest to pierwszy serial, który po ekscytujących początkach kończy się artystyczną porażką. Niezwykłe są jednak powody tej klęski.

Koszmar demokracji

Serial był pomyślany jako koszmar śniony o amerykańskiej demokracji, spojrzenie za jej kulisy, gdzie dla własnego zdrowia przeciętny obywatel zaglądać nie powinien. Wszedł na ekrany w 2013 r., gdy Barack Obama zaczynał drugą kadencję. Choć nie budziła ona już takiego entuzjazmu jak pierwsza, były prezydent ciągle pozostaje symbolem Ameryki, która wznosi się ponad mroki własnej historii, oraz polityki opartej na nadziei, że obywatele mogą zmienić państwo na lepsze.

„House of Cards" przedstawiał inną wizję polityki, bliższą najmroczniejszym dramatom Szekspira. Była w nim domeną próżności i żądzy władzy. Historię w serialu tworzyły nie inspirujące cały naród przemówienia i symbole, ale zakulisowa intryga, szantaż, cierpliwe liczenie stronników w Kongresie, w mediach, w szeregach potencjalnych darczyńców.

W tej politycznej sferze cienia doskonale rozkwita główny bohater, Frank Underwood – bezwzględny drapieżnik, gotowy na wszystko, by zdobyć i utrzymać pozycję. Równie instrumentalnie posługujący się ideami, co ludźmi. Ryszard III masowej, telewizyjnej demokracji. Jeśli Frank przypominał w ogóle któregoś z powojennych amerykańskich prezydentów, to chyba tylko Lyndona B. Johnsona i Richarda Nixona – pamiętanych do dziś jako diabolicznie ambitne jednostki, mistrzowie nie zawsze czystej, rozgrywanej z dala od oczu opinii publicznej intrygi.

Pięć lat temu spojrzenie na politykę z „House of Cards" wyrywało z idealistycznej drzemki. Przypominało, jak brzydko może wyglądać zaplecze polityki w najlepiej nawet urządzonej demokracji. Przestrzegało, że jeśli obywatele nie zachowają czujności, zagrożenie dla demokracji może przyjść z samego serca jej instytucji.

Twórcy unikali przy tym moralistycznej paniki. Underwood nigdy nie był wyłącznie potworem. Reprezentował rozsądne, centrowe, czasem lekko progresywne poglądy, zapewne zgodne z politycznymi sympatiami większości docelowej grupy, do jakiej adresowana była produkcja. Gdy za sprawą serii piętrowych, brudnych intryg Frank zostaje wreszcie wiceprezydentem, jedną z pierwszych jego akcji jest przepchnięcie przez Senat ważnego dla administracji głosowania. Underwood przy okazji upokarza aroganckiego, trzymającego w szachu cały Kongres i Biały Dom senatora z Tea Party – skrajnego, ekstremistycznego, antyetatystycznego skrzydła Republikanów. Administracja Obamy nigdy nie potrafiła poradzić sobie z agresywnym, paraliżującym państwo populizmem. Niejednemu z widzów nasunęła się wtedy myśl, że może warto zapłacić za taką skuteczność kogoś takiego jak Underwood u władzy.

Frank i Donald

Ostatnie lata przyniosły jednak polityczny scenariusz, o jakim twórcom „House of Cards" się nie śniło. W przeciwieństwie do świata serialu, wyzwanie dla amerykańskiej demokracji nie przyszło ze środka systemu, ale z zewnątrz – pod postacią populistycznego miliardera w czerwonej czapeczce z daszkiem. Trump szedł do wyborów z obietnicami „osuszania bagna" i przewietrzenia dusznych korytarzy władzy, gdzie kwitnąć mogą postacie w typie Franka. Sam Trump najlepiej czuł się na wiecach, otoczony zwolennikami. Jednak jego populistyczna rewolta okazała się nie mniejszym zagrożeniem dla przetrwania amerykańskiej demokracji niż serialowe intrygi Underwooda.

Trump tak bardzo przesunął przy tym granice tego, co możliwe w amerykańskiej polityce, że wszystkie twory wyobraźni twórców „House of Cards" wypadają przy tym blado. Intrygi, spiski i zbrodnie Franka nie robią wrażenia na tle skandali, jakie na co dzień relacjonowane są w telewizji. Tam słyszymy o prezydencie, który mógł współpracować z Rosją, by wpłynąć

RDC POLSKIE RADIO **JAKUB MAJMUREK** spotka się z Grzegorzem Chlastą w środę 5 grudnia o godz. 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

DAVID GIESBRECHT / NETFLIX

Robin Wright jako prezydent USA w otoczeniu swojego gabinetu

na wynik wyborów, a następnie zwolnił szefa FBI, niegodzącego się na ręczne sterowanie śledztwem w tej sprawie. Dowiadujemy się, że przywódca wolnego świata płacił gwieździe porno za milczenie na temat romansu w czasach, gdy urodził się jego najmłodszy syn. Że w trakcie całej kariery robił wszystko, by podatków płacić jak najmniej, a najlepiej wcale. Dodajmy do tego brak samokontroli prezydenta, jego ciągłe werbalne ataki na media, migrantów i przeciwników politycznych. Wszystkiemu temu towarzyszy kompletny chaos w Białym Domu i wychodzące w kolejnych wypowiedziach współpracowników informacje o rażącej niekompetencji prezydenta.

Na tym tle Frank Underwood może wydawać się politykiem tylko nieznacznie bardziej skorumpowanym (choć ma na swoim koncie zbrodnie), a na pewno nieporównanie bardziej kompetentnym i lepszym dla Ameryki i świata. Frank jest postacią tragiczną, operującą w rejestrze wzniosłości. Polityka ery Trumpa wygląda z kolei jak operująca w rejestrze makabrycznego komizmu „opowieść idioty".

Sytuacja z Trumpem skazuje producentów takiego serialu na dwa równie złe scenariusze. Mogą ją ignorować, przedstawiając widzom historie, które na tle codziennych wiadomości wypadają blado, albo licytować się z rzeczywistością na grozę i okropieństwo. W ostatnim sezonie twórcy wybierają tę drugą taktykę. Polityka na najwyższym szczeblu w niczym nie różni się w nim od świata „Ojca chrzestnego". Trup ścieli się gęsto, jak w konfliktach mafijnych mord jest narzędziem rozwiązywania sporów. Twórcom nie udaje się jednak uwiarygodnić tej rzeczywistości w oczach widzów. Mamy wrażenie, że ktoś w stacji pomylił gatunki.

Caryca i bojarzy

Rzeczywistość dopadła „House of Cards" nie tylko od strony Trumpa. Zmianę głównego bohatera – z Franka Underwooda na jego żonę Claire – wymusiła akcja #MeToo. Oskarżenia o molestowanie seksualne – jakie wobec odtwarzającego główną rolę Kevina Spaceya wysunęło kilkunastu mężczyzn – wypłynęły w trakcie prac nad ostatnim sezonem. Netflix zdecydował się zwolnić aktora, uśmiercić jego postać i skrócić sezon z 13 do 8 odcinków.

Ta zmiana wzmocniła feministyczne przesłanie serialu. Już w poprzednim sezonie Frank podaje się do dymisji i oddaje stery państwa żonie. W ostatnim sezonie Claire samotnie prowadzi walkę o władzę. Jest w niej nawet bardziej bezwzględna niż mąż. A przy tym serial sprawia, że kibicujemy jej trochę na podobnej zasadzie, jak kibicujemy Pannie Młodej w „Kill Billu" Quentina Tarantino w jej zabójczej zemście. Wiemy, że bohaterka to morderczyni, ale jej ofiary to jeszcze gorsze zbiry.

Ostatni sezon wygląda więc jak kompensacyjna fantazja o politycznej zemście, wyprodukowana na potrzeby upokarzanej przez Trumpa liberalnej Ameryki. Claire podejmuje walkę o przyszłość Stanów z rodzeństwem wpływowych politycznie oligarchów – Annette i Billem Shephardami. Ich poglądy – deregulacja, państwo minimum, żadnych nowych podatków i regulacji – przypominają te głoszone od lat przez braci Koch, należących do najbogatszych Amerykanów przemysłowców. Miliony pompowane przez nich w Partię Republikańską przesunęły ją w ostatnich latach z dala od centrum, do prawej ściany, otwierając przestrzeń dla Trumpa.

Walka Claire z amerykańskimi oligarchami przypomina pojedynki Iwana Groźnego z bojarami z dyptyku Eisensteina. Tak jak Iwan, Claire na początku wydaje się bezradna i uzależniona od oligarchów. Bill Shephard dosłownie prowadzi jej rękę, wymuszając podpis pod przepchniętym przez Kongres prawem radykalnie osłabiającym obowiązujące przemysł regulacje ekologiczne. Bojarzy nie doceniają jednak determinacji i bezwzględności carycy. Dla widza caryca Claire bez wątpienia jest przerażająca, ale jednocześnie walczy o to, by kluczowe dla przyszłości kraju decyzje posiadał jednak demokratycznie wybierany urząd, a nie grupa miliarderów. Niejeden widz pomyśli sobie: „Gdyby Hillary była tak twarda, bylibyśmy dziś w innym miejscu".

Twórcom nie udaje się jednak pociągnąć do końca tej dwuznaczności, doprowadzić jej do jakiejś myślowej konkluzji. Serial na planie intelektualnym rozchodzi się podobnie jak na planie fabularnym. Coś, co zaczynało się jak szekspirowski traktat o mrocznej stronie demokracji, kończy się fabułą rodem z taniego kina gangsterskiego. A tymczasem w rzeczywistym Białym Domu toczy się nie mniej przerażający dramat. Pozostaje tylko czekać, w jaki sposób serialowa fikcja – najbardziej dziś „wydolna epicko" forma, zdolna portretować komplikacje rzeczywistości – zdoła się z nią zmierzyć. Że prędzej czy później spróbuje, jest oczywiste. ©

WARTO ZOBACZYĆ W TV [8 – 14 XII]

1. Generał

Teatr TV, reż. Aleksandra Popławska, Marek Kalita, Polska 2018, TVP1, 10 XII, 21.00

Sztuka, której autorem jest Jarosław Jakubowski, to tragikomedia inspirowana życiem Wojciecha Jaruzelskiego – daleka od publicystyki i historycznych sporów, za to bliska filmowym klimatom Davida Lyncha. Przed nami telewizyjna wersja głośnego przedstawienia z warszawskiego Teatru IMKA. W roli tytułowej Marek Kalita.

2. The Square

Komediodramat, reż. Ruben Östlund, Francja/Niemcy/ /Dania/Szwecja 2017, Canal+, 10 XII, 21.00, Canal+ 1, 10 XII, 22.00

Czy środowisko sztuki współczesnej stało się zakładnikiem politycznej poprawności? Twórca „Turysty" obśmiewa europejskie elity kulturalne, zarzucając im hipokryzję i odklejenie od problemów dzisiejszego świata. Zderzając swego bohatera z różnymi formami inności i z realną przemocą, prowokuje także „postępowego" widza.

3. 1945

Dramat, reż. Ferenc Török, Węgry 2017, HBO, 14 XII, 22.10

Minimalistyczny czarno-biały film dotyka trudnego w naszej części Europy tematu. Tuż po zakończeniu II wojny światowej do węgierskiej wioski przybywa dwóch ortodoksyjnych Żydów. Mieszkańcy, przygotowujący się właśnie do wesela, obawiają się, że przybysze mogą być potomkami ich żydowskich sąsiadów, chcącymi odzyskać rodzinne mienie.

4. Kino klasy Z!

Serial dokumentalny, reż. Régis Brochier, Francja 2015, ARTE

„Gliniarz samuraj", „Terror kanibali", „Jezioro zombich"... – w ośmiu króciutkich odcinkach twórcy przedstawiają fenomen najgorszych niskobudżetowych filmów wszech czasów. Niektóre za sprawą kaset wideo zyskały ongiś status kultowy, a dziś m.in. dzięki kanałowi YouTube przeżywają kolejną młodość.

Filtry obcości

ANITA PIOTROWSKA

„Fuga" jako studium relacji małżeńskiej i rodzicielskiej redefiniuje pojęcie bliskości. Kategoria „dobrej żony" czy „dobrej matki" zostaje zakwestionowana – bez oceniających znaczników.

Kino Agnieszki Smoczyńskiej posiada syreni ogon. W debiutanckich „Córkach dancingu", które otrzymały m.in. nagrodę za walory wizualne na festiwalu w Sundance, reżyserka potraktowała ów wątek dosłownie, zanurzając się w baśniowo-wampirycznym świecie półrybich nimfetek. Rozwydrzona, musicalowa formuła tego filmu przykrywała jego warstwy ciemniejsze. A była to w wymiarze głębokim opowieść o dziewczyńskiej obcości, budzącej fascynację i lęk, szykanowanej i eksploatowanej. Podobny, wbrew pozorom, łuskowaty ogon ciągnie za sobą bohaterka „Fugi", choć nie chodzi tu o wyobcowanie cielesne.

Tym razem brzemieniem, a zarazem demonem okazuje się pamięć – ta emocjonalna i ta faktograficzna, obie zresetowane na skutek tragicznych zdarzeń. Zaginiona przed dwoma laty Alicja (w tej roli Gabriela Muskała, scenarzystka filmu) wraca do rodzinnego domu jako zupełnie inna osoba, podczas gdy bliscy – jej mąż, rodzice, synek – na różne sposoby usiłują ją sobie oswoić i wymodelować. Choć w gruncie rzeczy wcale nie pragnęli jej powrotu. A może inaczej: pragnęliby raczej powrotu kogoś, kto wpasowywałby się w ich oczekiwania i wyobrażenia. Dawną Alicję zdążyli już pogrzebać żywcem, nową, każącą teraz nazywać siebie Kingą, odrzucają z całym jej kłopotliwym bagażem: frywolnym wyglądem, anarchistycznym stylem bycia, emocjonalną oschłością. I, oczywiście, z tajemniczą przeszłością, budzącą najgorsze podejrzenia.

Przypadłość bohaterki została zdiagnozowana już na początku – Alicja/Kinga cierpi na zaburzenie nerwicowe zwane fugą dysocjacyjną. Lecz, co ciekawe, otoczenie nieskore jest do znalezienia dla niej fachowej pomocy, a postać psychiatry szybko znika poza kadrem. Zapomnijmy jednak o interpretacyjnych wytrychach w rodzaju „rodzina jako źródło cierpień". Film Smoczyńskiej przepuszczony zostaje przez specjalny filtr obcości, który sprawia, że wraz z bohaterką zostajemy oddzieleni od reszty świata, a równocześnie widzimy go lekko zniekształconym. I to jest właśnie ów niewygodny „syreni" naddatek, widoczny zwłaszcza w mistrzowskich zdjęciach Jakuba Kijowskiego, które nie tylko izolują bohaterkę, ale także zanurzają ją w jej własnym „filmie". Podobnie zresztą odznacza się surrealnie zintensyfikowana warstwa dźwiękowa „Fugi".

Kamera u Smoczyńskiej ogromną wagę przywiązuje do usytuowania postaci w przestrzeni (oglądamy wszak opowieść o powrocie do domu z angielskim rozróżnieniem na *house*, czyli przestrzeń fizyczną, i *home*, przestrzeń emocjonalną), jak i wobec siebie nawzajem (wszelkie lustra, szyby i ramy spełniają tu niebagatelną rolę). „Fuga" jako studium relacji zarówno małżeńskiej, jak i rodzicielskiej

KRZYSZTOF WIKTOR / KINO ŚWIAT

Gabriela Muskała jako Alicja w filmie „Fuga”

redefiniuje bowiem pojęcie bliskości. Kategoria „dobrej żony” czy „dobrej matki” zostaje prowokacyjnie zakwestionowana – bez oceniających znaczników. W jednej ze scen ojciec bohaterki, w obawie przed jej kolejnymi zanikami pamięci, oznacza przedmioty kuchenne samoprzylepnymi karteczkami; nazywa rzeczy po imieniu. Za chwilę synek, wchodzący z Alicją/ /Kingą w nowy rodzaj kontaktu, obróci to w zabawę i zacznie zamieniać karteczki miejscami – trudno o bardziej czytelną metaforę stanu, w jakim się znalazła.

Najciekawszy jest w tym filmie wątek spotykającego się ponownie małżeństwa. Krzysztof, grany szorstko przez Łukasza Simlata, próbuje przywrócić żonie pamięć, ale robi to na własnych warunkach. W jakimś sensie pociąga go ta nowa, obca Alicja, ale z drugiej strony boi się nieznanego – sytuacja wyraźnie go przerasta. W tym sensie „Fuga” to film o miejscu, jakie zajmujemy w życiu innych ludzi. Miejscu raz na zawsze wyznaczonym i oznaczonym.

Być może więc „fuga” Alicji to po prostu ucieczka przed niemiłością. Być może ona nie chce sobie przypomnieć dawnej siebie, bo Kinga wcale nie tęskni za Alicją. Ale mogą też istnieć zupełnie inne, wykluczające się nawzajem wersje. Jak w gatunku muzycznym o tej samej nazwie, każdy z „wykonawców” ma tu swój temat. W filmie Smoczyńskiej osobne głosy tworzą utwór rządzący się własną, subiektywną logiką, wypreparowany z naskórkowej psychologii, uciekający (*nomen omen*) w rejony, gdzie nie dociera ani tomograf, ani werbalny język.

Dlatego pytania stawiane temu filmowi mogą być zarówno otwierające, jak i przyszpilające – takie, które dla zachowań bohaterów domagają się sztywnych i jednoznacznych uzasadnień. Tymczasem reżyserka za pomocą precyzyjnie wykreowanego nastroju więcej sugeruje niż opowiada. Nie dlatego, że ucieka od odpowiedzi, ale dlatego, że woli dać swojej historii przestrzeń i oddech. ©

FUGA – *reż. Agnieszka Smoczyńska. Prod. Polska/Czechy/Słowacja 2018. Dystryb. Kino Świat. W kinach od 7 grudnia.*

REKLAMA

TEATR 21

REWOLUCJA*

*KTÓREJ NIE BYŁO

PREMIERA: 7.12

SPEKTAKLE: 5, 6, 8, 9.12

TEATR SOHO, WARSZAWA, UL. MIŃSKA 25

bilety online: teatrsoho.interticket.pl

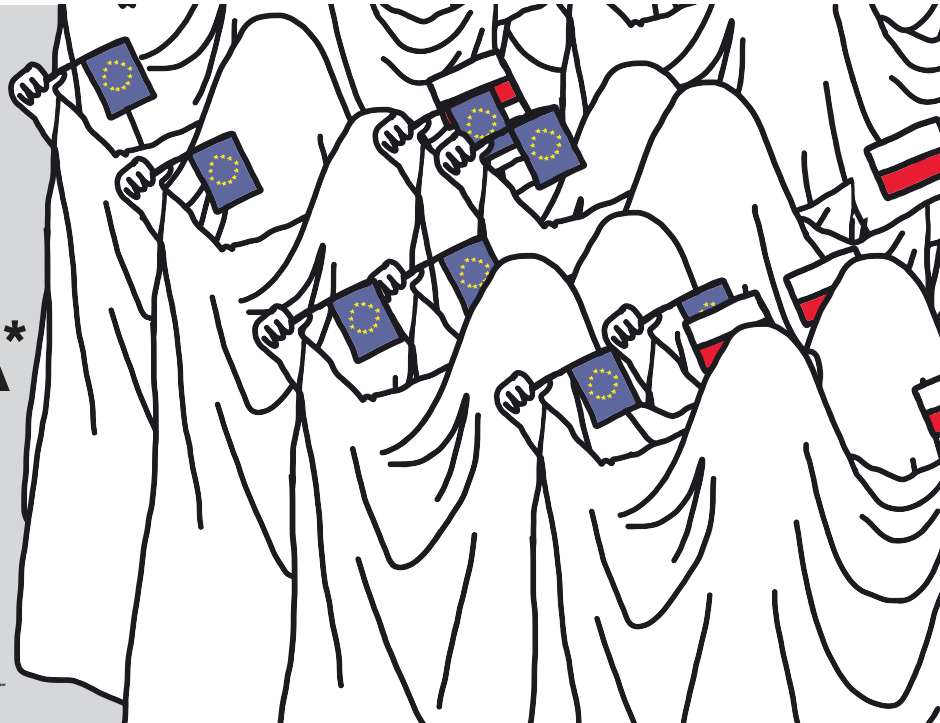

JAN

Klata:
Obić się o uszy

Ktoś mi kiedyś powiedział... a może nie powiedział, może przeczytałem... nie, raczej usłyszałem, ale nie wiem od kogo... ktoś chyba opowiadał... ale czy aby na pewno mnie... no, w każdym razie obiło mi się o uszy, że w ramach performansu nagradzanej artystki wynajęta przez nią śpiewaczka podczas ekskluzywnych targów sztuki w Londynie... podsłuchuje rozmowy gości, aby niespodziewanie na cały głos wyśpiewywać je w formie arii... taka niespodzianka.

Oczywiście, każdy uczestnik transportu masowego w naszym kraju mógłby w tym miejscu nieco zgryźliwie, acz celnie zauważyć, że takie rzeczy tylko w subtelnym, przerafinowanym dyskrecjonalnie Londynie, gdyż u nas w ojczyźnie treść najbardziej intymnych rozmów jest natychmiastowo ujawniana przez samych zainteresowanych – po prostu nasi współpasażerowie się nie krępują i drą na cały głos. Po co wynajęta śpiewaczka, skoro i tak wszyściuteńko słyszymy, chcąc nie chcąc, ale zdecydowanie częściej nie chcąc, i to bardzo. Mamy swoje czerstwe rapsy, nie potrzebujemy artystowskiej koloratury.

Drzewiej przynajmniej nie było telefonów komórkowych (tak, tak, był taki czas), więc jeśli się nie wpadło na grupkę znajomków-wrzaskunów, było w miarę cicho (poza tym autobusowe silniki bardziej zagłuszały), a teraz... szkoda gadać. Ciszej nad tą trumną... zwłaszcza w zakresie zestawów głośnomówiących używanych przez przechodniów w garniturach. Biznesludzie szybkim krokiem mówią do siebie, a raczej w przestrzeń, głośno a gremialnie, choć nie *unisono*, każdy na własną rękę *a capella*, a *capella* duża, gdyż ich capellą całe miasto, które biorą sobie we władanie bez krępacji konkretnym korpospeakiem.

A zatem u nas wariant ze śpiewaczką byłby do zrealizowania raczej wyłącznie w zaciszach gabinetów, na szczęście owych dyskretnych miejsc przynajmniej w stolicy nie brakuje, choć i w mniejszych ośrodkach jest jakaś Nowogrodzka, więc znalazłoby się sporo do głośnego, pięknego wyśpiewywania. Awangarda w służbie ludzkości. Obywatele w jakże przystępny sposób zapoznaliby się z realnymi działaniami władz każdego możliwego szczebla, w formie wpadającej w ucho, łatwej do powtórzenia, z kapitalnymi szlagwortami. I tak dalej operowy głuchy telefon nie pójdzie w las, pójdzie w lud.

Zamiast banalnych szumideł, z okien gabinetów wpływowych ludzi powinny wzlatywać podnoszące na duchu, estetycznie wysublimowane arie z wypowiedziami typu: „Zdziiiiiiiiiiisław ma swój plaaaaaaaan", „40 milionów", „Jezus Maria, gdzie my żyjemy", „Są dwa oboooooooozy", oraz „Reklamowała rajstopy... re-re-re-re-klamo-waaaaaała-raj-stoooooo-py!". ©

Lektor:
Niepewność

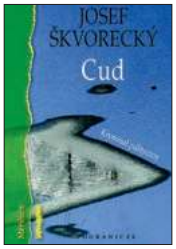

▪ *Josef Škvorecký*
CUD. KRYMINAŁ POLITYCZNY
Przełożył Andrzej S. Jagodziński,
Pogranicze, Sejny 2018, ss. 705.
Seria Meridian.

Trochę to śmieszne – o niebywale gęstej powieści, która liczy sobie 700 stron, pisać notę na dwa i pół tysiąca znaków. A chodzi o wielkiego pisarza, jednego z czeskiej trójcy Hrabal-Kundera-Škvorecký. Cóż, spróbujmy, a może później – jak to było z książką Škvoreckiego o czeskim filmie – uda się o „Cudzie" opublikować w „Tygodniku" coś więcej.

„Cud" był pierwszą powieścią Škvoreckiego (1924–2017) wydaną na emigracji w Toronto (1972), w wydawnictwie założonym z żoną Zdeną Salivarovą. Bohaterem powieści jest, jak we wcześniejszych „Tchórzach" i „Batalionie czołgów", a później w „Fajnym sezonie" i „Przypadkach inżyniera ludzkich dusz", Danny Smiřický, *alter ego* autora. Groteskowa tonacja całości świadomie kontrastuje z dramatyzmem opisywanych wydarzeń. Bo „Cud", którego akcja opowiadana jest achronologicznie i obejmuje ponad dwie dekady, jest powieścią z kluczem. Tytuł nawiązuje do wydarzeń w kościele w Číhošti, gdzie w grudniu 1949 r., już po rozpoczęciu antyreligijnej ofensywy komunistów, krucyfiks w ołtarzu miał się kilkakrotnie poruszyć. Ofiarą cudu (do dziś niewyjaśnionego) padł miejscowy proboszcz Josef Toufar (w powieści nazywa się Doufal) – aresztowany i poddany okrutnym torturom, w stanie agonalnym trafił do szpitala, gdzie zmarł; dziś jest kandydatem na ołtarze. Ten kryminalno-teologiczny wątek (krucyfiks zostaje w nim zastąpiony figurą św. Józefa) wypływa ponownie u progu Praskiej Wiosny, a Danny, który poznał księdza Doufala przed jego śmiercią, wplątany będzie w dochodzenie dotyczące przyczyn jego zgonu. Przede wszystkim jednak Danny staje się świadkiem nadzwyczaj gwałtownych przemian ludzi zaangażowanych niegdyś w komunizm (czy wręcz stalinizm), festiwalu hipokryzji, wyszukiwania kozłów ofiarnych. Wspomniałem o powieści z kluczem – poza księdzem Toufarem-Doufalem jest tu mnóstwo innych zapseudonimowanych postaci. Domyślam się w nich np. znakomitego poety Jana Zahradníčka, uwięzionego w 1951 r. i zwolnionego dziewięć lat później, tuż przed śmiercią, czy Hedy Margoliovej, której mąż Rudolf był jedną z ofiar procesu Rudolfa Slánskiego.
No i Václava Havla, „radykalnego dramatopisarza".
Jest w tej powieści kawał historii powojennych Czech. Pokazany z dosyć okrutnym dystansem, ale w sposób świetny literacko. Czegóż jednak innego spodziewać się od mistrza? ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Księżycowe problemy

Trzydzieści dwa procent. Tyle, według najnowszego raportu Światowej Organizacji Żywnościowej... pauza. Zanim opowiem wam o liczbie, którą wybrałem na ten tydzień, wyjrzyjmy przez okno na księżyc. Nic nie widać, bo dziś jest nów? Aż musieliście sprawdzić ten fakt w internetach, któż bowiem dzisiaj żyje wedle księżyca i umiałby z marszu odpowiedzieć, jaką dziś mamy kwadrę? Dla naszych dziadków, zwłaszcza tych ze wsi, sporo od tego zależało w obrządkach pola, ciała i ducha. Dziś o tym myślą tylko pięknoduchy. Głośno niedawno było o pewnej scysji: stołeczna pisarka i socjolożka w publicznym poście na Facebooku wyraziła zachwyt, iż księżyc jest jak „wielki żuk wywrócony na plecy". Nie minęła godzina, aż jej ścianę nawiedziła egeria wyższego towarzystwa Warszawy, grzmiąc, jak tylko wykładowcom etyki, dźwigającym brzemię autorytetu, wypada: „jak ty możesz tak żyć, zajmując się księżycem, podróżami i innymi dziwnymi sprawami, nie angażując się w politykę".

Co to się działo, co się działo, Facebooka pół ze śmiechu się skręcało – można strawestować pieśniarza, czułego na komizm sytuacji, gdy ktoś miesza porządki. Przegrzanie umysłowe ludzi dających się wciągnąć w apokaliptyczny schemat walki dobra ze złem w polityce to jeden z większych sukcesów naczelnika panującej nam partii. Sam będąc krwią z krwi postszlacheckiej inteligencji, działa od środka tej formacji jak terminalny mikrob, podsycając do chorobliwych rozmiarów jej wrodzone odruchy i fobie. A jeśli coś tu w ogóle jest „dziwną sprawą", to najprędzej polityka w postaci nam dostępnej, pełna kitu wciskanego przez dwóch pijanych szklarzy.

Ale fakt, dzieją się jednak rzeczy, od których przechodzi ochota gapić się na księżyc. Albo na baleron. Jaki znów baleron? Już tłumaczę. Chcąc odpocząć od polityki, wpadam czasem na kolegów zajmujących się zawodowo spożywaniem jadła i popijaniem wina, ci zaś dzielą się wiadomościami, co gdzie rzucili. Jak bowiem zauważył wspominany tu nieraz poszukiwacz smaków Zbyszek Kmieć, za komuny ludzie tracili mnóstwo czasu, żeby wystać w kolejce wędlinę – dziś tracą go tyle samo, żeby w powodzi barachła znaleźć wędlinę, która jest uczciwa. Łzy mi niemal pociekły, gdym tydzień temu usłyszał: jest do kupienia baleron od Lorków (a to nazwisko stanowi w świecie żarłoków mocny pewniak). Nie powiem gdzie, bo wszyscy pobiegną i nie starczy potem dla mnie.

Łzy i ślinka. Ten baleron – rzecz rzadsza od wszystkich *prosciutto* i *jamon*, które można w każdym większym mieście kupić – był dla mnie jak pierwsza lampeczka tego świątecznego sezonu. Do tego jeszcze zostałem zaproszony do kolegi na śniadanie z móżdżkiem smażonym z jajkami na tłuszczu z cielęcych nerek – w męskim świecie samotników to prawie jak obietnica porannego przebudzenia w pachnących snem ramionach. Życie bywa piękne, myślałem, jadąc pod wskazany adres, ale przecież te zachwyty i drobne wzruszenia to tylko cienka firanka, która i tak nie zasłoni prawdy.

32 proc. kobiet w wieku rozrodczym na świecie ma anemię, co raport Światowej Organizacji Żywnościowej łączy ze zjawiskiem chronicznego niedożywienia lub diety owszem obfitej, ale niezdrowej, również związanej z biedą. Na głód (ukryty pod biurokratyczną czapką „braku bezpieczeństwa żywnościowego") cierpi ponad 11 proc. ludności Ziemi, więcej niż rok temu – przy czym w niektórych rejonach Afryki jest to ponad 30. Wzrasta liczba nagłych kryzysów żywnościowych – po części wywołanych wojnami, po części zmianami klimatu, do których nie mamy szans się zaadaptować, tak szybko przebiegają.

I co ja mam na to uczynić? Głód na świecie to wynik systemowych nierówności, jaskrawo widoczny (bo przecież towarzyszył ludzkości od zawsze) dopiero wtedy, gdy pewna część świata od niego faktycznie się uwolniła. Można zyskać częściowy spokój sumienia, hamując dalszą własną zachłanność na dobrobyt, chociaż nie wiem, czy od tego, że Europa przestanie żreć i marnować jak opętana, po drugiej stronie równania, w Afryce czy Azji, coś się zmieni. Podobnie nie wiem, czy cokolwiek zatrzyma klimatyczny kataklizm – z zalewu treści o ociepleniu przy okazji szczytu w Katowicach umiem wyciągnąć jedynie podejrzenie, że jest już za późno, chyba że od jutra zrezygnujemy z każdej wygody, która wydaje się nam dziś przyrodzonym prawem człowieka. Tylko żaden polityk nie odważy się tego powiedzieć, bo i tak go nikt nie posłucha.

Samochodu nie mam, prawie nie latam, mięso jem rzadko, ogrzewam się oszczędnie, bojkotuję koncerny niszczące ekosystemy i pogłębiające głód... To jak? Mogę skoczyć po ten baleron? *All I want for Christmas...* ©℗

ISTOCK / GETTY IMAGES

Kiedy myślę o diecie bogatej w żelazo – a nie lubię wątróbki – to pierwsza jest oczywiście soczewica. Często ją skazujemy tylko na rolę wypełniacza do wegeburgerów i pasztetów. Dam wam dziś pomysł na ciepłe, gęste, grudniowe danie, udające dobrze gulasz.

W ciężkim żeliwnym garnku na 3 łyżkach oliwy podgrzewamy rozgnieciony ząbek czosnku i posiekany 1 cm imbiru. Dodajemy listek laurowy, kawałek kory cynamonu i gałązkę rozmarynu, dwie marchewki pokrojone w talarki, 2-3 średnie buraki obrane i przepołowione, 200 g zielonej lub brązowej soczewicy (opłukanej). Zwiększamy ogień, dusimy wszystko razem mieszając parę minut, podlewamy 150 ml czerwonego wina, odparowujemy, wlewamy ok. 0,5 l wody (tyle żeby ledwo przykryła), zmniejszamy ogień, i bardzo powolutku dusimy co najmniej 2 godziny, mieszając czasami i sprawdzając, czy się nie przypala (w takim razie dolewamy wody). Pod koniec dajemy sól, pieprz, wyłączamy ogień, usuwamy laur i cynamon, wkręcamy 2 łyżki masła. Buraki można przed podaniem pokroić na plasterki.

ZMYSŁY

TYSIĄC LAT SAMOTNOŚCI

Boję się prawdziwych samotników z wyboru. Ich samotność to poważna postać błazna, który wie, jak wygląda naprawdę podszewka rzeczy, i parodiuje komedię ludzką.

MAREK BIEŃCZYK

DENIS BALIBOUSE / REUTERS / FORUM

Jan Jakub Rousseau wielbił jezioro Bienne, do którego w „Marzeniach samotnego wędrowca" wciąż wraca. Przebywał przez jakiś czas na wysepce św. Piotra; dzisiaj można w tutejszym zameczku-hotelu zwiedzać jego pokój. Stoi w nim to, co w każdym pokoju dawnego pisarza: prycza, stół, krzesło, szafka; wokół roznosi się zapach ascezy. Ale jest coś jeszcze. Dziura w podłodze. Rodzaj zapadni czy skrytki, do której Jan Jakub schodził, gdy ktoś zajeżdżał go odwiedzić.

Trudno od tego lochu pod podłogą oderwać wzrok, przestać go kontemplować jako artefakt samotności (podobną skrytkę miał w swej celi św. Makary) i przestać sobie wyobrażać, jak to goście zaglądają do komnaty i im bardziej zaglądają, tym bardziej w niej Jana Jakuba nie ma. Co nie przeszkadza mu pisać długich stronic o przekleństwie samotności i o radościach życia wspólnotowego.

Odrzutek czy wilkołak?

Przypadek Rousseau jest dla historii samotników niemal kompletny. Zawiera poczucie bycia wykluczonym ze zbiorowości i pragnienie wykluczenia siebie własnym sumptem. Narastające przekonanie, że samotność należy do samej istoty ludzkiej kondycji, i przeświadczenie, że jego samotny los jest wynikiem złośliwej ludzkiej zmowy, spisku dopiero co zawiązanego. Pisma o pakcie społecznym, o konstruowaniu wspólnoty i wyznania o własnym odosobnieniu, rozkosznym odchodzeniu na margines świata. Wiara w przezroczystość serc, pełne porozumienie z innymi i doświadczenie całkowitego rozczarowania międzyludzką komunikacją. Samotne spotkanie z Bogiem i pragnienie zbiorowej świętości.

W literaturze polskiej chyba tylko Adam Mickiewicz może się pod tym względem – chodzi o rozpiętość tematyczną, nie o osobowość – z Rousseau równać; ustawiać z taką siłą naprzeciw siebie dwa bloki: samotności i solidarności. W postaci Gustawa, ale też Konrada, samotnego buntownika w obliczu Boga, czy w postaci poety medytującego nad wodą czystą i przejrzystą, stworzył najbardziej przejmujące portrety samotności, i pisał jednocześnie teksty najmocniej ze wszystkich w jego stuleciu cementujące narodowego ducha zbiorowego, choćby pod hasłem „kochajmy się!".

Wyśmiewano Rousseau za jego skłonności do ucieczki w siną dal, za brak towarzyskiej ogłady i wilczą naturę, Diderot sportretował go jako nieznośnego mizantropa, na jego widok mrugano do siebie porozumiewawczo okiem. Tajemnica osobowości – odrzutek czy wilkołak? – Jana Jakuba to zarazem fun-

damentalna aporia samotności. Bierze się samotność z nadania rzeczy, z niepojętych jak nasze usposobienie predyspozycji, z naszej natury; czy też jest bardziej wynikiem długiego obrotu rzeczy, środowiskowych perypetii, zatem przychodzi od przypadków naszego życia?

Tak czy owak, samotność wchodzi w ciało. Wytwarza aurę wyjątkowości albo nieszczęścia. Myślę, że tak było w przypadku Jana Jakuba. Istnieje teatr samotności czy też jej pantomima. Bezwiedne, ale odgrywane; cała fizjologia odchodzenia na bok. Czasami da się to uchwycić, na przyjęciu, w parku, na bulwarze. Pewien szczególny sposób marszu, stawiania kroków, trzymania rąk. I szczególny wyraz twarzy. Trudno go opisać, złapać na gorącym uczynku, ale tak, istnieje również grymas samotności.

O tym w wydanej właśnie książce Georges'a Minois „Historia samotności i samotników" (przekład Wandy Klenczon) się nie mówi, lecz czytając jego drobiazgową historię samotności od starożytnych po dzień dzisiejszy, można sobie wyobrażać postacie samotników, jakby stali tu obok; coś by ich fizycznie łączyło. Malarze portretowali w dawnych wiekach, a rzeźbiarze ciosali alegoryczne twarze cnót i niecnót, a także stanów duszy: skąpstwa, rozpusty, szaleństwa. Ale mało było wśród nich alegorii ↦

↦ samotności, to zrozumiały brak; Samotność u Edwarda Muncha odwraca się do nas plecami, bo przecież to plecy są jej obliczem.

Samotności nie da się łatwo przyszpilić i odmalować, gdyż pasuje do obu stron filozoficznej opowieści o podmiocie: esencji i egzystencji. U niektórych może się okazać, rzekłbym, piątym „nieoficjalnym" humorem; są melancholicy, flegmatycy, sangwinicy i cholerycy, są także samotnicy. Robert Burton w „Anatomii melancholii" jednoznacznie łączy upodobanie do samotności z humorem melancholicznym, lecz w ten sposób upraszcza kwestię. Samotność, czy raczej samotniczość przylepiać się może do każdego temperamentu i naznaczać kogoś od niemal szczenięcych lat. Podobnie jak nasze usposobienie, które potrzebuje nieco czasu, by utrwalić w człowieku swój profil, tak samotność wyrabia się w trakcie życia, by zacząć naznaczać osobowość (a z czasem coraz silniej ją formować) gdzieś na przełomie wieku dziecięcego i młodzieńczego. Czyli jednak bardzo wcześnie.

To po stronie istoty, niezmiennej esencji: są samotnicy niejako z urodzenia. Po stronie egzystencji zew samotności przychodzi natomiast kapryśnie, raz tak, dwa razy nie. Tak jak każdemu zdarza się odczuwać smutek, wściekłość czy nagłą radość, tak każdego nachodzi czasem chęć odosobnienia się, odejścia na bok. Niekiedy to tylko nagła ochota, własna inicjatywa, niekiedy poważny wybór. Innym razem wyrok przychodzący z zewnątrz: świat nakazuje spakować nam manatki.

Pięknym przykładem historycznym są wspomniani przez Minois liczni dworzanie i ludzie stanu, których Ludwik XIV Słońce usunął ze swego otoczenia i którzy, wiejscy emigranci dysponujący wykwintną francuszczyzną i pewnym talentem literackim, zaczęli opiewać uroki rustykalnych samotni. Smutnym przykładem codziennym są ludzie porzuceni przez bliskich lub ci, którym najbliżsi obumarli i którzy wysiadują teraz w oknach. Albo – to trudniejsze do uchwycenia, mocno tłumione zjawisko – ci, którzy czują się sami w związkach, skazani na samotność przez mężów i żony, strzegących swą obecność przed popadnięciem we współobycie, we współobecność. Na obrazie Muncha Samotność to w końcu dwie stojące obok siebie sylwetki, tak blisko i tak przeraźliwie daleko.

Nikt nie przepadał za towarzystwem Jana Jakuba, za jego grą w „jak nie być kochanym"; zawsze ucieka się od osób zbyt mocno promieniujących sobą. Zapewne trochę się go obawiano, gdyż nieustannie sączyło się z niego nieme oskarżenie. Ludzie wokół czuli dyskomfort: zdawał się widzieć rzeczy, których inni nie spostrzegają. Jasne że wariat, ale... Można ich zrozumieć, sam boję się prawdziwych samotników z wyboru, gdyż ich samotność to nic innego niż poważna postać błazna. A błazen zaś to ktoś, kto wie, jak wygląda naprawdę podszewka rzeczy, i parodiuje komedię ludzką, której mechanizmy doskonale rozpoznał. Samotnik, pustelnik jest również kimś, kto, wydaje się nam, zdobył podobną wiedzę i swą nieprzekupną powagą, poświadczoną wymownym milczeniem, punktuje słabości tych, którzy zostali przy świecie, w gromadzie. Pierwowzorem – błaznem i samotnikiem zarazem – był Demokryt z Abdery, zapamiętany tak z przeraźliwego chichotu nad nędzą świata, jak z melancholii i milczenia. Jego cień wisi nad światem od niepamięci i jego „styl życia" wciąż wzywa kolejnych naśladowców.

Samotnik taki jest trochę jak anorektyk i abstynent przy stole; jak można tyle żreć i pić, czytamy w jego wzroku; z oczu samotnika bije: jak można tak żyć? Niewzruszona powaga prawdziwego samotnika wobec własnej kondycji sprawia otoczeniu pewne kłopoty. Bo – czujemy – wyzwala się w nim mechanizm nieprzekupnej dyscypliny, przeto i myślenia totalnego, czyniącego z „ja" warownię, dopiętą monadę wykluczającą wszelką nieszczelność. W dążeniu do samotności można nie lubić jej żelaznej konsekwencji, żywić pewne podejrzenia co do jej bolesnej rozkoszy. Alcest, mizantrop Moliera, nie dlatego jest antypatyczny, że plwa na bliźnich, lecz dlatego, że jest w swym stronieniu od towarzystwa skrajnie metodyczny. Rousseau odstręcza, gdyż bez wyjątku bierze innych za kata, siebie zaś za ofiarę, a ofiara ma zawsze rację.

Dlatego wybór samotności czy dążenie ku niej wydać się może praktycznym, podręcznym idealizmem. Radykalnym kultywowaniem „ja", któremu powierza się misję kontaktu z prawdą, pod jakąkolwiek postacią ją sobie wyobrazić: milczenia, Boga czy niepokalanej czystości.

Jak wówczas przemawia samotność? Ciekawe wydaje się napięcie między niedomówieniem a pełnią: samotność spełniona to udany oksymoron, niedogadana całość, cały wszechświat wysnuty z drobinki, jaką jesteśmy. Kiedy odchodzimy na bok, wycofujemy się w siebie, kiedy czujemy, że oddajemy się samotności (a wtedy za każdym razem mamy wrażenie, że przekraczamy próg, granicę dźwięku), rozrasta się w nas cisza. Ta cisza to małe nic, nasza nieopowiedziana, nieuściślona historia. Lecz okazuje się punktem dojścia, z którego widać niczym z lotu ptaka miarę wszystkiego. Podmiot staje się wówczas, jak określa to Emil Cioran medytujący nad samotnością, „podmiotem absolutnym". A człowiek, można by dodać złośliwie, talibem własnego ja.

Dlatego obok głośnej samotności Jana Jakuba trzeba wyróżniać samotność cichą, dyskretną. Historia dyskretności jest jeszcze do napisania. Obejmowałaby ona samotność, lecz także doświadczenie, które, choć pokrewne, jej się wymyka. Wyrażające postawę wyciszenia i oderwania się od świata, lecz, niczym jego cień, przesuwającą się w tym samym co on kierunku, niezrywającą całkowicie więzów. O ile samotność bywa paradoksalnie krzykliwa, o tyle jej *alter ego* – siostra dyskrecja – zachowuje zawsze dobry smak. I jest może najelegantszą formą bycia.

Występek

O samotności mowa jest w kulturze europejskiej od – oczywiście – starożytnych Greków, czyli od chwili, gdy rodzi się silna świadomość tego, czym jest społeczność. Samotność pozostaje od tamtych czasów, jak pokazuje Georges Minois, niewyczerpanym tematem rozważań i osądów; literatura tematu okazuje się przeogromna. Wstępujemy przez 600 stron w kopalnie fantastycznie ciekawych cytatów i drobnych przykładów; im konkretniej, tym jest ciekawiej.

Minois jest autorem niezwykle płodnym; spod jego pióra wyszły między innymi „Historia starości", „Historia śmiechu i ośmieszania", „Historia samobójstwa" i inne podobne sprawozdania z wybranego tematu przez całe europejskie dzieje. Takich tematycznych opracowań, wywodzących się z ducha szkoły Annales, mamy już w historiografii mnóstwo. Ale metoda chyba trochę się przeżyła. Widać to najlepiej po ostatnich rozdziałach dotyczących najnowszych czasów: tylu teraz autorów mówi o samotności, przytaczamy zdanie czy dwa z krótkim komentarzem i lecimy do następnego pisarza czy myśliciela; niezbyt wiele z tego encyklopedycznego ducha wynika,

katalog wygrywa z linią przewodnią. Więcej przynoszą opowieści, w których historyk zostawia w sobie nieco miejsca dla pisarza – jak choćby w tych innych dziejach samobójstw, które spisał Stefan Chwin.

Samotności trzeba przyznać godność toposu i jako taki jest ona, jak każdy topos, obrotowa: obsługuje, podobnie jak melancholia, różne wartości; może być i mordercza, i twórcza. W książce Minois wciąż powraca podział ludzkości na cenobitów, tych, którzy upatrują wartość w życiu zbiorowym, i eremitów, szukających odosobnienia. Co prawda bierze się on z doktryn życia zakonnego, lecz dwustronny ruch skupiania się i rozproszenia przebiega przez całe dzieje naszej cywilizacji. Zmieniają się proporcje i uwarunkowania, motywacje i sposoby wartościowania obu postaw, gdyby jednak wycisnąć z książki sedno, otrzymalibyśmy jeden ponadhistoryczny schemat.

Pierwotną czy pierwszą wartością jest bez względu na epokę życie zbiorowe, społeczne, wspólnotowe, samotność tę wartość fatalnie narusza, lecz może mieć swoje dobre przyczyny i dobroczynne skutki. I tak przez wszystkie czasy. Parę miesięcy temu prezydent Macron mówił o samotności jako palącym problemie społecznym (każda władza, nawet ta najbardziej liberalna, uznać musi samotność za siłę potencjalnie wywrotową, niebezpieczną dla tzw. tkanki społecznej), 2500 lat temu Ateny uznawały samotność za występek przeciw państwu; samotność była dla Greków nie do przyjęcia, wręcz nie do pomyślenia.

Filozofowanie na temat samotności wobec nieszczęścia samotności, bycie Cioranem (Scavino, Camusem, Thoreau...) i czytanie Ciorana jest luksusem, na który mało kto może sobie pozwolić. Georges Minois pod koniec książki, gdy mowa o czasach najnowszych, zaczyna sypać statystykami, powstrzymującymi ochotę na spekulacje. 4 miliony osób deklarujących się jako samotne we Francji w roku 2004. Nie umiem sobie wyobrazić, jak to było liczone, lecz wystarczy rozejrzeć się wokół, by uwierzyć w cyfry. Dlatego dość ostrożnie trzeba podchodzić do filozoficznej czy poetyckiej obróbki tematu samotności; podejście socjologiczne (czytaj: opowieść o masie cierpienia) zbyt mocno przemawia. Tak mocno, że cierpienie opuszczonych zdaje się rozrywać topos; co komu po Gustawie, gdy mieszkanie puste.

Puste dni, dziewicze płótna

Mam przed sobą właśnie wydaną w Ameryce książkę Michaela Harrisa „Samotność. O poszukiwaniu osobnego życia w zatłoczonym świecie". Nic takiego, kolejna pochwała samotności, która pozwala uciec od „wszechobecnej frenezji" i znaleźć w chwilowym odosobnieniu źródła natchnienia i rewitalizującej energii. Sztuka samotności, pisze Harris, zamienia „puste dni w dziewicze płótna". Typowy amerykański pragmatyzm, który poleca zamożniejszym terapię samotnością, by odzyskiwać dobrą formę i wracać nią naładowanym do miasta, by żyć lepiej. Harris zawrze za chwilę związek małżeński – z ludźmi.

Samotność bywa krzykliwa,
ale jej siostra dyskrecja zachowuje zawsze dobry smak. I jest najelegantszą formą bycia.

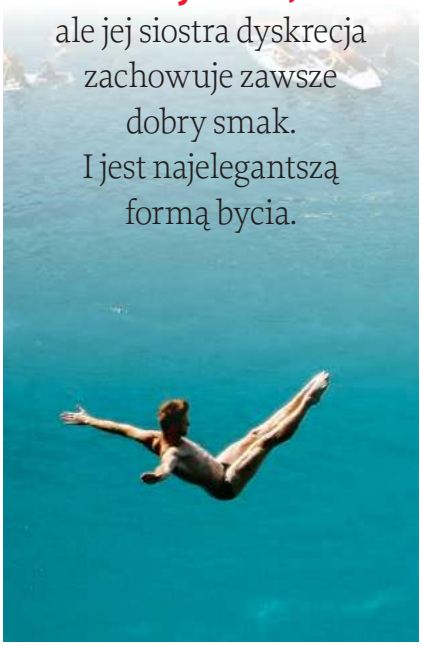

Pochwały samotności wygłaszane są od 2 tysięcy lat. Dzisiaj, gdy najważniejszymi, najlepiej sprzedającymi się książkami na rynku stały się wszelkiej maści przewodniki typu „jak lepiej żyć", wymiar terapeutyczno-pomocniczy przeważa. Jak ratować się odosobnieniem, jak być świadomym i szczęśliwym singlem itd., itp. Mody na samotność nie są wymysłem ani naszych czasów, ani romantyków, ani epoki Montaigne'a. Raczej falują przez stulecia, to przebijają się na wierzch, to są mniej na rzeczy. We Francji z wieku na wiek coraz bardziej salonowej – a Francją Minois zajmuje się przede wszystkim – ich oddziaływanie jest względnie niewielkie. „Niebezpieczne związki" Laclosa pokazują najlepiej, czym jest samotność w XVIII-wiecznym świecie libertyńskim: społecznym ostracyzmem, najwyższą karą za przekroczenie niepisanego kodeksu. Wraz z preromantycznym Rousseau zaczyna się epoka indywidualizmu, która faworyzuje samotnicze skłonności, wiadomo, ale to w pierwszych wiekach po narodzeniu Chrystusa i w najwcześniejszym średniowieczu panowała najsilniejsza euforia samotności i wówczas powstawały jej najbardziej frenetyczne pochwały.

Euforia dotykała nie tylko, co oczywiste, Ojców Pustyni i ich późniejszych licznych epigonów, lecz także ich kibiców, gawiedzi śledzącej kolejne osiągnięcia w dziedzinie pustelnictwa. Minois opisuje nie bez humoru zażartą rywalizację wśród Ojców na to, „kto okaże się najbardziej ekscentryczny", kto się prześcignie w samotniczych umartwieniach, będzie „czempionem samotności". Są „stylici, ścigający się, kto najdłużej wytrzyma na słupie; dendryci, którzy żyją na drzewach; herbifori – przeżuwacze skubiący trawę niczym zwierzęta; adamici, całkiem nadzy pod palącym słońcem". Pomysłów na jak najbardziej skuteczną i widowiskową samotność jest co niemiara, wprawiają w osłupienie, nawet jeśli stoją za nimi wielkie teologiczne kwestie i wielka wiara. Takiej histerycznej dosłowności, takiego społecznego paroksyzmu, takiego momentu historycznego później w dziejach samotności nie było i kolejne jej pochwały przez kolejne stulecia muszą wydać się raczej paliatywne: będą samotność nie rozjątrzały, lecz w taki czy inny sposób ją obłaskawiały.

Czy jest zatem sens, by stawiać na sam koniec książki pytanie: „kto jest ostatecznie bardziej samotny, eremita na słupie czy bloger przed monitorem?". Określenie *homo communicans*, „rozproszonego, anonimowanego i wirtualnego", jest najnowszym i najgłębszym zarazem wcieleniem samotności? Wszelkie rozważania o internecie i rzeczywistości wirtualnej jako nowym źródle samotności wydają mi się bez większego znaczenia; samotność w sieci to tylko wygodny szlagwort, by wyrazić tradycyjne odczucie, że kiedyś było lepiej. Nie było lepiej. Ludzie nie porozumiewali się lepiej niż dzisiaj, ani nie byli sobie bliżsi. Samotność natomiast stawiała zawsze to samo pytanie: o możliwość alternatywnego świata tu, na ziemi. Takiego świata nie ma, ale nie da się o niego nie pytać.

© MAREK BIEŃCZYK

STANISŁAW

Mancewicz:
Inteligentne wapno

Sceny z życia polskiej dyplomacji i wspierającej ją publicystyki muszą znaleźć się w niesłychanie wymagającym kanonie tutejszych komedii. Takoż jednak warto się nad tym zastanowić z racji unikatowych w skali globu wartości, by owe działania natychmiast wpisać na listę UNESCO. Na listę Pamięci Świata, by oto pamięć o dyplomatach Gospodarza i oddanych mu piśmiennych funkcjonariuszach nie zaginęła. Jest coś szalenie intrygującego z psychologicznego punktu widzenia w sytuacji, w której ludzie o klinicznym przeroście gruczołu godności decydują się wyłącznie na gesty wystawiające ów gruczoł na pośmiewisko. Zjawisko to ma najpewniej jakąś łacińską nazwę. Jedną albo i kilka, zdaje się bowiem, że jest to syndrom. Zjawisk oczywiście.

Jeśli idzie o wydarzenia historyczne – takoż jest intrygująco. Tu nie mamy kłopotu w nazwaniu zjawisk, mamy bowiem zbiorczą nazwę szalejącego w tej branży orkanu, a brzmi ona „Konia kują, a żaba nogę podstawia". Między nami mówiąc, z tego arcypolskiego zdania należałoby żabcię wycofać i wprowadzić zamiast niej przepoczciwą stonogę. Mamy tu do czynienia z – można by tak to nazwać – saturacją. Nasycenia historii heroicznymi czynami pierwszego z brzegu wyznawcy Gospodarza, choćby był on byłym zomowcem, milicjantem, prokuratorem od Jaruzela, nie idzie już zmierzyć dostępnymi nam aparatami.

W sprawach sfery gospodarczej takoż jesteśmy przejedzeni. Oryginalna zapowiedź zezłomowania wiatraków, przemieniających wiatr w prąd, stała się faktem z mocy prawa. Obecna minister edukacji Anna Zalewska wyraziła ongiś – jak przeczytaliśmy – zaniepokojenie tej treści: „Nie chcę, aby któregoś dnia śmigło wielkości autobusu spadło mi na głowę". Któż by chciał. Ale tak oto przedziwny lęk jednej pani o swoistym podejściu do nauki, lęk zarówno przed śmigłami, jak i latającymi autobusami, skoryguje polską politykę energetyczną na dziesięciolecia. Samo się rozumie, że prawdopodobieństwo zamknięcia polskiego nieba dla samolotów to już tylko kwestia czasu. Samoloty są bowiem na ogół większe od autobusów, nie mówiąc o drobnostce – latają, choć są cięższe od powietrza, co samo przez się wydaje się niezgodne z teoriami *à la* PiS. Oczywiście, że energia odnawialna jest w tym środowisku uważana za niebezpieczną, bo jest to pomysł z gruntu nieprawicowy. Prąd da nam zatem, jak nie węgiel z Rosji, to – czytamy – atom. Okej. Znając jednak kompetencje ludzi Gospodarza, niechaj kto umie modli się, by po uruchomieniu przez nich w Polsce elektrowni jądrowej nie wyrosły nam wszystkim huby na łbach bądź różki, czy co tam kto woli. Zaiste rzec trzeba, że wobec takiej perspektywy wybrać wypada inne zło, bardziej tradycyjne, i lepiej byśmy oświetlali nasze domostwa prądem pochodzącym ze spalania opon, których jest przecież dostatek. To się wydaje szalenie dobrym rozwiązaniem ponad podziałami. Gdyby Gospodarz miał siłę i sprawowałby tu rządy od zarania, jeździliby dziś Państwo saniami do kościoła, również w lecie oczywiście. Każdy bowiem wie, że wszelkie lewicowe zło zaczęło się od wynalezienia koła. Od rzemyczka do koziczka – jak mawiają Polacy, odkąd używają rzemyków.

I na koniec. Zaiste człowiek ma na co dzień do czynienia z zupełnie nową i gigantyczną ofertą rzeczy „inteligentnych". Ostatnio – dla przykładu – kupiliśmy sobie „inteligentne wapno", trochę z zawiści, znajome panie mają bowiem na wyposażeniu ogromne ilości „inteligentnych" kosmetyków. Obserwując nasz organizm po zażyciu inteligentnego wapna, nie stwierdziliśmy jakichś szokujących zmian na lepsze, niemniej na oko wapno owo jest rzeczywiście inteligentniejsze od polskich służb dyplomatycznych, minister edukacji, ale i ministrów obecnych w ogóle, z ministrem kultury włącznie. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

Najlepsze teksty o czytaniu i do czytania

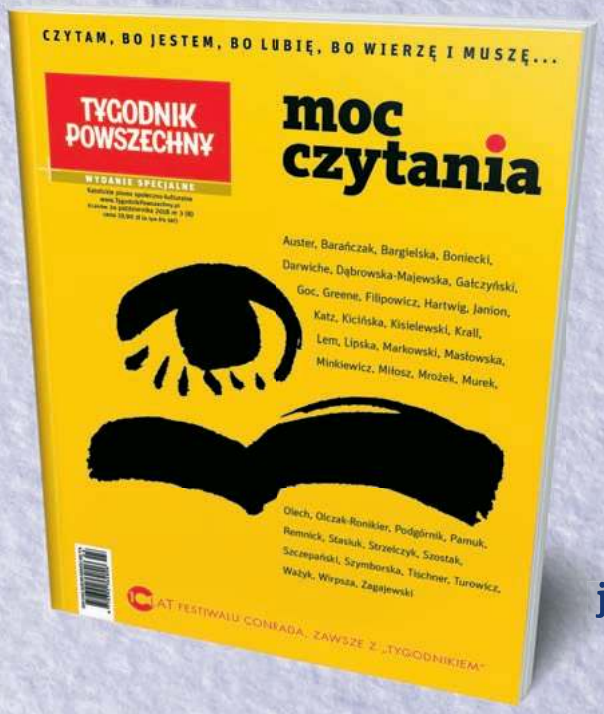

Auster, Barańczak, Bargielska, Boniecki, Greene, Filipowicz, Janion, Kisielewski, Krall, Lem, Lipska, Markowski, Masłowska, Miłosz, Mrożek, Murek, Olczak-Ronikier, Olech, Pamuk, Stasiuk, Szczepański, Szostak, Szymborska, Tischner, Turowicz, Zagajewski i inni w towarzystwie grafik Czerniawskiego, Januszewskiego, Minkiewicza i Wasilewskiego

Potrzebujesz więcej powodów? Weź, czytaj!

„Moc czytania" już w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą oraz w e-wydaniu na powszech.net/mocczytania

10 LAT | TYGODNIK POWSZECHNY | zawsze razem | CONRAD FESTIVAL

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

Świąteczny Stół
Pajacyka
7 grudnia 2018 (piątek)

7 grudnia zjedz w wybranych lokalach i funduj posiłki dla dzieci.

Więcej: www.pajacyk.pl/ssp

pah
Polska Akcja Humanitarna

Kupuj świąteczne prezenty i pomagaj jednocześnie.

Rób zakupy **na www.sklep-pah.pl**

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług

WYCIĄGAJ
Z SIECI
ILE SIĘ DA

Kupuj Internet on line*

- NATYCHMIASTOWA weryfikacja zasięgu
- spersonalizowana OFERTA
- sprawny proces zamawiania
- SZYBKA INSTALACJA

*innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator
Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl